SENS ZAMIAST SENSACJI. PODWÓJNY NUMER NA NOWY ROK

TYGODNIK POWSZECHNY

ROZMOWY: kard. Grzegorz Ryś
Aleksander Smolar | Norman Davies

PROGNOZY: Polska między Trumpem a Putinem
Kto zatrzyma Brauna | Jak nas zmieni YouTube

ODDECH: Rodzin patchworkowych będzie więcej
Prawnuczka Freuda zaprasza na kozetkę

EKSTRA STRONY: **Polska kultura na świecie**

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 29 grudnia 2025 – 13 stycznia 2026 | nr 01-02 (3991-3992)
cena 20 zł (w tym 8% VAT)

W POSZUKIWANIU OPTYMIZMU



MARCIN NAPIÓRKOWSKI I TOMASZ STAWISZYŃSKI: ROZMOWA NA ĆWIERĆ WIEKU

STRONY 14 – 19

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

WIĘŹ

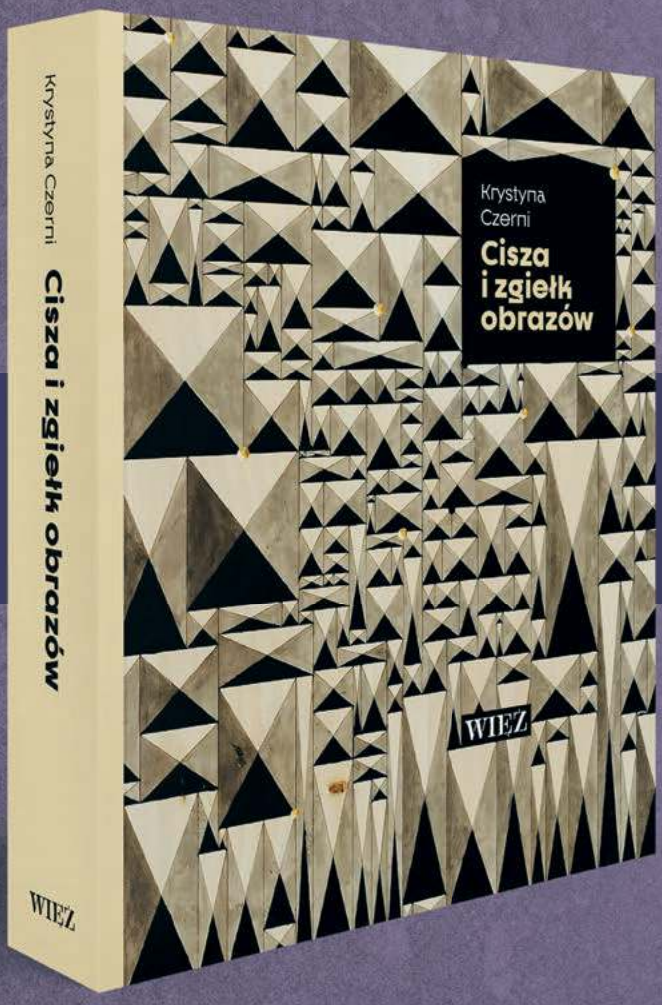

Przedsprzedaż!
–40% do 6 stycznia
WYDAWNICTWO.WIEZ.PL

Sztuka współczesna w poszukiwaniu duchowości

W zbiorze esejów *Cisza i zgiełk obrazów* **Krystyna Czerni** z pasją i erudycją prowadzi czytelnika przez świat sztuki XX i XXI wieku, kierując uwagę ku twórczości, w której różnorodny wyraz znajduje rzeczywistość duchowa. Ten wymiar wydobywa w subtelny sposób – daleki od konfesyjnych uproszczeń i jednoznacznych etykiet – w pracach artystów reprezentujących odmienne postawy i języki wizualne, jak **Alina Szapocznikow, Leon Tarasewicz, Jarosław Modzelewski, Bettina Bereś, Jan Pamuła, Aldona Mickiewicz czy Krzysztof Sokolovski**.

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA X5



AGNIESZKA ISKRA i **ALEKSANDER KARDYŚ**
– wiceprezeska i prezes Fundacji Tygodnika Powszechnego



OLGA DRENDA – dyrektorka kreatywna
i **MICHAŁ SOWIŃSKI** – redaktor literacki 17. Festiwalu Conrada 2025

Razem z nami zmieniacie świat. Dziękujemy!



ANNA GOC – redaktorka „Tygodnika Powszechnego”
i **KS. ADAM BONIECKI** – przewodniczący Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego



MONIKA LECH i **PIOTR MUCHARSKI**
– członkowie Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego



EWELINA BURDA – koordynatorka wydawnicza serwisu „ANTROPOCEN”
i **MICHAŁ KUŹMIŃSKI** – członek Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego

Wasze wsparcie to inwestycja w Tygodnikową różnorodność i siłę głosu naszego pisma w debacie publicznej. Razem stoimy na straży niezależności naszych dziennikarek i dziennikarzy, prowadzimy projekty społeczne, kulturalne i edukacyjne oraz dbamy o jakość pracy całego zespołu naszej Fundacji oraz „Tygodnika Powszechnego”.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Dziękujemy, że jesteście z nami. Życzymy wszystkiego dobrego w nadchodzącym roku. Spędźmy go wspólnie!

KS. ADAM

Boniecki: *Umiejmy się cieszyć*



GRAŻYNA MAKARA

Można oczywiście dobrze życzyć przez 365 dni w roku, można na imieniny, urodziny czy z innych okazji, jakie niesie życie. Nowy Rok jest jednak uniwersalny. Dziś więc dobrze życzę wszystkim: tym, co też dobrze mi życzą, i tym, co mi wymyślają, którzy piszą i którzy nie piszą, wrogom i przyjaciołom, znanym i nieznanym, młodym i starym, zdrowym i chorym.

Chorym życzę zdrowia – i tu chciałbym się zatrzymać, bo składanie życzeń nierealnych jest przecież zawracaniem głowy. Często mam teraz okazję oglądać ludzi skazanych przez chorobę – lub starość, która jest jak choroba – na ciężki los, zależność od innych, poruszanie się na wózku, leżenie, wyczekiwanie śmierci... Widzę tych, którzy z tym losem się pogodzili, i tych, którzy wprost przeciwnie. Nie mówię do nich kazań, nie pocieszam ich mówieniem o niebie. Chciałbym ofiarować im moją przyjaźń, ale bardzo często tego nie wiedzą. Pewnie dlatego, że im tego nie okazuję, okazuję źle lub za mało.

Cóż... inaczej chyba nie potrafię. I życzę, by ich nic nie bolało, a jeśli już musi boleć, to żeby te bóle dało się wytrzymać. I życzę, żeby wewnętrznie, nie tylko na pokaz, przyjęli ten etap (czasem długi) życiowej drogi jako dar Opatrzności (lub, jeśli wolą, Losu). Żeby zamiast punktować czarne strony swej drogi, wypatrywali jasnych. Wiem, że są tacy,



GRAŻYNA MAKARA

JACEK

Stawiski: *Pozostańmy obywatelami i obywatelkami*

Ćwiartka wieku za nami. Jedno pokolenie. Dużo, naprawdę dużo, ale przed nami jeszcze trzy ćwiartki. Na początku roku zawsze wraca to samo pytanie: co nas czeka? Nie myślmy przez chwilę o jednym roku, ale pomyślmy o dekadach. Ilu z nas doczeka kolejnego stulecia, przenosząc nasze doświadczenie do świata, który trudno sobie dzisiaj wyobrazić?

Parafrazując znane powiedzenie: tylko przyszłość jest ciekawa, ale mimo to coraz głębiej i intensywniej sięgamy do przeszłości. Dociekamy, kłócimy się o nią. Tylko po co? Żeby zrozumieć coś, co było? Sam, jako historyk, można powiedzieć, nurzam się w zaglądaniu w przeszłość. Czy to dowód bezsilności? Przecież nie zdobędę się na rozmyślania o przyszłości, skoro nawet nie rozumiem wszystkiego, co dzieje się wokół mnie dzisiaj.

Dlatego polecam noworoczny „Tygodnik", który otwiera rozmowa o „teraz", ale i o „jutrze", Tomasza Stawiszyńskiego z Marcinem Napiórkowskim. A że oni również mierzą się z przeszłością, i ja ośmielam się u progu 2026 roku popatrzeć wstecz.

Sto lat temu – w 1926 roku – miał miejsce zamach majowy. Zamach, który był

co potrafią – podejrzewam, że uczyli się tego całe życie.

Na dalsze życzenia zostało niewiele miejsca. Więc wypowiem jedno, z pewnością ważne dla wszystkich: nie straćcie umiejętności cieszenia się, nawet jeśli więcej macie powodów do smutku niż radości. Nie dajcie się smutnym sprawom zatrzasnąć w grobie za życia. Oczywiście nieszczęścia będą w was łomotać, oczywiście będą w życiu okresy straszliwego smutku, wręcz rozpaczy, ale nie zamieszkajcie w tym smutku na stałe. Po tego rodzaju doświadczeniach człowiek jest inny, ale jak długo żyje, nie może przecież być umarłym.

Takie są te życzenia, poparte moją dość mizerną modlitwą. Z Nowym Rokiem modlę się za zmarłych i żywych, za tych, których znałem i żegnałem, za tych, których imion nie pamiętam, a przecież byli w moim życiu ważni. Za tych, którzy mi dokładali i pewnie mieli rację – nawet jeśli akurat nie w tym, co mówili, to jednak mieli.

Jestem na tyle stary, że liczę się z ewentualnością, iż są to ostatnie życzenia w ziemskim życiu. Jeśli nie, to tym lepiej: w przyszłym roku znów je złożę. Bo teraz, gdy kończy się ziemska wędrówka, jakoś złości i żale ode mnie odchodzą. I chyba tego życzę wszystkim najbardziej. Nie wiem, czy to łaska Pana Boga, czy mądrość przedostatniej godziny, czy łagodność starca, który chce, by go dobrze wspominano. Oczywiście wiem, że będą i tacy, co będą wspominali źle. Trudno.

W każdym razie serdecznie ściskam wszystkich, znajomych i nieznajomych. Noworocznie. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

skutkiem wielkiego narodowego podziału i który otworzył nowe podziały, trwające nawet do dziś.

Pięćdziesiąt lat temu z kolei powstał Komitet Obrony Robotników. Garstka, dosłownie garstka ludzi dobrej woli, wbrew opresyjnemu systemowi PRL, podjęła się obrony ludzi pracy, represjonowanych i bitych w państwie należącym nominalnie do ludzi pracy. Krople drążą skały. Bezsilni okazują się pełni potężnej siły.

Co nam to mówi o przyszłości? Czy jeszcze coś nam mówi? Mnie mówi bardzo wiele. To wielka zachęta do działania. Takiego działania, w którym w imię większego dobra, dla innych, wspólnie siadają różni, nawet dalecy od siebie ludzie. KOR był jedną z inicjatyw prowadzących do momentu, w którym Polki i Polacy zamiast poddanymi komunistycznego państwa, stali się obywatelkami i obywatelami. Na Nowy Rok życzę Państwu, żebyśmy obywatelkami i obywatelami pozostali.

Mam swoje hobby jeszcze z podstawówki. Słucham czasem Czerwonych Gitar i innych polskich grup bigbeatowych. Pozostawiam Państwa ze słowami jednej z piosenek, która często mi towarzyszy:

Dokąd pójdziemy drogą pod wiatr / My z dwudziestego [pierwszego – JS] wieku? / Co nam przyniesie wolny nasz świat / Nim zatrzymamy go w biegu?... // Jakie nadzieje spełni nam czas, / Rwący nawałą zdarzeń, / Zanim zapłoną ogniem złych gwiazd / Domy i pola nasze? // (...) Kto nam pomoże znaleźć gdzieś ślad / Uczuć człowieka w człowieku?

(SŁOWA: JANUSZ KONDRATOWICZ)

Dajemy Państwu przewodnik, który mimo sylwestrowego zgiełku może subtelnie towarzyszyć w dniach noworocznych postanowień. Zapraszam do lektury. ©℗

Jacek Stawiski, dziennikarz i historyk, jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego”

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

MAREK RABIJ
Mięso i polityka. Co łączy Przemysława Czarnka z Narendrą Modim? W jaki sposób dieta staje się pożywką dla politycznej polaryzacji, a nawet składnikiem mowy nienawiści?

MARCIN TUSIŃSKI
Sierpowy od prawego do lewego. Boks, nieco zapomniany sport dzielnic robotniczych, wraca do łask. Kto go dziś uprawia i co w nim dostrzega?



BARTEK KIEŻUN
Wszystkie smaki soli. Z dziejów przyprawy, która nadała kształt historii Europy, pomogła zachować jej kulinarną tożsamość i umożliwiła wielkie odkrycia geograficzne.



ARCH.PRYW. // MONTAŻ TP-ONLINE // ADOBE STOCK

Następne wydanie „Tygodnika” ukaże się jak zwykle w środę – 14 stycznia już 2026 roku.



ROZMOWY „TP”

50 Europa nie porywa
ALEKSANDER SMOLAR:
Znaczenie Unii spadło. W negocjacjach amerykańsko-rosyjskich o przyszłości Ukrainy jest ona usuwana w cień. Czas uruchomić drzemiący w niej potencjał.

54 Ktoś musi słuchać
KARD. GRZEGORZ RYŚ:
Chciałem zostać w Łodzi. Co nie oznacza, że nie kocham Krakowa. Powiedziałem to papieżowi. Usłyszałem, że mam iść.

66 Historyk zawsze przegrywa
NORMAN DAVIES:
Pamiętamy to, co chcemy pamiętać. O tym, co niewygodne czy bolesne, wolimy zapomnieć. W dziejach każdego narodu są takie momenty.

74 Mistrzyni
MICHAŁ CHOIŃSKI
Czas spojrzeć na Sylvię Plath jako pisarkę ambitną i kreatywną, pełną życia i twórczej siły. Przełamującą ograniczenia epoki stawiane kobietom.





W noworocznym numerze przypominamy Państwu słowo, od którego nieco odwykliśmy – optymizm. O „spirali pesymizmu”, o tym, co ją nakręciło i wciąż nakręca, opowiada **TOMASZOWI STAWISZYŃSKIEMU MARCIN NAPIÓRKOWSKI**. Udowadniając, że powodów do optymizmu mamy więcej. Od rozmowy, w której nasi autorzy przyglądają się pierwszej ćwiartce XXI wieku, a także się w niej przeglądają, zaczynamy to wydanie.

Podsumowujemy 2025 rok: **JAROSŁAW FLIS** pyta, kto zatrzyma Grzegorza Brauna. **PAULINA GUZIK** ocenia pierwsze miesiące pontyfikatu Leona XIV. **OLAF OSICA** analizuje politykę światową i przyznaje, że gdyby miał ją recenzować jak sezon serialu, „ocena byłaby druzgocąca”. Twierdzi jednak, że mamy dość wiedzy, by zaproponować polski plan dla Europy.

Wybieramy osiągnięcia naukowe, które mają szansę zmieniać świat. I stawiamy pytania o sprawy takie jak „przeznaczenie”, z którym mierzy się **ŁUKASZ LAMŻA**.

Sporo tu zachwytów. Wśród nich tekst „Postać leżąca” o Belli Freud, prawnuczce Zygmunta Freuda, która w podkaście „Fashion Neurosis” zaprasza na kozetkę m.in. Kate Moss, Marinę Abramović czy Annę Leibowitz. I – jak przyznaje **BEATA CHOMĄTOWSKA** – udowadnia, że wciąż chcemy być słuchani i potrafimy słuchać.
Dużo radości w Nowym Roku, zwłaszcza tej, której życzy nam wszystkim **KS. ADAM BONIECKI**. ©℗

ANNA GOC, REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu”, „Głuszy”, za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak, oraz zbioru reportaży „Biegnij, mała, biegnij”.

GRAŻYNA MAKARA X3 // MAREK WIŚNIEWSKI / PULS BIZNESU / FORUM // WRITER PICTURES / FORUM

■ ■ OBRAZ ROKU

8 AI: czas otrzeźwienia
ŁUKASZ LAMŻA

10-13 Komentarze

■ ■ KRAJ

20 Kto zatrzyma Brauna
JAROSŁAW FLIS

24 Wielokrotnie złożone
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA: *Rodzin patchworkowych będzie coraz więcej*

27 Próba głosu
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Twórcy Akademii Przyszłości wiedzą, że dobre słowa i budujące zdania potrafią zmienić życie*

■ ■ OPINIE

30 O czym milczy YouTube
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

■ ■ ŚWIAT

34 Witajcie w czasach chciwości i pogardy
OLAF OSICA: *Po roku rządów Trumpa widać już, jaki świat chce nam stworzyć. Wiemy dość, by zaproponować ambitny polski plan dla Europy*

38 Drony zamiast masła
FILIP RUDNIK: *Putin wykorzystuje wojnę jako zasłonę dla prowadzenia głębokiej przebudowy państwa i społeczeństwa*

41 Zakochani wymieszani
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA: *Francja przoduje w Europie pod względem związków mieszanych*

■ ■ Z ODDECHEM

46 W międzyczasie
URSZULA ZAJĄCZKOWSKA: *Nasza bura zima jest niewdzięczna do patrzenia. Ale wciąż są tu las, łąka i róża, tylko w postaci, której zwykle nie uznajemy za wartą uwagi. Niesłusznie*

TEMAT TYGODNIKA

14
Rozmowa na ćwierć wieku

TOMASZ STAWISZYŃSKI:
Dzisiejsze procesy prowadzą nie ku globalnej solidarności, lecz ku „światu wielobiegunowemu".

MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
To kolejny powód, żeby patrzeć w przyszłość z ogromnym optymizmem!



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ STRONY SPECJALNE ■

83 POLSKA KULTURA NA ŚWIECIE

■ FELIETONY ■

13 BARTOSZ MINKIEWICZ
49 OLGA DRENDA **73** ZUZANNA RADZIK
92 PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ ■ ROZMOWA

50 Europa nie porywa
ROZMOWA Z ALEKSANDREM SMOLAREM

■ ■ WIARA

54 Ktoś musi słuchać
ROZMOWA Z KARD. GRZEGORZEM RYSIEM

58 Rok Leona
PAULINA GUZIK: *Co wiemy po ośmiu miesiącach o pontyfikacie Leona XIV?*

62 Malowani trzej królowie
MAGDALENA ŁANUSZKA

65 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

66 Historyk zawsze przegrywa
ROZMOWA Z NORMANEM DAVIESEM

■ ■ NAUKA

68 Odszukać przeznaczenie
ŁUKASZ LAMŻA: *Oj, nauka nie lubi się z pojęciem przeznaczenia*

72 Odkrycia roku 2025

■ ■ KULTURA

74 Mistrzyni
MICHAŁ CHOIŃSKI

78 Witamina T
PIOTR KOSIEWSKI: *Zmieniło się myślenie o tkaninie. Dziś to jedno z najciekawszych zjawisk w sztuce*

80 Kto jest górą
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Dreams" Michela Franco*

81 Dziś, tylko cokolwiek dalej
LEKTOR *o książce Michała Komara „Józef, czyli..."*

82 Polecamy

■ ■ ZMYSŁY

94 Leżąca postać
BEATA CHOMĄTOWSKA: *Jej podkast bije rekordy. Prawnuczka Freuda przypomina zabieganemu światu, co znaczy naprawdę kogoś słuchać*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 45

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

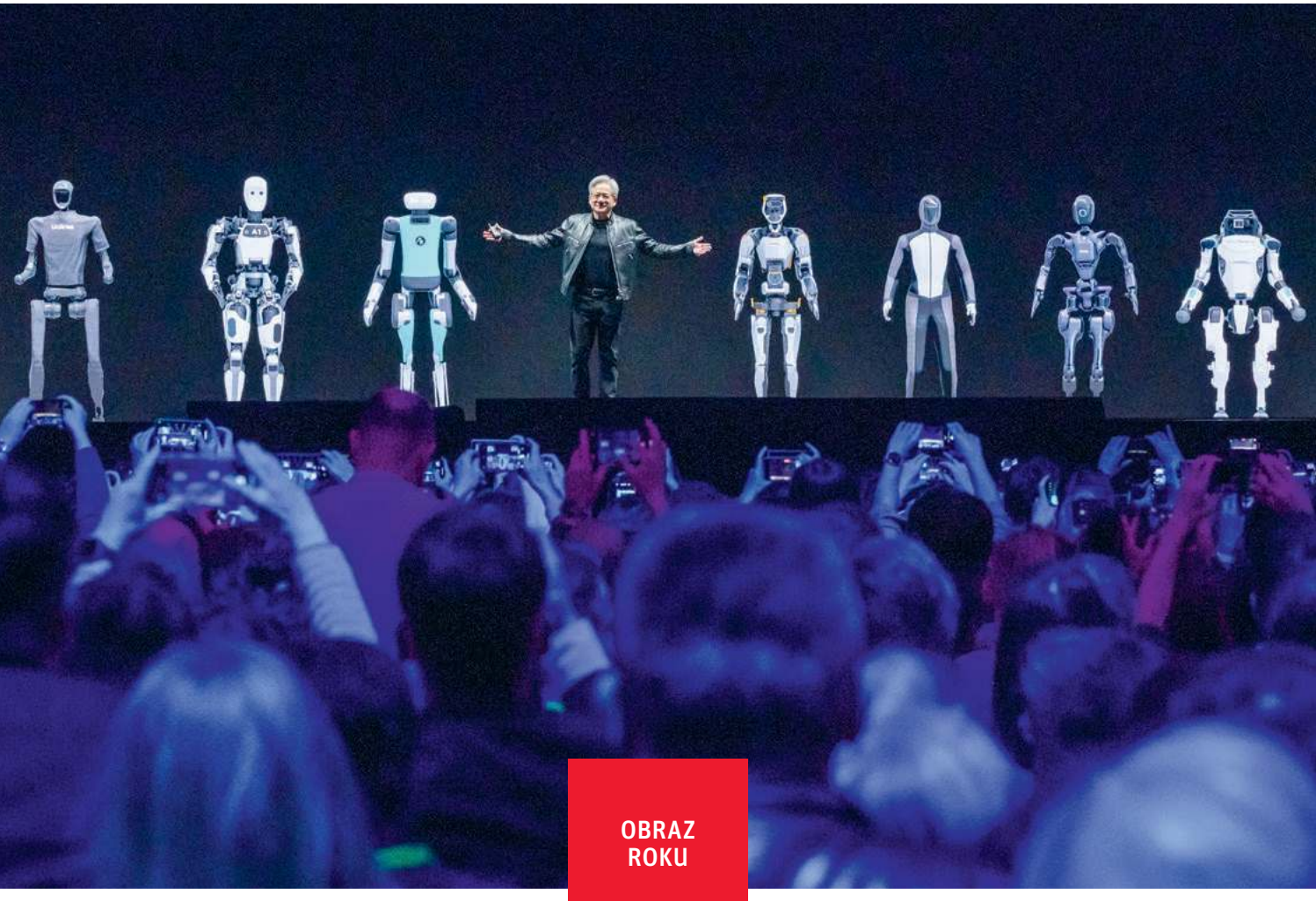

OBRAZ ROKU

AI: CZAS OTRZEŹWIENIA

Miesiąc miodowy się skończył. Wszyscy już mamy potąd ładnych obrazków, więc czas zapytać: gdzie ta fundamentalna przemiana społeczna? I gdzie moja kasa?

ŁUKASZ LAMŻA

POWYŻEJ:
Prezes Nvidia, Jensen Huang, podczas Nvidia GPU Technology Conference (GTC). San Jose, Kalifornia, USA, 18 marca 2024 r.

Gdyby rok 2025 w AI miał mieć swoje hasło przewodnie, brzmiałoby ono „AI bubble". Praktycznie każda osoba ze świata biznesu i finansjery mówiła w ostatnich miesiącach o bańce AI-owej. Czysto symbolicznie oznacza to wyjście z etapu fascynacji i wejście w fazę trudnych pytań: czy aby nie przeceniamy AI, w przenośni i dosłownie?

Zacznijmy jednak od pytania, czym jest „bańka AI" tak konkretniej.

BAŃKA | Producenci wiodących modeli (jak OpenAI, xAI czy Anthropic) oraz firmy zapewniające im infrastrukturę sprzętową i software (jak Nvidia, AMD, Oracle czy CoreWeave) przyciągają olbrzymi kapitał i błyskawicznie go inwestują. „The Economist" szacuje, że w 2025 r. amerykańskie firmy wpompowały ponad 400 mld dolarów w sprzęt napędzający AI. OpenAI ma obecnie wartość 830 mld dolarów, a holding finansowy HSBC przewiduje, że firma ta zainwestuje w infrastrukturę w latach 2025-2030 dalszy bilion dolarów.

Są z tym sposobem działania przynajmniej dwa problemy. Po pierwsze, za sporą część tych zawrotnych sum odpowiadają „zapętlone" transakcje pomiędzy kilkoma dużymi graczami. Temat zrobił się głośny, gdy Nvidia ogłosiła we wrześniu, że zainwestuje 100 mld dolarów w OpenAI. OpenAI kupuje tymczasem usługi chmurowe od Oracle, które z kolei kupuje chipy od Nvidia. Tego typu pętelek jest więcej: Nvidia zainwestowała 350 mln w CoreWeave i ma 7 proc. ich udziałów, a CoreWeave zapewnia infrastrukturę

obliczeniową OpenAI. Setki miliardów dolarów często wędrują więc w kółko, sztucznie zawyżając wartość spółek. Ekonomiści bardzo takich sytuacji nie lubią.

Po drugie, zwroty z tych szalonych inwestycji pozostają skromne. Choć ChatGPT ma 800 mln użytkowników tygodniowo, wciąż na siebie nie zarabia. „The Information" szacuje, że OpenAI zakończy rok 2025 ze stratą w wysokości ok. 27 mld dolarów. Prywatni użytkownicy nigdy nie przyniosą do stołu setek miliardów. Producenci usilnie próbują więc przekonać wielki biznes – sektor energetyczny i paliwowy, finansowy, hotele, Big Pharmę... – że integracja z AI da im zysk. Jak do tej pory – idzie im słabo.

ZYSKI | W lipcu ukazał się raport MIT o stanie implementacji AI w biznesie: „The GenAI Divide. State of AI in Business 2025". Autorzy przeanalizowali wyniki 300 spółek, zebrali 153 ankiety od osób na stanowiskach kierowniczych i przeprowadzili dziesiątki wywiadów. Wnioski? Choć niemal wszyscy eksperymentują z AI, w 95 proc. firm nie przynosi to żadnego wymiernego zysku, w tym ścisłym sensie zwrotu z inwestycji (ROI).

Oto typowy scenariusz: zarząd z dumą ogłasza, że nabył jedno z rozwiązań korporacyjnych i „przestawia firmę na AI". Pracownicy próbują następnie zintegrować to narzędzie ze swoim zwykłym trybem pracy. Wyniki są mizerne. Ostatecznie AI zostaje oddelegowane do generowania maili i streszczania dokumentów, jednak wszystko to i tak musi później krytycznie czytać człowiek. Pod koniec roku okazuje się, że słupki nie urosły – i po rewolucji. Autorzy raportu widzą następujące główne problemy: AI nie uczy się, popełnia w kółko te same błędy i na potęgę halucynuje, czyli generuje prawdopodobnie brzmiące, ale fałszywe treści.

Konkluzja: chociaż AI jest wszędzie, to jedynym potwierdzonym skutkiem jego obecności jest okazjonalne zwiększenie wydajności pracy, które nie zawsze daje wymierny zysk. Jedyny sektor rynku, w którym AI wywołało przemianę jakościową, to media. Nie brzmi to jak przemiana cywilizacyjna na skalę *science fiction*... AI miało być geniuszem o niemal nieograniczonych zdolnościach, a nie programem, który nieznacznie usprawnia pracę biurową!

HALUCYNACJE | Optymiści twierdzą, że wciąż patrzymy na zalążkowy etap rozwoju tej technologii, a tuż za rogiem jest superinteligentne lub „ogólne" AI (ASI/AGI), które nas zachwyci, zastąpi i/lub zniewoli. Lecz jak na razie nie ma nawet prawdziwie autonomicznych „agentów AI", którym można zlecić proste zadanie i zaufać, że zostanie ono wykonane.

Istnieją pilotaże tej idei, ale nie produkty o potwierdzonej skuteczności i bezpieczeństwie. A warto przypomnieć, że równo rok temu szefowie OpenAI, Google AI czy Meta AI zgodnie twierdzili, że to 2025 będzie „rokiem agentów". Nie był (zob. ramka). Są też dwa poważne powody, dla których rozsądnie jest nie ufać AI.

Po pierwsze, zmorą są wciąż wspomniane halucynacje – kluczowy nierozwiązany problem dużych modeli językowych (LLM). AI zmyślające wyniki finansowe, akty prawne albo dane klientów to realny problem, którego nie rozwiąże przyrost mocy obliczeniowej, pamięci i ilości danych treningowych.

Jedynym poważnym krokiem naprzód byłaby głęboka zmiana w samym sposobie programowania AI: np. pożenienie obecnych LLM-ów z zasobem uporządkowanej wiedzy o świecie, co wymaga zupełnie innej architektury, tzw. symbolicznego AI. Wszyscy pracują dziś pilnie nad taką hybrydą, określaną zwykle jako „neurosymboliczne AI", a Amazon nawet pochwalił się w sierpniu, że ich roboty magazynowe Vulcan mają architekturę neurosymboliczną.

SZPIEGOSTWO | Znacznie większym problemem jest dostęp producentów AI do danych wrażliwych. Można na ślepo założyć, że do ChatGPT regularnie trafiają wyniki finansowe spółek, dane osobowe, projekty ustaw, schematy eksperymentalnych urządzeń, dokumenty sądowe czy nawet plany militarne. Nie ze złej woli! Ot, po prostu, bezmyślnie, bo ktoś chciał wygenerować streszczenie, maila albo prezentację. MIT szacuje, że w ok. 90 proc. firm pracownicy korzystają z prywatnych kont AI w pracy, nawet gdy pracodawca oferuje dostęp do płatnych kont służbowych.

Wszelkie tego typu informacje są niemal na pewno automatycznie analizowane, agregowane i zapisywane. Wiara w etyczność firm typu OpenAI czy Google jest naiwna, a gromadzenie danych to ich cały *raison d'être*. W rezultacie Big Tech, a więc i administracja Trumpa oraz każda inna odpowiednio silna instytucja posiada obecnie prawdopodobnie intymny wgląd w funkcjonowanie wszystkich większych instytucji na świecie. Wielką niewiadomą jest tylko pytanie, czy informacje te swobodnie wędrują na linii Chiny–reszta świata.

Europa, dodajmy, jest praktycznie poza tym wyścigiem. Jedyny duży europejski model, Mistral, ma mniej niż 2 proc. udziału w rynku, a wymuszony okolicznościami wzrost nakładu Europy na zbrojenia nie sprzyja inwestowaniu w AI. Ameryka tymczasem jawnie opiera na AI swoje finanse i przyszłość, a zapowiedziany niedawno nowy, 5-letni plan rozwojowy Chin na lata 2026-2030 ma ociekać od konkretnych zobowiązań w tej dziedzinie. Wszystko wskazuje na to, że w tym kluczowym współczesnym procesie cywilizacyjnym Stary Kontynent stoi na poboczu. ©



CHAYTEE / ADOBE STOCK

Rzut oka od wewnątrz

Programiści wykonują pracę wręcz stworzoną dla współpracy z AI, warto więc przyjrzeć się, jakie nastroje panują w tej szczególnej grupie zawodowej. Stack Overflow, największa społeczność programistów na świecie, opublikowała spore badanie opinii branży wobec AI („2025 Developer Survey"). Choć większość korzysta już z narzędzi AI wspomagających kodowanie (47 proc. codziennie), jest to ostrożna współpraca.
Tylko 3 proc. programistów wyraźnie stwierdza, że ufa kodowi od AI, a 30 proc. wyraża „ostrożne zaufanie". Jeszcze większa jest nieufność wobec agentów AI, czyli programów, które otrzymują dostęp do kodu i mogą samodzielnie realizować powierzone cele. 70 proc. ankietowanych nigdy nie korzystało z agenta AI, a 38 proc. twierdzi, że nie zamierza tego nigdy robić.
No i wisienka na torcie: sentyment wobec AI („Jak ogólnie oceniam korzystanie z AI w mojej pracy?") jest wyraźnie gorszy niż w poprzednim roku i dwa lata temu (60 proc. pozytywnych odpowiedzi, a było ponad 70 proc.). Zmęczenie? Zawód? ©

DAVID PAUL MORRIS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

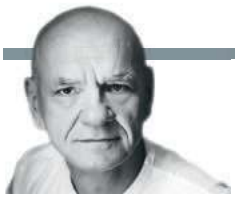

Trump: siła i pieniądz

DARIUSZ ROSIAK

Rok 2025 pokazał, jak ważne są i będą dwa podstawowe elementy prezydentury Donalda Trumpa – siła i pieniądz. Siła jest jego głównym narzędziem, stosowanym zresztą głównie wobec słabszych. Trump nie straszy Chin, Indii ani Rosji, tylko Ukrainę, podzieloną Europę albo Wenezuelę. Celem zawsze jest to samo: realizacja interesu – głównie biznesowo-finansowego – jego i jego otoczenia, utożsamianego z interesem USA.

Paradoksalnie to podejście owocowało w 2025 r. co najmniej jednym ważnym sukcesem, czyli ustanowieniem kruchego rozejmu między Izraelem a Hamasem przy poważnym osłabieniu Iranu. Wątpliwe, czy uda się zaprowadzić trwały pokój w Strefie Gazy, a nawet czy uda się przejść do drugiej fazy porozumienia, czyli rozbrojenia Hamasu. Jednak dopóki Katar i Turcja powstrzymują Hamas, a Trump określa granice działań militarnych Izraela, jest szansa, że w najbliższym czasie nie będzie powrotu do otwartej wojny w Gazie.

Ograniczenia transakcyjnej polityki Trumpa widać choćby na wschodzie Demokratycznej Republiki Konga, gdzie – wbrew jego przechwałkom o zakończeniu tamtejszej wojny – Rwanda przejmuje kontrolę nad całym regionem Kiwu. Niezwykle sprawny i bezwzględny polityk, jakim jest prezydent Rwandy Paul Kagame, pokazuje, że Trumpa można ograć – zwłaszcza w tych rejonach świata, które go tak naprawdę nie interesują.

Rok 2026 będzie zapewne polem konfrontacji z Wenezuelą, której zasobów Trump domaga się otwarcie i coraz bardziej agresywnie. Warto pamiętać, że celem działań USA nie jest zmiana dyktatorskiego reżimu Nicolása Maduro na system demokratyczny, tylko wykorzystanie destabilizacji politycznej kraju w celu wyciągnięcia z niego jak najwięcej korzyści – głównie surowców. Przykład ten pokazuje, że w praktyce idea „America First" polega na realizacji interesów amerykańskiego biznesu i traktowaniu reszty świata jako zasobu. Wszelkie ograniczenia – zarówno polityczne, jak biznesowo-regulacyjne – są i będą przez Trumpa traktowane jako działania wrogie wobec Ameryki.

Niedawno opublikowana strategia bezpieczeństwa narodowego pokazuje, że Ameryka Trumpa nie będzie zainteresowana zaprowadzeniem pokoju w Ukrainie na zasadach zgodnych z dotychczas rozumianym prawem międzynarodowym. Siła Kongresu i innych instytucji powoduje jednak, że prezydent nie będzie mógł samodzielnie osłabić obecności USA w Europie ani kompletnie wycofać się ze wsparcia Ukrainy – przynajmniej do czasu wyborów do Kongresu w listopadzie 2026 r., które zweryfikują również popularność Trumpa wśród Amerykanów. ©



SAUL LOEB / AFP / EAST NEWS

Donald Trump i Wołodymyr Zełenski podczas spotkania w Białym Domu. Waszyngton, 28 lutego 2025 r.



Zdrowy zwrot

EWELINA BURDA

Co piąta Polka jest w okresie menopauzalnym. Kobiety w tym etapie życia to najszybciej rosnąca grupa pracujących zawodowo. Objawy tego okresu, jak uderzenia gorąca czy mgła mózgowa, utrudniają pracę aż 83 proc. z nich.

Przy obecnej strukturze społeczeństwa tematu menopauzy nie da się dłużej ignorować. Wpływa ona na zdrowie kobiet, relacje społeczne i gospodarkę. Na świecie mówi się dziś o *menopausal turn*, menopauzalnym zwrocie. I nie musimy czekać, aż trend dotrze do nas, bo sami jesteśmy trendem. Tabu obalają samorzeczniczki, do nich dołączają kobiety o znanych nazwiskach. Publikowane są pierwsze przekrojowe raporty. Pojawiają się nowe terapie wspierające zdrowie kobiet; nowe badania naukowe obalają stare mity panujące m.in. wokół terapii hormonalnych.

Walka o uwagę w temacie menopauzy jest też walką o możliwość wyboru sposobu, w jaki kobieta chce ten okres przejść.

A trendy są różnorodne: od działań skupionych na naturze po te mocniej zmedykalizowane. Komercyjny rynek menopauzalny się rozszerza – a wraz z tym konieczność jego kontrolowania i umacniania wiedzy płynącej od organów odpowiedzialnych za zdrowie.

Pod koniec 2025 r. ogłoszono „Białą Księgę Menopauzy": opartą na raportach i rozmowach z kobietami, która zawiera propozycje systemowych rozwiązań. Dokument przygotowała Kulczyk Foundation wraz z ekspertami, zaprezentowano go na wspólnej konferencji w Ministerstwie Zdrowia i przekazano na ręce wiceministra.

Co mogłoby się zmienić? Rekomendacje: pytania menopauzalne trafiają do programu „Moje zdrowie" i do medycyny pracy. Położna systemowo towarzyszy każdej kobiecie w tym okresie. W firmach pojawia się polityka menopauzalna, która wymusza np. lepszą klimatyzację pomieszczeń.

Na koniec coś osobistego. Kiedy pracowałam nad reportażem o menopauzie, jednej z bohaterek wspomniałam, że pisałam także o tabu dotyczącym pierwszej miesiączki. Powiedziała mi wtedy: „Czyli ten artykuł o pierwszej miesiączce pisałaś dla dawnej siebie, a ten o menopauzie piszesz dla przyszłej siebie". I patrząc na społeczną zmianę wokół tematu, jestem optymistką. ©℗



Nadmierny urodzaj na prawicy i silna ręka Tuska

MAREK KĘSKRAWIEC

Karol Nawrocki awansował z postaci nieznanej w świecie polskiej polityki do roli głowy państwa, bo Jarosław Kaczyński dobrze zdiagnozował nastroje społeczne i sięgnął poza aparat własnej partii. Nawet mroczne fakty z przeszłości kandydata nie wydały się wyborcom na tyle groźne, by woleli zagłosować na Rafała Trzaskowskiego – polityka, który prowadził zimną kampanię, omijając raczej mniejsze ośrodki, a temperatura wokół niego wzrastała tylko wtedy, gdy wygłaszał nieswoje poglądy. Ludzie zobaczyli w nim dostosowany do badań społecznych projekt, nie żywego człowieka.

Nawrocki jest dziś królem sondaży zaufania, a jego miesiąc miodowy trwa w najlepsze, mimo kolejnych wet wobec kluczowych dla rządu ustaw. Na dodatek prezydent Ukrainy jako pierwszy przyjeżdża do Warszawy, ku oburzeniu elit i uciesze większości narodu. Na razie jedyne, co grozi prezydentowi, to pycha i wiara w to, że przyjęcie bierno-agresywnego stylu wobec rządu będzie działać przez kolejne dwa lata. Tak nie będzie.

Nawrocki stał się niespodziewanie beneficjentem sytuacji w PiS, który zmaga się z walkami frakcyjnymi i do końca nie wie, w którą stronę chciałby pójść. Wiodąca grupa, choć wewnętrznie niespójna, pragnie zawalczyć o odzyskanie wyborców, którzy poszli w stronę Grzegorza Brauna – to jednak oznacza radykalizację przekazu w stronę mocno antyunijną i antyukraińską (ale raczej nie antyizraelską, z uwagi na strach przed USA), a i tak nie daje pewności, czy przyniesie właściwy skutek.

Na pewno nie da się w ten sposób skusić kluczowego wyborcy bliższego centrum, który nie ufa Donaldowi Tuskowi, a zarazem nie widzi już alternatywy w Polsce 2050 czy w PSL. W ten segment chciałby za to celować Mateusz Morawiecki, który co prawda jest w mniejszości, ale jego ekipa działa jak wyjątkowo sprawny i odporny na zgniatanie mechanizm.

Niektóre media od miesięcy straszą Kaczyńskiego utratą kontroli nad rozdartym PiS, ale to wciąż *political fiction*, o ile nie dojdzie do otwartego konfliktu prezesa z prezydentem, a ten ostatni nie zacznie tworzyć własnego środowiska, złożonego z części PiS i Konfederacji. Dziś Kaczyński musi bardziej martwić się tym, że pozwolił hołubić w przestrzeni publicznej poglądy, których kiedyś wstydzono się wygłaszać nawet prywatnie. Nakarmiły one nie PiS, ale Brauna, odpływającego w stronę Moskwy i otwarcie głoszącego, że PRL i Królestwo Kongresowe miały więcej autonomii niż Polska w UE.

Prawica ma dziś problem nadmiernego, czasem wręcz osobliwego urodzaju. Po drugiej stronie jest odwrotnie. Tusk nie ma dziś konkurencji zarówno w KO, jak i poza nią. Duża część wyborców się z tego cieszy, ja jednak uważam, że premier wyjałowił i partię, i całą koalicję. Wziął na swoje barki wszystko, ale to może być zbyt wiele jak na 68-letniego polityka. ©℗



Katolicy MAGA i amerykański papież

MASSIMO FAGGIOLI

Make America Great Again" (MAGA) – to hasło wyrażające ideologię ruchu stworzonego przez zwolenników Donalda Trumpa, dla których obecny prezydent USA jest nie tylko charyzmatycznym przywódcą, ale wręcz „politycznym mesjaszem". Katolicy głosujący na niego nie mają jednego uznanego przywódcy religijnego, nie istnieje też żadna organizacja, która by ich oficjalnie łączyła (być może najbardziej reprezentatywną ich grupą są Catholics for Catholics). A jednak ideologia „wielkiej Ameryki" zmieniła wyraźnie także oblicze amerykańskiego katolicyzmu, w którym już od kilku dekad narastał sprzeciw wobec liberalnego progresywizmu, jaki zdominował Kościół w USA po Soborze Watykańskim II.

Reakcyjny katolicyzm ochoczo zaczął korzystać z ideologii MAGA. To ona stała się paliwem do dyskredytacji katolickich elit akademickich i odrzucenia ich projektu „różnorodności, równości i integracji". To na niej budowany jest sprzeciw wobec przynależności do wspólnoty Kościołów, w której żaden nie jest supermocarstwem. To pod jej wpływem pojawił się projekt uznania chrześcijaństwa za centrum amerykańskiej tożsamości. A także oparcia relacji z Watykanem nie na lojalności, a na wizji transakcyjnej.

Oczywiście antyliberalny i prawicowy katolicyzm w Ameryce wykracza poza ruch MAGA. Poprzedzał go i przetrwa. Ale trumpizm jest nie do pomyślenia bez wkładu katolickich propagandystów i strategów, jak Steve Bannon, czy wsparcia intelektualnego katolickich myślicieli, jak Adrian Vermeule i Patrick Deneen, którzy mają wpływ na czołowych katolików w polityce, takich jak wiceprezydent J.D. Vance. To oni nadają treść i polityczny wymiar głębokim instynktom i nastrojom, które niegdyś były kojarzone z fundamentalistycznym protestantyzmem, ale dziś coraz częściej znajdują swoje miejsce w Kościele katolickim. Coraz mniej zresztą katolickim w prawdziwym tego słowa znaczeniu (powszechnym, uniwersalnym), a coraz bardziej narodowym.

Rok 2025 miał być zwieńczeniem dekady umacniania związków amerykańskiego katolicyzmu z ruchem MAGA. Nieoczekiwany wybór pierwszego papieża ze Stanów Zjednoczonych w znacznym jednak stopniu ten proces zakłócił. A może nawet przerwał. ©

(tłum. EDWARD AUGUSTYN)



Polska w kosmosie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

15 lipca trzy wielkie spadochrony rozpostarte nad Pacyfikiem ogłosiły bezpieczny powrót do domu drugiego Polaka na orbicie. Dla Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego pracowity rok dopiero się jednak zaczynał: w ciągu dwóch miesięcy odbył 17 spotkań, w których wzięło udział 13 tys. uczniów i studentów. Mnóstwo pytań dotyczyło ciekawostek – np. jak się płacze w kosmosie (bardzo niewygodnie, bo łzy pozostają na gałce ocznej i uniemożliwiają widzenie) – ale astronauta przede wszystkim opowiadał o 13 eksperymentach, jakie realizował.

Oczywiście był w tym element promocji polskiej agencji kosmicznej, ale doświadczenia z innych krajów, m.in. z Wielkiej Brytanii, pokazały, że takie kontakty i inspiracja ze strony astronautów przekładają się na wybory młodych ludzi, w tym te dotyczące kierunku studiów i przyszłej kariery.

A jeśli jest coś, czego brakuje dziś błyskawicznie rosnącej polskiej branży kosmicznej, to właśnie wystarczającej liczby dobrze wyszkolonych ludzi. Według danych POLSA działa u nas już ponad 500 podmiotów związanych z sektorem kosmicznym, zatrudniających ponad 15 tys. ludzi. Około 300 z firm i ośrodków współpracuje z Europejską Agencją Kosmiczną, a ponad 150 bierze udział w zaawansowanych projektach. W ostatnich latach wzrosła także składka Polski do ESA. W 2022 r. płaciliśmy 194 mln euro, a w 2025 r. już 731 mln euro, co czyni z naszego kraju ósmego największego donatora organizacji. To z kolei przełożyło się na dostęp do większych programów oraz możliwość udziału w międzynarodowych konsorcjach przy projektach o większej skali.

Polskie firmy realizują dziś kontrakty liczone w setkach milionów złotych, zwiększają zatrudnienie i raportują szybki wzrost liczby zamówień. To oznacza przejście z etapu projektów rozwojowych do normalnej działalności przemysłowej, z długoterminowymi umowami i realnym ryzykiem.

I rosnącymi ambicjami, które sięgają już Księżyca. Misja Máni zakłada umieszczenie na orbicie naszego satelity sondy, która stworzy mapę o niespotykanej dotąd rozdzielczości. Czujniki pojazdu odtworzą powierzchnię Księżyca z rozdzielczością do 20 cm na piksel, uwzględniając na mapie nawet średniej wielkości kamienie. Pojazd zbudują Duńczycy, ale kluczowy pakiet sensorów stworzy polska firma. Czyli tam, gdzie jeszcze kilka lat temu polskie firmy były podwykonawcami podwykonawców odpowiedzialnymi za drobne elementy kosmicznych misji, teraz stają się ich kluczowymi współtwórcami. ©



MATERIAŁY PRASOWE ESA

Sławosz Uznański-Wiśniewski – drugi Polak w kosmosie



Gaza i my

MICHAŁ OKOŃSKI

Lubiłem do niedawna myśleć, że wszystko, czego sam nie umiem przekazać dzieciom o świecie, w którym liczą się zrozumienie dla odmiennych punktów widzenia i przyzwolenie na trudne emocje, zawdzięczam książkom wydawnictwa Dwie Siostry. Do niedawna, a konkretnie do zakończenia przez to wydawnictwo współpracy z autorką serii książek o uczuciach. „Nie zgadzamy się z wypowiedziami Tiny Oziewicz dotyczącymi Izraela i Strefy Gazy" – oświadczyły Dwie Siostry, rezygnując z publikacji kolejnej książki tej pisarki, co wydaje mi się smutnym symbolem minionego roku. Roku, w którym z powodu różnicy zdań na temat skali izraelskich zbrodni w Gazie – albo ich zdefiniowania przy pomocy słowa na „l" – przerywano lub odwoływano publiczne spotkania i koncerty, potępiano, kancelowano, zrywano znajomości.

„W kwestii naszego stosunku do Izraela i Gazy jest coś, co powoduje, że ludzie prawi i otwarci, nawykli do uważnego słuchania siebie i innych, z zainteresowaniem przyjmujący odmienne perspektywy, nagle tracą te umiejętności" – napisałem kilka miesięcy temu. Nie chciałem wtedy i nie chcę teraz odpowiadać na pytanie, dlaczego tak się dzieje – bo nie chcę zbyt kategorycznym stwierdzeniem zamykać przestrzeni rozmowy (z podobnych przyczyn nie piszę, po której stronie sporu sytuuje się wydawnictwo, a po której pisarka).

Czy to po prostu kwestia czegoś, co robią z nami media społecznościowe, czy odzywają się tu kwestie głębsze, np. poczucie winy, uświadomiona i nieuświadomiona trauma, bezradność wobec cierpienia i zła?

Dlaczego wyłączamy myślenie i próbujemy zakrzyczeć tych, którzy w jednej czy w drugiej narracji nie umieją odnaleźć się w stu procentach?

Publikowaliśmy w tym roku na łamach „TP" teksty, których autorzy nie mieli wątpliwości: w Strefie Gazy izraelskie wojska dokonują ludobójstwa. Publikowaliśmy i takie, które – nie negując skali cierpienia palestyńskich cywilów – uznawały, że lemkinowskiej definicji to nie wypełnia. Publikowaliśmy świadectwa traumy, która stała się udziałem izraelskiego społeczeństwa po zbrodniczym ataku Hamasu 7 X 2023 r. (pod koniec roku wypada wspomnieć i o antysemickim akcie terroru w Sydney). Z pewnością wygodniej byłoby pominąć którąś z tych perspektyw i zamknąć się w jednej bańce, ale chyba nie to próbowałem przekazać dzieciom, czytając książki Dwóch Sióstr. ©℗



Koniec miłości romantycznej

MONIKA OCHĘDOWSKA

W pierwszym odcinku serialu „Na całego” – napisanym i wyreżyserowanym przez Lenę Dunham – trzy pokolenia kobiet oglądają jedną z filmowych adaptacji powieści Jane Austen. To, co mówią podczas seansu, komplementując z kanapy pana Darcy’ego, jednoznacznie wskazuje na dystans, jaki dzieli nas od bezgranicznej wiary w możliwość nawiązania prawdziwie romantycznej relacji. Wystarczy spojrzeć tylko na tytuły kolejnych odcinków sezonu („Rozważna i chaotyczna”, „Nieczułe słówka”, „Cztery wesela i oblech”), by przekonać się, że Dunham postawiła sobie za cel rekonstrukcję komedii romantycznej.

Trwa ona zresztą od dobrych kilku lat. Prekursorem tego procesu może być niemiecki socjolog Niklas Luhmann (1927-1998), autor słynnej „Semantyki miłości”, który przeanalizował francuską i angielską literaturę wydawaną między wiekiem XVII a XIX, udowadniając, że pisane wówczas utwory nie odzwierciedlały romantycznych relacji między ludźmi, ale je kreowały (sama Austen np. tworzyła inspirowana powieścią gotycką). To za sprawą zyskującej popularność i coraz dostępniejszej literatury idee romantyzmu rozpowszechniały się wśród klas wyższych, by z czasem dotrzeć pod strzechy. Pomógł im rozwój kolportażu oraz druk prasowych powieści w odcinkach, uzależniających równie mocno, co dzisiejsze seriale. O ile jeszcze pod koniec wieku XVII słowo „romantyczny” znaczyło w niemczyźnie tyle, co „sztuczny”, dwieście lat później zatraciło swoje pejoratywne znaczenie – aż do dziś. Obecnie stawką najpopularniejszych tytułów produkowanych w Hollywood (nawet tak różowych jak „Barbie” Grety Gerwig) nie jest zdobycie wymarzonego partnera bądź partnerki, a zyskanie przez kobietę autonomii. Jakie są powody tej zmiany?

Socjolog Tomasz Szlendak w wydanej w tym roku książce „Miłość nie istnieje” stawia tezę, że za upowszechnianiem mitu romantycznej miłości krył się bardzo pragmatyczny cel: kobiety miały nie dostrzegać wykonywanej bezpłatnie pracy. Miłość, sprzedawana przez fabrykę snów, była rodzajem waluty, którą płaciło się płci pięknej za opiekę nad domem i dziećmi. W skrócie: znalazłaś swojego księcia z bajki, więc nie narzekaj, że musisz ugotować mu obiad i wyprać skarpety. Cytowana przez Szlendaka socjolożka Mira Marody ujmuje to wprost: „dyskursy miłosne służą temu, by usunąć wymiar ekonomiczny i wymiar władzy z naszych wyobrażeń o byciu razem”.

Czy taka odpowiedź nam się podoba, czy nie, dzisiejsza popkultura intensywnie zgłębia tę tezę. Do kin wchodzi właśnie ekranizacja bestsellera Amerykanki Freidy McFadden. Jej „Pomoc domowa” to thriller korzystający z klasycznych wątków romansu. Oto małżeństwo na pozór idealne: garderoba pełna markowych ubrań, szybki samochód, perfekcyjny mąż. Jednak w cieniu spełnionych kapitalistycznych snów o długim i szczęśliwym byciu razem kryją się kłamstwo i przemoc, które odkrywa tytułowa pomoc domowa.

By unaocznić tezy Miry Marody, autorka powieści wprowadza do domu jednego mężczyznę i dwie kobiety, z których jedna jest żoną i kochanką, a druga ucieleśnieniem niewidocznych, nieodpłatnych prac wykonywanych w domu. Nic dziwnego, że właśnie ta druga pomoże właściwej pani domu odzyskać kontrolę nad swoim życiem – oczywiście kosztem przemocowego małżeństwa.

Skoro zaczynamy rok tak mocnym antyromantycznym akcentem, nie powinno dziwić, że czekają nas w ciągu najbliższych miesięcy aż trzy nowe ekranizacje powieści Jane Austen oraz dwie „Lalki”. Wszak zarówno powieści słynnej Angielki, jak i arcydzieło Prusa są właśnie o tym, o czym opowiadają współczesne bestsellery – pokazują splot władzy, pieniędzy i pożądania, ale też moment, gdy romantyczna miłość staje się dopiero produktem na sprzedaż. Prus doskonale antycypował zresztą kształt współczesnych relacji – proszę się przyjrzeć: wszyscy bohaterowie i wszystkie bohaterki „Lalki” są singlami i singielkami. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

ROZMOWA NA ĆWIERĆ WIEKU

MARCIN NAPIÓRKOWSKI:

Weszliśmy w spiralę pesymizmu, z której nie możemy się wygrzebać: bo wojny, bo pandemia, bo media społecznościowe napędzają polaryzację, bo AI... Ale powodów do optymizmu jest więcej.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

TOMASZ STAWISZYŃSKI: Jest 1 stycznia 2000 r. Wkraczamy w nowy wiek. Młody Marcin Napiórkowski budzi się po zabawie sylwestrowej. Co myśli?

MARCIN NAPIÓRKOWSKI: Tuż przed sylwestrem odwiedziłem dziadków. W telewizji emitowano reportaż o Rosji, gdzie władzę przejmował Putin. W połączeniu z narracją o pluskwie milenijnej i książce z przepowiedniami Nostradamusa, która stała u dziadków na półce, dało mi to przekonanie, że wkrótce wydarzy się coś strasznego. I że 1 stycznia 2000 r. obudzimy się w innym świecie. A potem... nic się nie wydarzyło.

Rok 2000 minął przede wszystkim pod znakiem ulgi, że nic się nie wydarzyło. Ale to 25-lecie, które próbujemy podsumować, tak naprawdę zaczęło się chyba od samolotów wbijających się w wieże World Trade Center. Ruszył wtedy kanał TVN24, po raz pierwszy mieliśmy całodobową telewizję informacyjną i oglądaliśmy tę scenę wciąż na nowo i na nowo. Zgadzasz się, że to był właściwy koniec XX i początek XXI w.?

A wiek XX nie skończył się w roku 1989? Wraz z zamachami na WTC zamknęła się epoka optymizmu i wiary w koniec historii, ale ona trwała raptem 12 lat. Dziś mamy tendencję do ekstrapolowania tego na nie wiadomo jak długo: wydaje się nam, że kiedyś to byliśmy pełni nadziei i optymizmu. Rzeczywiście, kiedy przeglądamy prasę z tamtych lat albo patrzymy na wyniki badań, w których pytano ludzi, czy myślą, że w przyszłości będzie lepiej, tak samo czy gorzej – ta magiczna dekada bardzo się wyróżnia w całej zachodniej Europie i Ameryce. Ale to był krótki czas.

Dekada lat 90. była czasem ogromnego optymizmu – zwłaszcza w krajach, które uwolniły się spod komunistycznego jarzma. Mniej więcej w okolicy ataków na WTC to się skończyło. A co się zaczęło?

Może nastąpiła po prostu korekta kursu i powrót do normy? Zaczęła się kolejna dekada racjonalizmu i spokojnego postępu, przeplatana falami paniki.

Ale warto jeszcze spojrzeć na same lata 90. To, że w Polsce silna była wtedy optymistyczna opowieść o nieskończonych możliwościach i wielkich nadziejach, nie znaczy, że każdemu żyło się lepiej. Moja rodzina, w tym wspomniany dziadek, była związana z FSO. Lata 90. to dla nich przede wszystkim czas rozczarowań. Jakiś czas temu prowadziłem badania wśród byłych górników w Wałbrzychu. Z ich perspektywy wyglądało to podobnie. Tamta dekada to czas opowieści o przedsiębiorczości, braniu spraw w swoje ręce – tyle że te opowieści nie były o nich. Dla robotników z zamykanych fabryk i górników z likwidowanych kopalń mantry sukcesu brzmiały wyłącznie ironicznie.

Trzeba rozdzielić dwie kwestie. Z jednej strony mamy to, co myślimy o rzeczywistości i jak ją sobie przedstawiamy za pomocą znaków – to dla mnie, jako semiotyka, fundamentalne. I tu, faktycznie, z dekady optymizmu weszliśmy w spiralę pesymizmu, z której nie możemy się wygrzebać: dziś jesteśmy pod tym względem niżej niż rok, dwa czy 20 lat temu. Ale warto zestawić te subiektywne odczucia z rzeczywistością, która nie jest taka prosta. Ani lata 90. nie były aż tak dobre, ani tym bardziej to, co nas spotkało przez ostatnie ćwierćwiecze, nie było aż tak złe.

Doświadczenie górników z Wałbrzycha czy Twojego dziadka nie zmieściło się wtedy w głównej opowieści. Na ile dzisiejsza polaryzacja ma korzenie właśnie w tym „grzechu założycielskim" III RP?

Nieopowiedziane historie stają się historiami nieopowiedzenia. To, że o czymś przez dekady nie mówiono, sprawia, że kiedy cisza się kończy, zaczynamy mówić o samym niemówieniu. Tak powstał współczesny mit powstania warszawskiego, bardzo silny, bo przez 40 lat była to pamięć zakazana. Ofiary transformacji także doznały podwójnej krzywdy: zepchnięcia na margines ekonomii i na margines wyobraźni. Wielu z tych krzywd nie cofniemy, ale możemy naprawić przynajmniej winę nieopowiedzenia. To faktycznie jeden ze sposobów, w jaki możemy pracować z polaryzacją. Bo jej ogromną siłą napędową jest poczucie podwójnego wykluczenia: raz z benefitów transformacji, a drugi raz – z opowieści o niej.

Jak to robić?

Mówiłeś o ekranach TVN24, które ciągle w pętli pokazywały jeden obraz. Dziś, 25 lat później, żyjemy w świecie zdominowanym przez teraźniejszość, gdzie newsy mają coraz krótszy termin przydatności do spożycia. Tym, co tracimy, jest wyobraźnia historyczna – myślenie w kategoriach czasu, dostrzeganie, że pewne rzeczy się zmieniają, a inne nie. Bardzo chętnie zadajemy pytanie: „Dlaczego?". Dlaczego mnie to spotyka? Dlaczego wybuchła ta wojna? Dlaczego Rosja zaatakowała Ukrainę? Dostajemy banalne odpowiedzi. Przyjeżdża specjalista od geopolityki albo geografii i mówi: „Zobaczmy – Nizina Wschodnioeuropejska, wielka otwarta płaszczyzna, po której czołgi mogą przejechać. Rosja nigdy nie będzie się czuła bezpieczna, póki...". Tylko że 10, 25 i 500 tys. lat temu Nizina Wschodnioeuropejska była w tym samym miejscu i tak samo otwarta. Dlatego pytanie, które naprawdę powinniśmy zadać, brzmi: „Dlaczego właśnie teraz?". Właśnie to pytanie stanowi esencję wyobraźni historycznej.

Jedną z recept może być więc myślenie w dłuższym porządku czasowym. Odkrywanie, że pesymizm i optymizm przychodzą falami, że niekoniecznie są powiązane z twardymi danymi o świecie, ale są niezwykle ważne, bo decydują o naszych wyborach – ekonomicznych, politycznych, inwestycyjnych. Subiektywne poczucie dotyczące teraźniejszości może przesądzić o tym, jaką będziemy mieć – obiektywnie – przyszłość.

Na razie wróćmy do przeszłości i tego, co dzieje się w pierwszych latach XXI w. Półtora roku po 11 września rozpoczyna się interwencja w Iraku, która kończy się ugrzęźnięciem tam na lata.

W 1991 r. ukazała się książka Martina van Crevelda „The Transformation of War", której autor proroczo przewidywał przyszłość wojny. Wprowadził pojęcie „low intensity conflict" – konfliktu o niskiej intensywności. I pisał, że w przeszłość odchodzi wojna, jaką znaliśmy – ta klasyczna, rodem z Clausewitza, w której są trzy podmioty: państwo, armia i cywile, a każdy ma inne prawa i obowiązki. W tamtym modelu państwa walczą ze sobą przy użyciu armii. II wojna światowa w przerażający sposób zatarła granice między cywilami a żołnierzami, ale ↦

↦ właśnie dlatego dostrzegliśmy jej horror, że uznawaliśmy te granice. Van Creveld mówił: pojawia się zupełnie nowy rodzaj konfliktów – takie, które nie płoną, lecz tlą się; które kisną przez lata w ropiejącym klinczu. I podkreślał, że dawne przewagi – lotniskowce, arsenał rakietowy, atomowy – tracą w nich znaczenie.

Jak to uzasadniał? Technologią, zmianą architektury geopolitycznej?

Po Hiroszimie przestała obowiązywać zasada, że państwo używa w wojnie całej swojej potęgi. Teraz wiadomo, że państwo walczy z jedną ręką związaną za plecami, bo – miejmy nadzieję – nikt nie jest gotów użyć pełnego arsenału.

Po drugie, jest rozwój technologii, który widzimy np. w Ukrainie czy w konfliktach w Afryce. Wyrównujące się siły między partyzantką a regularną armią. Atrakcyjność wojen hybrydowych. Zupełnie nowe filozofie i semiotyki wojny. Niezwykle pouczającą, choć przerażającą lekturą są tu teksty pisane przez ideologów Al-Kaidy czy ISIS. Artykuł człowieka znanego pod pseudonimem Abu Bakr Naji, „The Management of Savagery", omawiam ze studentami. On pisze wprost: reprezentujemy siłę dobra, a obecnie na świecie przewagę mają chaos i diabeł. Jedynym sposobem, by wprowadzić prawdziwy porządek, jest najpierw wprowadzić nieporządek. I uderzać tam, gdzie boli najbardziej, a nie tam, gdzie zadajemy największe straty. Przemoc ma być spektaklem. To wszystko, czego doświadczyliśmy po 11 września.

Ale jednego Abu Bakr Naji nie przewidział: że cała terrorystyczna działalność nie może się równać z tym, co sami sobie robimy za pomocą mediów społecznościowych. One, krok po kroku, realizują cele zapisane w misji Al-Kaidy.

Do mediów społecznościowych wrócimy, na razie – w 2004 r. Polska wchodzi do UE. Granice się otwierają, pojawia się fala emigracji, np. do Wielkiej Brytanii. Rok później umiera Jan Paweł II, który wspierał integrację europejską. Następuje 24-godzinne pojednanie narodowe – nawet kibole zwaśnionych drużyn zaczynają się bratać.

Rok 2004 to punkt zwrotny w historii Polski. Zaczynają się zupełnie nowe mechanizmy transferu kapitału, ale też nowe wyobrażenia o nas samych. Mnóstwo Polaków rozprasza się po kontynencie. Ale warto pamiętać, że to także rok otwarcia Muzeum Powstania Warszawskiego. Te dwie siły się równoważą: spoglądanie naprzód nie wyklucza pytania „gdzie są długi wobec przodków?". Lech Kaczyński na otwarciu muzeum pyta: „Dlaczego otwieramy to muzeum teraz, a nie 10 lat temu, w 50. rocznicę?". I wyrzuca nam grzech zapomnienia. To silnie rezonuje w uproszczonych opowieściach o „dwóch Polskach": liberalnej, idącej naprzód, i tej solidarnej, także z przodkami – konserwatywnej. To ważny moment założycielski współczesnych konfliktów politycznych.

A jeśli chodzi o 24-godzinne pojednanie po śmierci Jana Pawła II – trudno się spodziewać, że mogłoby trwać dłużej. To znany fenomen: po różnych niezwykłych wydarzeniach następują masowe pojednania. Zajmowałem się kiedyś relacjami z ostatnich w Europie procesów o czary. Był początek kultury druku – sprawę śledzono masowo w ulotkach i pieśniach dziadowskich. Połowa Europy się w to „wkręciła", w pewnym momencie sympatie się odwróciły, ludzie zaczęli współczuć jednej z oskarżonych. Kiedy została uwolniona od zarzutów, wybuchł szalony festiwal. Następnego ranka wszyscy obudzili się skacowani i wrócili do dawnych niesnasek. I nikt nie pytał: „Dlaczego świat nie zmienił się na zawsze?". Ludzie byli na tyle mądrzy, że wiedzieli: karnawał – nawet żałoby – trwa jeden dzień. Taka jest jego rola. I tak dokonuje oczyszczenia.

Nie żądajmy więcej pojednania, bo jeszcze się spełni! A świat, w którym wszyscy są tacy sami, wszyscy się zgadzają i nie ma konfliktów, byłby koszmarem.

Ten rodzaj realizmu bardzo by się teraz przydał. Ale tamten czas – w okolicach akcesji do Unii i śmierci Jana Pawła II – z dzisiejszej perspektywy wydaje się absolutną utopią. Jej elementem była również rozważana wtedy koalicja PO i PiS.

Współpraca między PO a PiS pod koniec rządów SLD była dobra i intensywna. Gdyby wybory parlamentarne skończyły się inaczej i gdyby Jan Rokita, „premier z Krakowa", faktycznie nim został, sądzę, że mielibyśmy POPiS. Podobieństwo ideowe tych dwóch partii, podobieństwo trajektorii biograficznych ich polityków i liczba transferów między nimi pokazują, że to partie bardzo podobne. Różnice między nimi sztucznie podsyca system semiotyczny, który stworzyliśmy – system, w którym, żeby stworzyć iluzję dramatycznego wyboru, obie strony podkreślają wyłącznie to, co je różni.



KAROLINA GOLIS / ARCH. TS // FILIP NAUMIENKO / REPORTER // MONTAŻ TP-ONLINE

TOMASZ STAWISZYŃSKI:

Dzisiejsze procesy prowadzą nie ku globalnej solidarności, lecz ku „światu wielobiegunowemu". Jest kilka potężnych twierdz, które się zbroją, a reszta musi się dostosować.

Twoje słowa brzmią jak herezja. Albo „symetryzm".

Zaraz po wyborach 4 czerwca, kiedy strona solidarnościowa oszacowała skalę zwycięstwa, pojawił się trudny wybór: co robić? Jarosław Kaczyński przeforsował pomysł zbudowania własnego rządu z „przystawkami", partiami satelickimi PZPR. Jego genialnym pomysłem było namówienie Lecha Wałęsy, żeby na premiera wystawił Tadeusza Mazowieckiego – człowieka, który wcześniej mówił, żeby



MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
To kolejny powód, żeby patrzeć w przyszłość z ogromnym optymizmem! Tam, gdzie widzisz ksenofobię, zamykanie się, twierdzę, możemy dostrzec powrót do pytania o wspólnotę.

nie tworzyć żadnego rządu, bo nie mamy programu ani pomysłu. Za chwilę zresztą Kaczyński zrobił drugą rzecz wartą przemyślenia. Solidarnościowcy mówią: „Musimy iść razem, tworzyć monolit przeciw komunistom". A on dość otwarcie odpowiada: „Nie, to jest myślenie komunistów. My powinniśmy się różnić – o to przecież walczyliśmy".

Dziś słusznie przypisuje mu się tworzenie polityki opartej na konflikcie. Ale druga strona tego medalu to przyjęcie, że demokracja opiera się na tym, by konfliktów nie zamiatać pod dywan, tylko nadawać im wymiar polityczny, aby różne grupy mogły usłyszeć swoją reprezentację. W tym sensie starcie tych dwóch sił – dążenia do koherencji i dążenia do artykulacji pęknięć – jest niezwykle wartościowe. Potrzebujemy i elementów spójności, wspólnych mitów, które prowadzą nas naprzód z entuzjazmem, i tych, którzy upomną się o pęknięcia, o tych, którzy byliby niewidoczni spod kłębów pudru, którym upiększamy rzeczywistość.

W teorii brzmi to świetnie, ale praktyka jest zgoła odmienna. Dziś te dwie siły nie uzupełniają się, tylko prowadzą wojnę na wyniszczenie. Nawet Smoleńsk zadziałał wedle wspomnianego wzorca – krótkotrwałe pojednanie, a potem jeszcze intensywniejsza wojna.
Lubisz rozwiązywać zagadki typu „znajdź 10 różnic między obrazkami"?

Czasami.
Ja bardzo lubię. Wyobraź sobie, że ktoś daje ci dwa kompletnie niepodobne obrazki – śledzia i Van Gogha – i mówi: „znajdź 10 różnic". Wtedy to nie ma sensu. To głębokie poczucie podobieństwa jest warunkiem tego, by różnice stały się znaczące.

Można myśleć o podobieństwach i różnicy jako o dwóch żywiołach. Dziś mamy system obiegu informacji, który eksponuje wyłącznie różnice – a bez koherencji, bez podobieństwa, różnice są miałkie i jałowe. Polityka ich artykulacji traci sens bez przestrzeni wspólnej.

Tylko że każda próba budowania porozumień ponad podziałami uchodzi za zdradę.
Nie możemy mieć pretensji do polityków, że działają tak, jak działają. Niczym pies Pawłowa, są regularnie ćwiczeni. Każde ich słowo wypowiedziane w trybie „tu się zgadzamy, tu jest podobieństwo" wpada jak kamień w studnię. Każdy atak, każde podkreślenie różnicy jest wielokrotnie wzmacniane. Po takim warunkowaniu trudno oczekiwać innego zachowania. To system mediów – wychodzący z mediów społecznościowych, ale obejmujący też tradycyjne, zmuszone konkurować z nimi, przestrzeń publiczną, miejsca pracy, szkoły i domy – jest systemem eksponującym wyłącznie różnice.

Odpowiedź jest więc prosta: musimy pomóc politykom i tworzyć przestrzenie wspólne. Do pewnego stopnia nie da się tego zrobić bez regulacji mediów społecznościowych. To ważne: dzisiejsze algorytmy wycinają treści pokazujące, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni i jak wiele nas łączy, bo te treści źle się klikają i źle monetyzują. Naszym obowiązkiem powinno być przywrócenie równowagi i walka o wolność w tym zakresie. A także wzięcie odpowiedzialności za najbliższą okolicę i tworzenie przestrzeni, w których spotykanie się ludzi różnych będzie możliwe i konieczne.

Zgadzasz się z tezą, że ten proces akcentowania wyłącznie polaryzacji, który rozładowuje chwilowo, a długofalowo wzmacnia społeczne napięcia i niepokoje, ma odległe źródła w kryzysie finansowym? Że to wtedy globalnie załamało się bazowe zaufanie do instytucji – i do siebie nawzajem?
Kryzys finansowy był jednym z momentów, kiedy przez małe okienko zajrzała do nas rzeczywistość taka, jaką była przez większość historii ludzkości: niesprawiedliwa, nieprzewidywalna, niepozwalająca na jakąkolwiek akumulację kapitału.

Warto o tym pamiętać, bo żyjąc dziś w spirali pesymizmu, powtarzamy: „tak źle jeszcze nigdy nie było". To radykalny brak wyobraźni historycznej. Żyjemy podobno w czasach bezprecedensowego chaosu – bo AI, bo ryzyko finansowe, bo pandemia. Tymczasem prawdziwego, nieustannego, bezlitosnego chaosu doświadczali nasi przodkowie sprzed epoki państw narodowych. Kiedy analizujemy dane ze średniowiecza o daninach i podatkach, widzimy, że tam, gdzie władcy bardziej łupili chłopów, populacja spadała. Niższe podatki nie oznaczały zaś, że chłopi się bogacili – nie mieli narzędzi akumulacji kapitału – tylko że mniej dzieci umierało i populacja rosła. To dopiero jest przerażający świat chaosu, w którym nie można było nic zaplanować ani skumulować, w którym przyszłość faktycznie nie istniała.

To się zmieniło. Chyba zbyt rzadko zadajemy sobie pytanie: jakim cudem?

Skoro jesteśmy przy braku przewidywalności: kolejnym wstrząsem była pandemia. Co nam po niej zostało?
Jak mnie widzisz i słyszysz?

Bardzo dobrze.
Dziwnie się czujesz, że rozmawiamy przez komputer?

Już się przyzwyczaiłem. ↦

↦ No to zobacz, co nam zostało z pandemii. Chociażby gigantyczna rewolucja, której skutki dopiero zaczynamy odczuwać. To, że ludzie z całego świata, bez przyjeżdżania do wielkich metropolii, mogliby mieć dostęp do topowej edukacji. To, że jesteśmy w stanie coraz większą część pracy wykonywać z domu – bez korkowania ulic. A to tylko drobna część. Pandemie – jak karnawał – nie zmieniają nas trwale w tym sensie, jak sądzili utopiści. Nawet po czarnej śmierci populacja się odrodziła i sprawy potoczyły się „po staremu".

Natomiast fakt, że to była pierwsza pandemia w historii ludzkości, w której nie powiedzieliśmy „los tak chciał", tylko: „zamkniemy się w domach, zaczniemy robić szczepionki, spróbujemy walczyć" – jest czymś niesamowitym. Czy wszystko wyszło super? Nie. Ale naukowcy wyciągają wnioski. Badania nad CRISPR, mRNA i innymi technologiami, które uratują niejedno życie, przyspieszyły w rok tak, jak bez pandemii mogłyby przyspieszyć w dekadę. To był odpowiednik wysłania człowieka na Księżyc w medycynie.

Ale zaufanie do nauki spadło – przynajmniej w UE i w USA. I zaroiło się od teorii spiskowych.

Nie ma drogi na skróty. Zaufanie do nauki oparte na magicznym autorytecie jest na dłuższą metę nieskuteczne. Rozwiązaniem jest edukacja i to, żeby ludzie byli częścią nauki – żeby ją rozumieli. Szczególnie w zdemokratyzowanym społeczeństwie. To ważna lekcja pokory dla naukowców. Nie żyjemy już w społeczeństwie, w którym nauka może coś ludziom nakazać, nawet za pośrednictwem wojska i polityków. I to też jest piękne.

Pandemia pokazała, że po kilku stuleciach uczenia się radzenia sobie z problemami starego typu pojawiły się problemy nowego typu. Problemy starego typu – lokalne wojny, śmieci, smog – da się rozwiązać miejscowo. Jeśli w Pruszkowie chcemy rozwiązać problem starego typu, odpowiedzią może być egoizm: posprzątajmy cały Pruszków, pozamykajmy granice, żeby nikt z Piastowa nie mógł wjechać. Tak problemów nowego typu nie rozwiążemy. Jeśli zaszczepię wszystkich w Pruszkowie, a dla Piastowa szczepionek zabraknie, wirus i tak przyjdzie. Rozwiązaniem jest tylko solidarność. To samo dotyczy kryzysu klimatycznego. I, paradoksalnie, nierówności: im grubsze mury budujemy, tym większe nierówności, a w konsekwencji tym więcej wydajemy na utrzymanie murów i w końcu okazuje się, że chronienie naszego bogactwa zjada całą przewagę, jaką mieliśmy dzięki temu bogactwu, a jeszcze buduje niepewność.

Tyle że dzisiejsze procesy polityczne prowadzą nie ku globalnej solidarności, lecz ku „światu wielobiegunowemu". Co w praktyce oznacza kilka potężnych twierdz, które się zbroją, zapewniając sobie autonomię i nietykalność, a reszta musi się dostosować. Popularność zyskują narracje o powrocie do mniejszych, jednolitych kulturowo i etnicznie wspólnot. Do tego – rosnące rozhisteryzowanie w mediach społecznościowych, polaryzacja, wrogość.

To kolejny powód, żeby patrzeć w przyszłość z ogromnym optymizmem! Jeśli mielibyśmy globalizację opisać z punktu widzenia semiotyki, to zaczyna się ona w wynalazkach Kartezjusza i Newtona. W pomyśle kratki – układu współrzędnych. Współczesne pola uprawne, wielki port pełen kontenerów, półka sklepowa, klasa szkolna, koszary – to wszystko kratka. Jest świetna książka Marka Levinsona „The Box: How The Shipping Container Made The World", o tym, jak kontenery zmieniły reguły dobrobytu na świecie dzięki ustandaryzowaniu.

Co to znaczy?

Że możemy jeść pomidory 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu przez cały rok, bo gdzieś zawsze świeci słońce. I fajnie. Ale w pewnym momencie – kiedy duża część globu zaczęła odczuwać korzyści z tego dobrobytu – zaczęliśmy się zasta-

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska,
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

nawiać, czy transportowanie pomidorów przez pół świata okrągły rok naprawdę się opłaca. Przed nami więc czas ponownego odkrycia lokalności i sezonowości. Tego, że znów są pory roku – nie mówię tu o zmianach klimatu, tylko o tym, że truskawki mogę jeść przez dwa tygodnie w roku i to jest piękne, bo na nie czekam. Mówię także o tym, że w Polsce jest coś, czego nie ma w Hiszpanii, a w Hiszpanii coś, czego nie ma na Grenlandii.

Chcesz powiedzieć, że to kwestia perspektywy?

Tam, gdzie widzisz ksenofobię, zamykanie się, twierdzę, możemy dostrzec powrót do pytania o wspólnotę: jak przezwyciężyć egoizm nie fałszywym myśleniem o „wszystkich, wszędzie, zawsze", tylko o przestrzeni wspólnej, która zaczyna się tu, najbliżej mnie.

Jeśli tak spojrzymy, nagle się okaże, że globalizacja nie upadła, tylko się dopełniła. Bogactwo i rozpęd, które wytworzyła, sprawiły, że jesteśmy w stanie tworzyć lokalne klastry dobrobytu. To, że świat dzieli się na kawałki, jest pod wieloma względami piękne – i z punktu widzenia obciążenia planety, i bogactwa codziennego życia. Różnorodni będziemy silniejsi – jak przyroda. Gdybyśmy cały świat obsiali pszenicą, wystarczyłaby jedna mutacja rdzy źdźbłowej i wszyscy umarlibyśmy z głodu. Jeśli świat jest jak stary las – zróżnicowany, połączony korzeniami, oparty na współistnieniu bardzo różnych organizmów – żadna katastrofa nie będzie straszna.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
Przed nami czas ponownego odkrycia lokalności i sezonowości. Tego, że znów są pory roku.

Nawet globalna wojna? Jej widmo, w związku z tym, co się dzieje w Rosji i na Bliskim Wschodzie, stało się realne. To, co wydarzyło się 7 października 2023 r., spotkało się z odpowiedzią Izraela, o której powiedzieć, że była „nieproporcjonalna", to nic nie powiedzieć. Cała struktura, w której funkcjonowaliśmy – z USA jako gwarantem bezpieczeństwa, Rosją jako państwem zdolnym do ograniczania swoich ambicji, Izraelem jako przyczółkiem Zachodu – kompletnie się rozmontowała.

A co sądzisz o wojnie Etiopii z Erytreą?

Jest krwawa i straszna.

No właśnie... A tam jest dziś dużo lepiej. Dobre wieści – proces pokojowy miał wzloty i upadki, ale postęp jest realny. Niepokoi też to, co dzieje się w Afryce Środkowej i w Birmie – sądzę, że stamtąd też dojdą niepokojące wieści. Chcę przez to powiedzieć, że Ukraina i Izrael dotykają nas, bo są blisko. Ale to nie jest ani nowe, ani bezprecedensowe.

Czy to, co mówisz, jest optymistyczne? Bo jakoś nie mogę się zdecydować.

Wojna jest normalnym stanem rzeczy. To, że od kilkudziesięciu lat traktujemy ją jako wyjątek, jest jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie udało nam się osiągnąć. Ale to krucha równowaga. Jeśli nie będziemy codziennie pracować nad tym, by była trwała, możemy łatwo wrócić do „normy". Dziś widzimy to tylko w postaci kilku dramatycznych wyjątków. Jesteśmy przy tym niesamowicie selektywni – dostrzegamy jedne konflikty, a innych nie, co sprawia, że wielu reżimom łatwo mordować bez świadków. To powód do krytyki działania naszych mediów – ekscytujemy się tym, co znamy. Ale dane mówią same za siebie: ludzi jest na świecie dużo więcej niż kiedykolwiek, a jednocześnie dużo mniej niż kiedykolwiek ginie w konfliktach zbrojnych. I oby tak pozostało.

© Rozmawiał TOMASZ STAWISZYŃSKI

FOT. GRAŻYNA MAKARA // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



KRAJ

KTO ZATRZYMA BRAUNA

Wszystkie dotychczasowe rządy, które zgubiły stabilną większość, a do końca kadencji „dojeżdżały na planktonie”, kończyły tak samo – utratą władzy w kolejnych wyborach.

JAROSŁAW FLIS

Po trzech latach, w trakcie których szliśmy na wybory w sumie pięć razy, czeka nas rok bez takich atrakcji. Jednak to, że nie będzie kampanijnego rozgorączkowania i twardych rozstrzygnięć przy urnach, wcale nie znaczy, że polska polityka stanie się spokojniejsza i bardziej przewidywalna. Patrząc na sześć miesięcy, które nastąpiły po finalnym prezydenckim pojedynku, nie możemy się spodziewać politycznej stagnacji. A po tylu zwrotach akcji, jakich doświadczyliśmy w minionych trzydziestu miesiącach, możemy się spodziewać niemal wszystkiego. W tej spienionej rzece chaosu i niepewności trzeba wypatrywać najgroźniejszych bystrzy, które mogą zatopić nie tylko mniejsze łódki.

Panika Hołowni

W dłuższej perspektywie największym kłopotem dla obozu rządzącego jest panika, która spowodowała rozpad Trzeciej Drogi – siły, która przecież przesądziła o wyniku ostatnich wyborów sejmowych i końcu dominacji PiS. Ugrupowanie nie przeżyło jednak złudzeń i frustracji towarzyszących wyborom prezydenckim. Szymon Hołownia nie dostrzegł, że jako marszałek Sejmu tracił stopniowo atut świeżości oraz wizerunek „człowieka z zewnątrz”, który dał mu m.in. trzecie miejsce i dwucyfrowy wynik w 2020 r. (13,87 proc.). Jednocześnie ani sam nie zbudował wokół siebie zakorzenionej społecznie partyjnej struktury Polski 2050, która jest niezbędna do sukcesu w rywalizacji starych partii, ani nie włożył wysiłku w zbudowanie autentycznej jedności i zaangażowania ze strony ludowców, którzy taką strukturę od wielu lat mają.

Trudno się zatem dziwić nie tylko temu, że Hołownia nie został prezydentem, lecz także temu, iż miał „podprogowy” wynik wywołujący rzeczoną panikę (4,99 proc.). Co zaskakujące, ulegli jej też ludowcy, choć przecież Hołownia zdobył poparcie dwukrotnie wyższe od Władysława Kosiniaka-Kamysza pięć lat wcześniej. Tamta porażka nie wywołała gwałtownych reakcji, choć przecież PSL był wtedy w dużo gorszej pozycji. Teraz brzemię spodziewanej słabości ludowców w walce o prezydenturę wziął na siebie ktoś inny, tymczasem PSL, zamiast się z tego cieszyć, wykorzystał okazję, by odciąć się od sojusznika, który – co trzeba przyznać – przez poprzednie dwa lata nieraz demonstrował swoje poczucie wyższości.

„U-Nowocześnić” Polskę 2050

Trzecia Droga uległa rozkładowi, po raz kolejny udowadniając, że lojalność znacznie łatwiej się niszczy, niż buduje. Jednak panika Hołowni po wyborach pewnie byłaby mniejsza, gdyby nie wynegocjowana przed dwoma laty utrata stanowiska marszałka na rzecz Włodzimierza Czarzastego. Przejawem zagubienia gwałtownie tracącego popularność polityka była nie tylko rezygnacja z przewodzenia partią, która zbudowana została na jego osobistych walorach, lecz także „nocna schadzka” z Jarosławem



Kaczyńskim. Może nie miała ona tak wstrząsających skutków jak randka Ryszarda Petru na Maderze przed nieomal dekadą, lecz tak jak tamten wakacyjny wyjazd w środku okupacji sali plenarnej Sejmu – przyniosła bolesny upadek z wysokiego konia. Gdyby Hołownia jako marszałek spotkał się z liderem największej partii opozycyjnej w swoim gabinecie, dałoby się to łatwo wyjaśnić. Jednak nieudolna konspiracja jest najzwyczajniej nie do obrony.

Osierocona partia stoi przed trudnym wyborem nowego lidera (ludowcy nie mieli takich dylematów i „Władek" zachował fotel prezesa bez cienia niepokoju, który towarzyszył zwykle wyborom władz PSL). W mediach pełno jest zarazem spekulacji o potencjalnym rozpadzie klubu parlamentarnego Polski 2050 – jedynego zasobu, jaki kryje się jeszcze za tak obiecującym niegdyś szyldem.

Ta wizja najwyraźniej nie wywołuje u pozostałych koalicjantów wielkich obaw. Z medialnych przecieków wynika nawet, że KO cieszy się z perspektywy realizacji swojego niegdyś nieosiągalnego marzenia – „unowocześnienia" Polski 2050, czyli wprowadzenia jej na trajektorię Nowoczesnej, która właśnie zakończyła swoją dziesięcioletnią przygodę. Nic również nie wskazuje na to, by któryś z pozostałych sojuszników przygotowywał się na ewentualność rozpadu kluczowego elementu sejmowej układanki. Tymczasem wszystkie dotychczasowe rządy, które zgubiły stabilną większość, a do końca kadencji „dojeżdżały na planktonie", czyli na doraźnych konfiguracjach indywidualnych posłów-rozłamowców, kończyły tak samo – utratą władzy w kolejnych wyborach. Najnowszy przykład, sprzed raptem dwóch lat, powinien najsilniej przemawiać do wyobraźni. Wypchnięcie z obozu rządzącego Jarosława Gowina i rozbiór jego partii nie wzmocniły PiS, tylko go pogrążyły.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Donald Tusk, Szymon Hołownia i Karol Nawrocki podczas Święta Wojska Polskiego. Warszawa, 15 sierpnia 2025 r.

Wróbel w garści lewicy

Kłopoty koalicji z jednością zaczęły się jednak od lewicy. Odejście Razem wynikało w zasadzie z sejmowej arytmetyki – skoro najodleglejsza ideowo składowa bloku jest zbędna dla zapewnienia większości, to jej pozycja negocjacyjna staje się bardzo słaba. Nie ma co jej ustępować ani płakać po odejściu. Tym bardziej że sami buntownicy nie byli w stanie zachować jedności. Z siedmioosobowej początkowo sejmowej reprezentacji dziś koło Razem tworzy tylko czwórka.

Z drugiej strony, mimo tego kryzysu Adrian Zandberg minimalnie wyprzedził w majowych wyborach oficjalną kandydatkę Nowej Lewicy Magdalenę Biejat. Ważniejszy od tego może być jednak fakt, iż oboje wylądowali pod kluczową poprzeczką 5 proc. poparcia. W walce o Pałac Prezydencki to i tak nie miało żadnego znaczenia, lecz dziś jest potężnym ostrzeżeniem, przypominającym o dramacie lewicy sprzed dekady, gdy obie jej listy potknęły się o sejmowy próg wyborczy.

Wynik prezydenckiej elekcji i sytuacja lewicy były gorsze niż w przypadku Trzeciej Drogi, lecz pomimo tego ostatnie pół roku upłynęło jej znacznie spokojniej. Przesądziły o tym dwa czynniki. Uspokojenie nastrojów wewnątrz partii i wewnątrz koalicji było bardzo na rękę Czarzastemu, a perspektywa objęcia stanowiska marszałka Sejmu stała się w jego przypadku dodatkowym elementem motywacyjnym. Także sama partia mogła to wydarzenie potraktować jak powrót do dobrych czasów (zakończonych jednak katastrofą w 2005 r.), gdy obsadzała najważniejsze urzędy w państwie. Wtedy wszystkie, dziś tylko jeden, lecz zawsze coś.

W takiej sytuacji trudno się buntować przeciwko wątpliwemu przywództwu Czarzastego, nawet jeśli jego hipoteka jest mocno obciążona przeszłością, ↦

↦ a wizja przyszłości lewicy nie przebija się do świadomości kogokolwiek. Kluczowe przesłanie tego środowiska można więc dziś opisać bez większego wysiłku – nie stracić tego, co już się udało uzyskać, wszak „lepszy wróbel w garści...".

Notowania Nowej Lewicy ustabilizowały się w okolicach 6 proc. – w miarę bezpiecznie nad progiem, nawet jeśli wyraźnie niżej niż w 2023 r., kiedy to jednocyfrowy wynik był głębokim zawodem. Lecz przecież dalej nagrodą pocieszenia jest powrót do rządu i wszystkie frukta wynikające ze sprawowania władzy. Problem w tym, że to sprawowanie władzy potrwać może niecałe dwa lata, jeśli nic się nie zmieni w sondażach. Pomijając lewicę, paradoks sytuacji polega na tym, że – jeśli spojrzeć na średnią grudniowych partyjnych notowań – o tym, kto stworzy rząd, zdecyduje te 8 proc. wyborców, które dziś wybiera Razem, PSL bądź Polskę 2050. Jeśli wyborcy ci zagłosowaliby na hipotetyczną wspólną listę, miałaby ona w Sejmie większość wraz z KO i Nową Lewicą. Jeśli cokolwiek z tych głosów się zmarnuje, spadając pod próg, większość zdobędzie potencjalna trójkoalicja PiS i dwóch Konfederacji.

Na cienkim włosku

Żyjemy w kraju, w którym zmiana zdania przez choćby co pięćdziesiątego obywatela przesądziłaby dziś o tym, która z obu rozgorączkowanych stron politycznej wojny mogłaby ogłosić, że „Polacy wybrali" właśnie ją. To, że wszystko wisi na tak cienkim włosku, wynika jednak nie tylko z kłopotów koalicji rządzącej, ale też z sytuacji opozycji.

Wyborcy, którzy dali Karolowi Nawrockiemu ostateczne zwycięstwo, dzielą się na coraz bardziej wyrównane nurty. Niemal siedem lat minęło od czasów, gdy w sejmowych wyborach PiS miał prawie siedmiokrotnie więcej zwolenników niż ekipa Krzysztofa Bosaka, Grzegorza Brauna i Janusza Korwina-Mikkego. W tegorocznej pierwszej turze wspierany przez PiS Nawrocki nie miał nawet o połowę więcej głosów od tych, które padły na dwójkę Mentzen-Braun. Dziś w sondażach PiS jest jeszcze słabszy. To największa niespodzianka drugiego półrocza 2025 r.

Trudno się nie zgodzić z Łukaszem Pawłowskim z Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, iż polskim partiom najtrudniej jest wyciągać wnioski ze zwycięstw. Szczególnie wtedy, gdy o ich sukcesie zadecydowały błędy przeciwników, nie zaś własne genialne plany.

> Wybranie kandydata, który nie kojarzy się z rządami PiS, było może i przejawem geniuszu Kaczyńskiego, **ale tylko w takim sensie, w jakim genialnym krokiem** jest sięgnięcie po podręcznikowe rozwiązania.

W przypadku PiS widać wyraźny mechanizm. Gdy partia przegrywa, to pokornieje – gdy wygrywa, głupieje. Po porażce 2023 r., szczególnie zaś po rozmontowaniu przez koalicję 15 października pułapek naszykowanych przez PiS – trzeciego rządu Morawieckiego, TVP i prokuratury – partia spokorniała na wybory samorządowe i straciła na nich mniej, niż się obawiała, zachowując pozycję największej partii w sejmikach. Jednak po tym sukcesie przestała być „jak do rany przyłóż", co przyniosło porażkę w eurowyborach – pierwszą niekwestionowaną od 2015 r. (w 2023 r. PiS niby był pierwszy, ale nie miał z kim stworzyć koalicji).

Zapewne pod wpływem tego niepowodzenia prezes ominął pułapkę, jaką były prezydenckie ambicje Mateusza Morawieckiego i Przemysława Czarnka. Postawienie na kandydata, który nie opatrzył się w czasach rządów PiS i nie jest z nimi utożsamiany, było może i przejawem geniuszu Jarosława Kaczyńskiego, ale tylko w takim sensie, w jakim genialnym krokiem jest sięgnięcie po podręcznikowe rozwiązania. Nawrocki start miał kiepski, trupów w szafie pełno, lecz jego atutem stało się to, że się nimi nie przejmował, tylko robił swoje. Tego zaś, że jego słabości zupełnie ogłupią drugą stronę i skłonią do samobójczych posunięć, nie dało się przewidzieć. Co jednak najważniejsze, jego zwycięstwo znów wystawiło na próbę pokorę popierającej go partii.

Nowe problemy Kaczyńskiego

Nawet jeśli prezes PiS na chłodno przypominał swoim szeregom, że do przejęcia władzy jeszcze daleko, to nie był w stanie zatrzymać tych, którzy już ekscytowali się obsadą przyszłych stanowisk – na czele z funkcją premiera. Jego ekipa pogrążyła się w przepychankach o spodziewane zaszczyty, ale sam Kaczyński też zaczął przejawiać oznaki „poczucia mocy", atakując bezsensownie Sławomira Mentzena.

W tej sytuacji zabrakło uwagi koniecznej, aby uniknąć dwóch nowych zagrożeń – Zbigniewa Ziobry i Grzegorza Brauna. Ucieczkę byłego ministra sprawiedliwości można do woli uzasadniać rzekomym upadkiem praworządności w kraju, lecz doświadczenia minionych lat nie obiecują sukcesów takiej strategii. W latach 2015-2023 to nie uskarżanie się na łamanie konstytucji najmocniej podnosiło poparcie opozycji. Znacznie bardziej przemawiają do wyobraźni wyborców politycy uciekający od odpowiedzialności za nadużycia – co przecież przez lata wykorzystywał sam Ziobro, budując swoją pozycję „nieustraszonego szeryfa" tropiącego aferzystów. Po jego ucieczce PiS znalazł się w pułapce, którą sam na siebie zastawił twierdząc, że nie ma swojej epoce zupełnie nic do zarzucenia; po ucieczce, a pewnie nawet wcześniej, gdy pozwolił politykom Solidarnej/Suwerennej Polski uwłaszczyć się na Funduszu Sprawiedliwości i zrobić z niego partyjny fundusz wyborczy.

PiS najwyraźniej przespał moment, gdy po sukcesie Nawrockiego można było dokonać personalnego resetu i wyznaczyć kandydata na premiera, który nie będzie ani Morawieckim, ani Czarnkiem, i który będzie w stanie zachować równowagę pomiędzy stojącymi za tą parą zwaśnionymi środowiskami, a także zapobiec zagrożeniu ze strony Brauna. To przecież Nawrocki, z wszystkimi swoimi wadami, lecz też właśnie jako człowiek w zasadzie z zewnątrz, pokazuje, na kogo po prawej stronie jest niemały popyt. Braun jest tylko słabym odbiciem Nawrockiego, wyróżniającym się na tle PiS, który zajęty jest sobą i swoimi starymi problemami. Wszystkie wzbudzane przez Brauna obawy czy pokładane w nim swoiste nadzieje (także ta, że wystraszy i zmobilizuje wyborców lewicowo-liberalnych, którzy znów postawią na Donalda Tuska i KO)



ALBERT ZAWADA / PAP

Europoseł Grzegorz Braun z dmuchaną gaśnicą przed Sejmem. Warszawa, 14 listopada 2025 r.

mogą jednak nie mieć trwałych podstaw. Bardzo podobne trajektorie były udziałem Hołowni przed pięciu laty, Ryszarda Petru przed dziesięciu czy lewicy po świetnym rezultacie „prezydenckim" Grzegorza Napieralskiego przed laty piętnastu. Przez jakiś czas po zaskakującym wyniku jest się w centrum uwagi i budzi nadzieję tych, co chcieliby „wywrócić stolik", lecz trudno przez dwa lata utrzymać odium nowości. Choć nigdy dość powtarzania, że małe partie żywią się błędami dużych – te ostatnie przecież na naszym podwórku rozsypują „karmy" całkiem sporo.

Ile głosów zmarnujemy

Osłabienie PiS na rzecz Korony Polskiej w niełatwym położeniu stawia dziś również narodowo-liberalną Konfederację. Zasiada w parlamencie już od 6 lat, więc ona też jako „glanc-nówka" się nie prezentuje. Sojusz wychowanków Młodzieży Wszechpolskiej i korwinistów do łatwych nigdy nie należał, może więc zacząć jeszcze mocniej trzeszczeć pod wpływem nowych napięć. Można oczywiście liczyć, iż Konfederacja, ustabilizowana na politycznej scenie i będąca przed drugą turą obiektem zabiegów obu prezydenckich kandydatów, przekształci się w przewidywalne ugrupowanie o jakiej-takiej zdolności koalicyjnej. To jednak trudna operacja na tożsamości partii złożonej z dwóch odmiennych skrzydeł. Konfederaci mają dodatkowo w pamięci lato 2023 r., kiedy to zbyt wcześnie ucieszyli się kilkunastoprocentowym poparciem i wizją kingmakera decydującego o tym, kto zostanie premierem – niecałe dwa kwartały później znów byli najmniejszą partią w sejmowej opozycji.

Złota rybka korzystnych sondaży nie spełnia wszystkich życzeń. Nie wiadomo, czy Konfederacja ma jakiś ideowy i organizacyjny plan. Relatywny sukces Mentzena był w równej mierze efektem nowości, co pracowitości – dziesiątków objechanych miejscowości. Czy takie przedsięwzięcie jest do powtórzenia za kilkanaście miesięcy?

Podział opozycji spod prawicowych sztandarów na trzy osobne listy dodatkowo komplikuje im sytuację, gdy brać pod uwagę nasz system wyborczy i metodę D'Hondta. Partie „paktu senackiego", walczące w 2019 i 2023 r. z PiS-em jako liderem sondaży, musiały uzyskać dodatkowe poparcie, by wyrównać premię, jaką druga strona dostała za swoją integrację. Ale dziś, choć to PiS z potencjalnymi sojusznikami staje się trójgłowym smokiem, po przeciwnej stronie barykady liczba podmiotów wzrosła już do pięciu (nie licząc samorządowej Nowej Polski). Tymczasem w polskich wyborach sejmowych nad progiem jest w sumie miejsce nie dla ośmiu, ale tylko dla pięciu list (raz było ich cztery, raz sześć). Jeśli więc nie dojdzie do jakiegoś przegrupowania, głosy wielu wyborców zmarnują się pod progiem wyborczym. W latach 2005 i 2015, gdy polska scena polityczna była najbardziej rozdrobniona, nawet co szósty głos poszedł na marne. Jeśli to się powtórzy, kluczowe będzie pytanie, czyje głosy spotka taki los. Zawsze jednak będzie to „zasługą" tych polityków, którzy przeszacowali swoje siły.

Zbyt zajęci sobą

Za porządkowanie swoich obozów mogliby się zabrać premier i prezydent, gdyby nie to, że są zbyt zajęci wbijaniem sobie szpil. I tak zresztą nie ma prostego wzoru, jak to zrobić. Marzenie, że dojdzie do zjednoczenia po którejś ze stron, jest nieustająco nierealne. Szkodliwe jest samo jego forsowanie, bo zwiększa nerwowość mniejszych środowisk. Nie jest zatem pewne, czy coś z tego przewodzenia całym obozom któremuś z nich wyjdzie, czy też zadowolą się graniem na macierzystą partię, w nadziei, że reszta jakoś się ułoży.

Wszystkie roztrząsane tu historie wpłyną mocno na rok 2026. W ramach prognoz warto wyciągnąć z nich wniosek, sformułowany przed dwu i pół tysiącem lat przez Konfucjusza: ludzie potykają się nie o góry, lecz o kretowiska. Ani niepowstrzymany ponoć wiatr sekularyzacji prowadzącej do oświecenia, ani nieuchronna podobno fala prawicowego ekstremizmu nie przesądzą o tym, w którą stronę popłynie w najbliższych latach nasza narodowa nawa. Zależy to od ruchów partyjnym sterem, ustawienia żagli umożliwiającego łapanie korzystnych podmuchów zmieniającego się otoczenia, przede wszystkim zaś od ideowego kila, który tej nawie zapewnia stabilność i zapobiega dryfowi.

Wszystkie składowe żeglarskiej sztuki wymagają dogrania przez sprawną załogę, a to nie będzie łatwe ani dla rządzących, ani dla opozycji. W pierwszej kolejności o wyniku wyborów A.D. 2027 zadecyduje to, jak we wcześniejszym, nadchodzącym właśnie roku pogrupują się ci, którzy mają już dość i Kaczyńskiego, i Tuska. Czy ci dwaj wyjadacze będą w stanie zapanować nad swoimi przyzwyczajeniami, wyobrażeniami i tendencjami do dominacji, by przystosować się do całkiem nowej dla nich sytuacji? A może zjawi się ktoś, kto ich do tego zmusi – choćby tylko do zmiany strategii, jeśli nie wręcz do odejścia na emeryturę?

© JAROSŁAW FLIS

Autor jest socjologiem i komentatorem politycznym, pracuje na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej UJ.

Wielokrotnie złożone

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

ZWIĄZKI | Pojęcie rodziny coraz częściej wymyka się tradycyjnym ramom. Rośnie liczba rozwodów i rozstań, a wraz z nimi – patchworków, zszywanych na nowo z różnych historii, doświadczeń i emocji.

Zależy, jak wypadnie: w jednym tygodniu Marlena i jej partner są parą z dwoma kotami, w kolejnym ich mieszkanie buzuje energią trójki nastoletnich chłopców. Ona ma 11-letniego syna w opiece naprzemiennej z byłym partnerem, on jest ojcem 11- i 14-latka, którzy w tygodniu mieszkają z jego byłą żoną, a prawie wszystkie weekendy i połowę wakacji spędzają u niego. Ich patchworkowy układ działa od 9 lat. – Udało się nam dobrze poukładać te puzzle, ale to wymagało i wciąż wymaga pracy, zaangażowania i kompromisów – przyznaje Marlena.

– Na początku musiałam rozrysować dzieciom mapę naszego patchworku, bo sporo tu osób, wątków i relacji. Na szczęście nieźle się w tym odnajdują – śmieje się Marta, która od niespełna 5 lat współtworzy rodzinę patchworkową. Ma dwie córki z poprzedniego związku w opiece naprzemiennej, jej partner zaś trzech nastoletnich synów, którzy spędzają u nich weekendy co dwa tygodnie. – Nasz patchwork to dwa światy. Ja i ojciec moich córek współpracujemy, u partnera jest odwrotnie: dla jego byłej żony dzieci są kartą przetargową. Bywa bardzo trudno – mówi.

Alicja sama wychowywała się w patchworku. – Może to kwestia deficytów z dzieciństwa, może zwykłe zrządzenie losu, albo jedno i drugie – mówi. Z mężem rozwiodła się ponad dekadę temu, obecnie od 5 lat buduje patchworkową rodzinę. Ma 14-letnią córkę, z obecnym partnerem są rodzicami 4-miesięcznego chłopca, jest też macochą dla 24-letniego pasierba. – Mieszkam w małym mieście i nieraz słyszałam, że skaczę z kwiatka na kwiatek. Ludziom łatwo oceniać, ale rozstania nie dzieją się bez powodu – dodaje.

Nie za wszelką cenę

Podobne historie przestały być w Polsce czymś zaskakującym. Według szacunków GUS, opartych na liczbie rozwodów i strukturze gospodarstw domowych, w naszym kraju funkcjonować może nawet milion rodzin patchworkowych, które – wedle słownikowych definicji – powstają wówczas, gdy rodzice po rozstaniu lub rozwodzie budują nowy związek. Rodzina patchworkowa składa się więc z partnerów, ich dzieci z poprzednich związków – oraz nierzadko – wspólnych dzieci pary. Powiązani są z nią także byli partnerzy i partnerki, czasem ich nowe drugie połówki, oraz dziadkowie, babcie i inni krewni. Sieć zależności bywa więc rozbudowana i niejednokrotnie konfliktowa.

W przeszłości rozwody były rzadkością, a w ponowne związki wchodziło się głównie z przyczyn losowych, takich jak śmierć męża czy żony. Dziś rozwodem kończy się już co trzecie małżeństwo (znacznie częściej w miastach niż na wsi). Jak zauważa Justyna Żukowska-Gołębiewska, psycholożka, psychotraumatolożka i mediatorka w sprawach rodzinnych – obserwujemy duże zmiany kulturowe na poziomie relacji, których skutkiem jest również coraz większa powszechność rodzin patchworkowych. – Kiedyś normą było trwanie w niesatysfakcjonujących związkach „dla dobra dzieci", bo wtedy takie były oczekiwania społeczne, a rozwody czy samodzielne rodzicielstwo były piętnowane. Dziś rozstanie coraz rzadziej uznawane jest za życiową porażkę, ludzie nie chcą być ze sobą dla pozorów, a małżeństwo czy związek nie musi być na całe życie, jeżeli nie jest zdrowy – wyjaśnia ekspertka.

Istotnym elementem zjawiska jest także większa niezależność kobiet. – W przeszłości polegały na mężu, dziś są samodzielne finansowo, świadome swoich praw, mają większą odwagę, by stawiać granice i nie tkwić w relacjach, które są dla nich obciążające – wyjaśnia dr Agata Koschel-Sturzbecher, prawniczka specjalizująca się w sprawach rodzinnych. Bazując na doświadczeniu wskazuje, że w przypadku rozstań niebagatelną rolę odgrywają czasy, w których żyjemy. – Coraz częściej w tle rodzinnych konfliktów widać przeciążenie codziennością, presję finansową, trudności w łączeniu obowiązków rodzinnych i zawodowych oraz wyczerpanie – uważa ekspertka. To rzutuje na jakość relacji.



RUDUT2015 / ADOBE STOCK

Justyna Żukowska-Gołębiewska dodaje: – Dzisiejsi 30- i 40-latkowie zdają sobie sprawę z tego, że dzieci wbrew pozorom świetnie wyczuwają to, co dzieje się między rodzicami, oraz widzą więcej, niż może się wydawać. Rozumieją też, że do prawidłowego funkcjonowania potrzebują zdrowych relacji między dorosłymi, a nie utrzymywania rodziny za wszelką cenę – wyjaśnia.

Tak było u Marleny, która rozstała się z partnerem ze względu na różnice charakterologiczne. – Zrobiłam to dla dobra dziecka. Nie mogliśmy się dogadać, a nie chciałam, żeby synek stale wysłuchiwał naszych kłótni. W przeszłości byliśmy źle dobraną parą, dziś jesteśmy dobrze współpracującymi współrodzicami, którzy mają do siebie szacunek i się lubią – podsumowuje.

Raz u mnie, raz u ciebie

Po rozstaniu każda para z dziećmi musi uporządkować kilka podstawowych kwestii: kto sprawuje władzę rodzicielską, gdzie mieszka dziecko, jak wyglądają kontakty i alimenty. – Żaden sądowy wyrok nie jest w stanie przewidzieć wszystkich codziennych sytuacji ani punktów spornych, a tych w życiu rodziny jest bardzo dużo – podkreśla dr Koschel-Sturzbecher. Dlatego zawsze zachęca swoich klientów, by kończyli związek w sposób, który pozwoli im osiągnąć rzeczywiste, a nie tylko formalne porozumienie.

W Polsce wciąż dominuje model, w którym dziecko na co dzień mieszka z jednym z rodziców, a z drugim widuje się w ustalonych terminach. Coraz częściej jednak rozstające się pary wybierają wspólne rodzicielstwo, w tym tzw. opiekę naprzemienną, zakładającą dzielenie czasu z dzieckiem w porównywalnym wymiarze. – Nie istnieje jednak idealny i uniwersalny model, który sprawdzi się w każdej rodzinie, bo opieka musi odpowiadać realnym możliwościom rodziców i potrzebom dziecka, a to oznacza konieczność uważnej obserwacji sytuacji i elastyczności – podkreśla Żukowska-Gołębiewska i dodaje, że małe dziecko może mieć trudność z funkcjonowaniem w rytmie tygodniowych zmian opieki rodziców, a nastolatek może potrzebować więcej kontaktu z jednym rodzicem, a mniej z drugim. To zupełnie normalne.

Psycholożka obala także popularny mit dotyczący opieki naprzemiennej, która często bywa albo demonizowana, albo nadmiernie idealizowana. – Ona może być zdrowym i wspierającym modelem opieki dla dziecka, ale tylko wtedy, gdy rodzice potrafią się ze sobą porozumieć i współpracować w istotnych dla dziecka sprawach – podkreśla. Takie współrodzicielstwo po rozstaniu wymaga nie tylko stałej komunikacji, ale także zbliżonego podejścia do wychowania i podobnych zasad w obu domach. – Jeśli między rodzicami istnieje głęboka różnica zdań, to każde ustalenie staje się polem walki, a opieka naprzemienna nie wygasza konfliktu, tylko go podtrzymuje – podsumowuje Żukowska-Gołębiewska.

Najgorsi rodzice na świecie?

„Co wyście zrobili dzieciom?", „Jak one mają żyć na dwa domy?", „W przyszłości wam za to podziękują, zobaczycie" – to tylko kilka zdań, które osoby tworzące patchworkowe rodziny słyszą regularnie. Mimo zachodzących zmian, w świadomości społecznej nadal istnieje silne przekonanie o tym, że tylko „normalna, tradycyjna" rodzina jest zdrowa i gwarantuje szczęście oraz szeroko pojęty dobrostan, a poza tym „ludzie w dzisiejszych czasach są niedojrzali", więc rozchodzą się z błahych powodów. Tymczasem – jak wyjaśnia psycholożka – nie ma to wiele wspólnego z rzeczywistością.

– Jest masa „tradycyjnych" rodzin z dysfunkcjami, a badania naukowe jasno wskazują, że ten model rodziny absolutnie nie determinuje dobrego funkcjonowania. Kluczowe jest to, czy jej członkowie mają zapewnione bezpieczeństwo, czy daje im ona przestrzeń do realizacji potencjału oraz czy ich potrzeby są odpowiednio zaspokajane – wyjaśnia Justyna Żukowska-Gołębiewska, zaznaczając, że dziś wiadomo już, iż głównym czynnikiem ryzyka wystąpienia kryzysu psychicznego u dziecka nie jest sam fakt rozstania się rodziców, ale jego przebieg, forma i to, jak dorośli po nim funkcjonują.

Niestety – wiele osób nadal uważa, że rozpad związku jest próbą sił i okazją do „dopieczenia" drugiej stronie – co doskonale widać choćby w postach na facebookowych grupach poświęconych patchworkom. Marta z kolei wspomina, że gdy ponad 5 lat temu rozstawała się z ojcem swoich córek, również słyszała głosy „doradców", którzy namawiali ją, by „pokazała mu, kto tu rządzi", odebrała dzieci, wzięła alimenty i żyła „jak pączek w maśle". – To był poważny związek, byliśmy razem 7 lat. Czułam ból, rozpadałam się na kawałki, ale mimo to nigdy nie grałam dziećmi, bo wiedziałam, że ↦



„Na początku musiałam rozrysować dzieciom mapę naszego patchworku, bo sporo tu osób, wątków i relacji. Na szczęście nieźle się w tym odnajdują – śmieje się Marta, która od niespełna 5 lat współtworzy rodzinę patchworkową. "

↦ wyrządzi im to krzywdę – mówi kobieta. Tuż po rozstaniu ekspartnerzy umówili się na naprzemienny model opieki nad córkami i ustalili, czym jest dla nich dobro dzieci. – Chcieliśmy, żeby dziewczynki czuły obecność obojga rodziców, żeby miały poczucie stabilności i bezpieczne środowisko. Stosownie do wieku tłumaczyliśmy im całą sytuację – wspomina Marta.

Mimo dobrych chęci, przez pierwszy rok po rozstaniu jej stosunki z byłym partnerem były napięte – bo choć sama wchodziła wtedy w związek, to czuła zazdrość o nową relację swojego „eks". Po kilku ostrych kłótniach postanowili, że dla dobra córek pójdą na terapię. – Nie mogliśmy na siebie patrzeć, siedzieliśmy tam jak za karę, ale wiedzieliśmy, że musimy kilka spraw uporządkować, bo inaczej dzieci oberwą rykoszetem – mówi Marta.

Po zakończeniu terapii atmosfera mocno się oczyściła; Marta dogadała się z żoną swojego byłego, a córki zaczęły dobrze funkcjonować w opiece naprzemiennej. – Staliśmy się wobec siebie po prostu życzliwi – podsumowuje.

Rozpruci i pozszywani

Człowiek stworzony jest do życia w stadzie, dlatego nie ma nic dziwnego w tym, że osoby po rozstaniach wchodzą w ponowne związki. Problem leży jednak w tym, że dorośli często próbują budować patchwork zbyt szybko – zanim sami uporają się z emocjami po poprzedniej relacji i zanim dzieci zdążą przeżyć „żałobę" po dawnej rodzinie. Oraz oswoić się z tym, że ich życie zmieniło się na zawsze. – Rodzice oczekują, że dziecko wejdzie w patchwork na „miękko", że z miejsca polubi lub pokocha nowych członków rodziny. Fantazjują, że dziecko „sobie poradzi", bo przecież jest elastyczne. Tymczasem ono jest neurobiologicznie zaprogramowane na stabilność i powtarzalność, nie na dorosłe rewolucje życiowe – wyjaśnia Justyna Żukowska-Gołębiewska.

Z badań wynika, że adaptacja dziecka do patchworku może trwać od dwóch do pięciu lat. To powolny proces budowania zaufania, a sam fakt, że dorośli są w sobie zakochani, nie jest gwarancją sukcesu całego przedsięwzięcia. Marta przyznaje, że mimo upływu lat starsza córka nadal traktuje jej partnera trochę jak intruza. – Oczywiście widzi to, że on mnie kocha, że mnie szanuje. Ich relacje są poprawne, ale nie oczekuję, że zapała do niego wielką miłością – zaznacza. Marta przyznaje też, że z perspektywy czasu widzi błędy, które sama popełniła jako macocha. – Była mojego partnera jest konfliktowa, nie powinnam jednak niechęci wobec matki przerzucać na jej dzieci, bo to nie ich wina. Ale jestem tylko człowiekiem. Teraz próbuję to naprawić – mówi.



RUDUT2015 / ADOBE STOCK

Dorośli często próbują budować patchwork zbyt szybko

– zanim sami uporają się z emocjami po poprzednim związku i zanim dzieci zdążą przeżyć „żałobę" po dawnej rodzinie.

Miłość to nie wszystko

Wiele osób wchodzących w patchwork naiwnie wierzy w to, że miłość wszystko poukłada. – To nie jest komedia romantyczna, lecz skomplikowany system rodzinny z wieloma wektorami – wyjaśnia psycholożka i dodaje, że czynnikiem decydującym o dobrostanie wszystkich członków patchworku jest to, w jaki sposób system jest tworzony. Proces tworzenia nowej rodziny ma dużą szansę na powodzenie, wymaga jednak uważności i cierpliwości, bo w jedną całość łączy się dwa różne środowiska, różne bagaże doświadczeń, różne historie. – Trudno oczekiwać, że wszystko od razu zagra. Zwłaszcza że badania naukowe wskazują, iż rodziny patchworkowe potrzebują dwa razy więcej pracy nad komunikacją niż rodziny tradycyjne – wyjaśnia Justyna Żukowska-Gołębiewska. – Tworzenie patchworku to ogromna odpowiedzialność.

Dla Alicji te słowa nie są tylko suchą teorią, ale osobistym doświadczeniem. Jej 14-letnia córka dwukrotnie przeżyła „stratę" ojca. – Z mężem rozwiodłam się, gdy Lena była mała. On wtedy zniknął z jej życia – opowiada smutno. Kiedy córka miała niecałe trzy lata, Alicja związała się z mężczyzną, z którym dziewczynka zbudowała bliską i czułą relację. – Nazywała go tatą, był dla niej najważniejszym mężczyzną – wspomina. – Po 7 latach rozstaliśmy się, a on odciął się od niej, bo jego nowa partnerka nie zgodziła się na kontakty. Dla Leny to był cios w samo serce – mówi Alicja. Dziś nastolatka jest w terapii, a do obecnego partnera mamy podchodzi z dystansem. – Zbyt wiele razy została skrzywdzona. Ludzie często nie mają pojęcia, że patchwork to nie tylko relacja dorosły–dorosły, dziecko też się przywiązuje. A kiedy zostaje porzucone, to już nie jest „nieudany związek", ale trauma na całe życie – mówi kobieta.

Prezenty muszą poczekać

Kolejnym „kawałkiem" istotnym dla zdrowego funkcjonowania patchworków jest podział ról w formującej się rodzinie. Owszem, nowy partner czy partnerka często wykonuje czynności typowe dla rodzica – wozi dziecko na zajęcia, pomaga w odrabianiu lekcji czy przygotowuje posiłki – ale powinna być to rola wspierająca. – Decyzje podejmowane w sprawach dzieci powinny leżeć wyłącznie po stronie ich rodziców – uważa Żukowska-Gołębiewska.

– Dzieci mają swych rodziców. My, partnerzy, jesteśmy dla nich takimi życzliwymi dorosłymi, którzy chcą dla nich dobrze. Jestem więc bardziej ciocią niż mamą – wyjaśnia swoją rolę Marlena i dodaje, że to, na co umówią się biologiczni rodzice, jest w ich patchworku świętością. – Mam wpływ na mojego partnera, mogę z nim różne kwestie przedyskutować, ale ostateczna decyzja należy do niego i jego byłej żony. Mogę się z nią nie zgadzać, ale zawsze ufam, że jest podyktowana dobrem dzieci – podsumowuje.

Tegoroczne święta Marlena i jej partner spędzili bez chłopców, bo w Boże Narodzenie dzieci raz są u nich, raz u drugich rodziców. – Tak działa patchwork, trzeba się dostosować – uważa Marlena. Trzy prezenty poczekały trochę dłużej pod choinką.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

Imiona bohaterek z uwagi na delikatność niektórych kwestii zostały na ich prośbę zmienione.



ROBERT KRAWCZYK / AKADEMIA PRZYSZŁOŚCI

Akademia Przyszłości działa od 2003 roku, a w ostatnich latach wspiera niemal 2 tys. dzieci z podstawówek

Próba głosu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

POMOC | Dobre słowa i budujące zdania potrafią zmienić bieg zdarzeń. Oraz są pamiętane – nawet po pięćdziesięciu latach. Wiedzą o tym twórcy Akademii Przyszłości.

Dominika, lat 17, pasjonatka śpiewu i fotografii, miewa takie momenty. Ma gorszy dzień, siada przy biurku. Wyciąga z szuflady książeczkę w kształcie studenckiego indeksu. Czyta.

Np. zdanie z początku roku szkolnego 2021-22, kiedy zaczęła klasę szóstą: „Byłaś świetną partnerką do gry w Mapę Przyszłości i wykazałaś się dużą otwartością". Albo z grudnia tego samego roku: „Odważyłaś się zaśpiewać". I z samego środka klasy siódmej: „Otwarcie powiedziałaś, że dzisiaj się gorzej czujesz. To bardzo ważne".

Książeczek ma w szufladzie trzy. A wpisów w środku jest niemal setka. Setka dobrych zdań.

Dominika: – Siedzę, czytam i robi mi się lepiej.

Żarty, wyśmiewanie

Na pierwszym spotkaniu pytam o jej początki w Akademii Przyszłości. I o jej pierwszy kontakt z wolontariuszką. Za oknami mokry i bury listopad, siedzimy na wygodnych kanapach w przepastnych, dobrze oświetlonych i kolorowo urządzonych wnętrzach znanego głównie z organizacji Szlachetnej Paczki Stowarzyszenia Wiosna, blisko centrum Krakowa. Dominika, która nie skończyła jeszcze 18 lat, na prośbę mamy rozmawia ze mną w towarzystwie pracownicy Stowarzyszenia Wiosna – Marty Szkudlarek. Marta czasami ośmieli Dominikę, innym razem spróbuje ją rozweselić: dziewczyna mówi cicho, jest jeszcze spięta (na drugim spotkaniu wyzna, że z tego pierwszego nie była zadowolona).

– To był rok 2021, wspólne wyjście na rolki na krakowskie Błonia – Dominika wspomina pierwsze spotkanie *face to face* z wolontariuszką Kają. – Trochę rozmawiałyśmy o szkole, trochę o mojej sytuacji życiowej, która była wtedy trudna, ale nie chcę już dzisiaj wchodzić w szczegóły. Zapamiętałam głównie to, że pani Kaja była skupiona na tym, co mówię. I że nie powtarzała tego, co często w takich sytuacjach mówią dorośli: „Nie martw się", „wszystko będzie dobrze". Od razu jej zaufałam i się polubiłyśmy.

– Byłam mocno nieśmiała, nawet w dziedzinie, którą już wtedy kochałam, czyli śpiewaniu – kontynuuje Dominika. – Nie wzięłam np. udziału w konkursie piosenki europejskiej, bo się wstydziłam. Byłam pewna, że sobie nie poradzę. Dzisiaj też się mocno stresuję, np. rozmową z panem, ale już mnie ta trema nie paraliżuje.

Pytam Dominikę o jej szkolne wspomnienia z 2021 roku. – Nie miałam problemów z nauką – odpowiada. ↦

↦ – Wspominam ją też nieźle, choć najbardziej podobał mi się... końcowy dzwonek. Byłam wycofana, zawsze gdzieś w kącie. Największy stres miałam wtedy, gdy trzeba było na forum klasy coś odpowiedzieć, wyrecytować itd. Zwłaszcza że moja klasa była specyficzna. Byli tam głównie chłopcy, którzy często z kogoś żartowali albo wyśmiewali.

„Brzydka, gruba, nielubiana"

Akademia Przyszłości, nieco mniej znana niż Szlachetna Paczka (główna kampania Stowarzyszenia Wiosna), to odpowiedź na plagę niepewności siebie wśród młodzieży. Słowo „plaga" nie jest chyba przesadą, skoro kilka lat temu współpracująca z WHO międzynarodowa sieć badawcza HBSC podała, że polskie nastolatki mają – w porównaniu z ponad czterdziestoma innymi krajami Europy i Ameryki Północnej – bardzo niską samoocenę i najbardziej negatywne postrzeganie własnego ciała.

Akademia Przyszłości działa od 2003 roku, a w ostatnich latach wspiera niemal 2 tys. dzieci z podstawówek. W pomoc każdemu z nich zaangażowane są co najmniej dwie osoby – jedna to darczyńca, druga to wolontariusz widujący się z dzieckiem przez rok, co najmniej godzinę raz w tygodniu.

W początkach Akademii Stowarzyszenie Wiosna kładło większy akcent na problemy w szkole – wolontariusze zwani byli tutorami, częściej niż dziś odrabiali z dziećmi lekcje. Dziś też się to zdarza, ale od lat główne hasło to budowanie w dzieciach i nastolatkach pewności siebie. Podopiecznych do każdej edycji Akademii wybierają współpracujący z nią szkolni nauczyciele: wyławiają uczniów nieśmiałych, stojących z boku, osamotnionych.

– Córka ma 11 lat, chodzenie do Akademii zaczęła od klasy trzeciej – opowiada mi w siedzibie Stowarzyszenia Wiosna pani Anna, mama Anastazji. – Nauczycielka zauważyła, że córka jest nieśmiała, zawsze trochę z tyłu. Uznała, że przez tę nieśmiałość Anastazja nie wykorzystuje w stu procentach swoich możliwości. Podam przykład. Był konkurs z arytmetyki dla chętnych, ale nie zgłosiła się, bo w siebie nie wierzyła. A potem pani zmieniła zdanie, do konkursu zgłosiła wszystkich z klasy, no i Anastazja... wygrała. Jej nieśmiałość objawia się też w kontaktach z dziećmi. Innych jest pełno, podchodzą do każdego, bawią się z każdym, Anastazja jest wycofana.



ARCH. PRYWATNE

ANNA KRAWCZAK, DZIAŁACZKA FUNDACJI DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ:

Mojego dzieciństwa nie oświetlały pojedyncze wzmacniające zdania, tylko stan permanentnego poczucia akceptacji.

Kim są dzieci wybierane przez AP? Jak się na co dzień czują? Wedle statystyk Stowarzyszenia Wiosna 57 proc. nie ma wiary we własne możliwości oraz doświadcza trudności z koncentracją na lekcjach, a mniej więcej co trzecia osoba jest nieśmiała i ma problemy w relacjach. Jedynie 8 proc. rodziców dzieci z Akademii ocenia swoje dziecko jako „bardzo pewne siebie". W raporcie, który niedawno ogłosiło Stowarzyszenie Wiosna, m.in. dzieci wypowiadają się o sobie samych. „Brzydka, gruba, nielubiana" – tak określiła się 13-letnia Gosia.

– Jeden z chłopców, który zaczynał przygodę z Akademią, napisał o sobie: „Jestem inteligentny, ale jednak trochę głupi" – opowiada Marta Szkudlarek ze Stowarzyszenia Wiosna. – To bardzo mocny cytat, zwłaszcza druga jego część świadczy o tym, że dorosłym udało się go już przekonać do tego, że coś z nim jest nie tak.

„Ty, na wyższą uczelnię?!"

Poprosiłem dorosłych bohaterów tego tekstu, by przysłali mi dwa zdania: złe i dobre. Takie, które podcięło albo wręcz obcięło im skrzydła. I takie, po którym chcieli latać. O to samo poprosiłem kilkoro znanych nauczycieli, ekspertów edukacyjnych i działaczy na rzecz praw dziecka. Odpowiadający mają dziś od trzydziestu kilku do sześćdziesięciu kilku lat – to, co zapamiętali, musiało więc mocno wryć im się w umysł.

Anna, mama Anastazji, zapamiętała taką scenę: – Nie było mnie w szkole, opowiedziały mi to później koleżanki. Pani sprawdza obecność, a gdy wyczytuje moje nazwisko i nie słyszy reakcji, szuka mnie pod ławką. Ten „niby żart" był nawiązaniem do mojego niskiego wzrostu.

Działaczka na rzecz praw dzieci i dziennikarka (nie chce podawać nazwiska) przysłała same złe słowa. Trzy: usłyszane w wieku dziesięciu, piętnastu i dwudziestu lat. To pierwsze – że jest „tumanem" – usłyszała od ojca. Drugie – że jest „kurwą" – od matki. Trzecie to zdanie zasłyszane od byłego partnera, ojca swojego dziecka: „Nie umiesz pisać. Piszesz, jakbyś nadal była w podstawówce".

Od ekspertki edukacyjnej Zofii Grudzińskiej dostałem m.in. taką szkolną scenę: – Czwarta klasa liceum, w kwietniu zgłaszamy wybór kierunku i uczelni. Wstaję, mówię „Akademia Muzyczna w Warszawie, reżyseria dźwięku". Wychowawczyni przestaje notować, podnosi głowę, spogląda na mnie „wnikliwie": „Ty, na wyższą uczelnię? Coś podobnego!". Ton głosu bynajmniej nie był pozytywnie zdumiony, raczej szyderczy. Nie załamałam się tylko dlatego, że naprawdę znałam swoje możliwości. Ale mogłam się załamać, bo przechodziłam okres ostrych rozchwiań emocjonalnych. Być może ona nie wiedziała o natężeniu mojego kryzysu, ale na pewno wiedziała, że chce mnie zranić.

Anna Krawczak, badaczka dzieciństwa i działaczka Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, przysłała zdanie wypowiedziane przez jej wychowawczynię kolonijną: „Ania, ty jesteś taka nierozgarnięta". Z komentarzem, że siła tej sentencji wynikała z faktu, iż nikt do niej tak nigdy nie mówił.

A Paweł Lęcki, znany polonista, zapamiętał kilka sentencji, wśród złych komunikatów umieszczając też milczenie matki. Inne to: „No, zobaczymy, jak to się skończy" (od matki), „Przecież on sobie nie poradzi, tyle choruje" (szkoła), „Taki zdolny, a taki kiepski wynik, z lenistwa na pewno" (szkoła), „Skoro inni potrafią, ty na pewno też" (matka/szkoła).

Im dalej, tym głośniej

Po dwóch tygodniach od pierwszego spotkania widzimy się z Dominiką po raz drugi – ma przynieść do siedziby Stowarzyszenia Wiosna swoje Indeksy Sukcesów.

Indeks to najważniejszy przedmiot Akademii Przyszłości. Wolontariusz po każdym spotkaniu zostawia w nim ślad: pozytywny wpis będący relacją z tego, co w danym dniu albo tygodniu poszło dziecku dobrze. Filozofia Indeksu to trochę antyteza systemowej szkoły, a na pewno tego, jak jest postrzegana – jako skupiona na deficytach, błędach, niedomaganiach.

„Świetnie sobie poradziłaś ze śpiewackimi ćwiczeniami" – to jedna z pierwszych sentencji z roku szkolnego 2020-21. – Pamiętam jak dziś – opowiada dziewczyna. – To było ćwiczenie na rozśpiewanie, które robiłyśmy z panią Kają.

Z kolejnych wpisów wybieramy głównie te dotyczące śpiewu – jednej z kilku pasji Dominiki. „Wykazałaś się dużą wiedzą na temat emocji. Napisałaś świetne teksty piosenek". „Gratuluję Ci udziału w konkursie piosenki, jestem z ciebie dumna". „Dominiko, ostatnio jesteś bardzo odważna, śpiewasz dla klasy, babci i mnie".

– Kiedy śpiewasz, jesteś innym człowiekiem? – pyta Dominikę Marta ze Stowarzyszenia Wiosna.

– Chyba tak, jestem pewniejsza siebie – odpowiada dziewczyna. – Zresztą mogę zaśpiewać „Last Christmas", jeśli chcesz.

– Bardzo!

– Teraz? Tutaj?

– A czemu nie?

Dominika bierze głęboki oddech, śpiewa. Donośnym, równym głosem, ale też ze świetną angielską wymową. – Wiele razy ćwiczyłyśmy pewność siebie z panią Kają – mówi Dominika chwilę później. – Ona słuchała, ja śpiewałam. Jak było za cicho, zachęcała: „głośniej". A potem powolutku się ode mnie oddalała, żebym była coraz głośniejsza. Robiła jeden, drugi, trzeci krok do tyłu, a ja śpiewałam coraz donośniej. W końcu musiałam zaśpiewać tak, żeby ona z końca sali mogła coś usłyszeć.

„Buzia jej się nie zamykała"

Kolejne historie mają w pamięci pracownicy i wolontariusze Stowarzyszenia Wiosna, a także rodzice podopiecznych. – Anastazja idzie jutro z panią wolontariuszką do Kociej Kawiarni, spędzić czas i pogadać – opowiada pani Anna. – Córka jest fanką kotów, stąd pomysł. Spotkanie niby trwa godzinę, ale zwykle jest przedłużane. I widzę, jak pomaga. Np. Anastazja idzie na kółko filmowe z seansem i dyskusją, a potem słyszę od koordynatorki, że właśnie jej, nieśmiałej i wycofanej, buzia się od gadania o tych filmach nie zamykała.

– Mogę opowiedzieć o Piotrusiu, tak go nazwijmy – mówi mi w siedzibie Stowarzyszenia Wiosna Bogusia, która przeszła długoletnią drogę od darczyńcy Akademii, przez wolontariat, aż po bycie jego koordynatorką. – Trochę miałam tremę, bo to był mój pierwszy podopieczny, nie bardzo wiedziałam, czy wszystko wyjdzie jak należy. Okazało się, że to lubiany i inteligentny chłopiec, którego problemem jest jednak rozbita rodzina i utrudniony kontakt z jednym z rodziców. Rozmawialiśmy o tym, gdy on czuł taką potrzebę; myślę, że wcześniejsze lata w Akademii pomogły mu przetrwać ciężkie chwile. Wytyczyliśmy sobie cel, znalezienie dla Piotrka pasji. Robiliśmy listę zainteresowań, ich wady i zalety, potem dzwoniliśmy do różnych organizacji, pytaliśmy o wszystkie możliwe informacje. Piotrek wybrał wędkarstwo i siatkówkę, a my złapaliśmy świetny kontakt.

– Mam jeszcze dwie historie, od innych wolontariuszy – kontynuuje Bogusia. – Pierwsza: chłopiec bez kontaktu z ojcem, z problemami w relacjach z rówieśnikami. Potrzebował wolontariusza mężczyzny, i takiego znalazł. To była wspaniała relacja: chłopiec był w niego wpatrzony i zainspirowany, pięknie się rozwijał. Druga: chłopiec bardzo zaabsorbowany grami komputerowymi, też z problemami w kontaktach z rówieśnikami. On wprowadził wolontariuszkę w świat gier, ona pokazała mu inne możliwości spędzania czasu. Zrobił wielki społeczny postęp, raz nawet wystąpił przed klasą.

„Jesteście piękni"

„Kiedy usiłowałam coś dla Pana wydobyć z pamięci, miałam przed oczami twarze: rodziców, ciotki, dziadka, nauczycielki języka polskiego z podstawówki, i wiedziałam na pewno, że od tych osób takie słowa słyszałam, jednak nie pamiętam ich treści" – napisała mi w odpowiedzi na prośbę o dobre słowa i zdania Anna Krawczak. – „Później pomyślałam, że mojego dzieciństwa nie oświetlały pojedyncze wzmacniające zdania, tylko stan permanentnego poczucia akceptacji. Jako dziecko nie miałam myśli, że sobie nie poradzę, nie umiem, jestem na coś za głupia, bo oczywiste było, że sobie poradzę (albo ktoś mi pomoże), umiem i jestem mądra. Po prostu jakoś wyprzedziłam biograficznie kampanię »Dobre dzieciństwo daje dziecku moc«, bo ja tę moc czułam i traktowałam jako stan oczywisty".

Dobre słowa i budujące zdania od innych? Agnieszka Foryś, była już licealna polonistka, nie przysłała mi niczego, co sama usłyszała. Dostałem od niej zdania, które napisała publicznie do swoich uczniów. Po tym, jak w 2019 roku ówczesny minister kultury Piotr Gliński obciął dotacje dla ukochanego przez nią i jej uczniów Festiwalu Conrada, ci pod nazwiskami napisali list do ministerstwa. „Jesteście piękni rozważną odwagą człowieka zbuntowanego – tego, o którym pisał Albert Camus w swoim eseju – dziękowała młodym Foryś w publicznym poście. – Bunt nie jest gestem egoisty. Służy budowaniu solidarności".

Od Zofii Grudzińskiej dostałem kolejną scenę z dzieciństwa: – Mam 14 lat, zaczynam liceum muzyczne i rodzice omawiają z profesorem fortepianu moją wadę, jaką jest lenistwo. Profesor mówi: „Ale to dobrze, że Zosia jest leniwa! Największe wynalazki zrodziły się z ludzkiego lenistwa". Pamiętam swoją reakcję: ulga, zdjęcie odium winy.

A od Pawła Lęckiego otrzymałem trzy krótkie zdania: „Warto spróbować"; „Nie liczy się wynik"; „To bardzo ciekawe, co mówisz, choć nie ze wszystkim się zgadzam".

Przeskok

– Bardzo bym chciała nadal śpiewać. Ale też spróbować aktorstwa. I rozwijać się jako fotograf – mówi Dominika, gdy pytam o przyszłość.

– Od dziewczyny, która bała się podejść do tablicy, do marzeń o aktorstwie. Niezły przeskok, co? – mówi na koniec spotkania Marta Szkudlarek ze Stowarzyszenia Wiosna.

86 proc. pytanych przez Stowarzyszenie Wiosna rodziców uważa, że pewność siebie to nie cecha wrodzona. I że można ją rozwijać przez dobre wsparcie dorosłych. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



OPINIE

O CZYM MILCZY YOUTUBE

W rywalizacji o zasięgi i uwagę nie decydują kompetencja czy wiarygodność, a zdolność dopasowania się do logiki algorytmu. A będzie gorzej: na filmikach z serwisu szkoli się AI.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Ortalionowa kurtka i fryzura mężczyzny wyraźnie datują nagranie. Podobnie jak podła rozdzielczość. „Dobra, więc jesteśmy tutaj przed słoniami. Fajne w tych gościach jest to, że mają naprawdę długie trąby i to jest fajne. I w sumie to wszystko, co mam do powiedzenia" – mówi Jawed Karim. Wideo, zatytułowane „Me at the zoo", trwa 19 sekund i jest pierwszym filmem opublikowanym na YouTubie.

20 lat później YouTube to druga najczęściej odwiedzana strona w internecie (ustępuje jedynie Google). Strona, która nie tylko stworzyła nową gałąź przemysłu (jej wartość szacowana jest na 250 mld dolarów), ale też miała wpływ na poglądy i gusta ludzi na całym świecie. Strona, o której w zasadzie mało wiemy, i która wkrótce może pozbyć się tych, którzy przez lata budowali jej potęgę.

Bez namysłu

Długo można wyliczać, jak YouTube – a w ślad za nim inne media społecznościowe, które na fali jego sukcesu zaczęły wykorzystywać wideo – zmienił sposób, w jaki oglądamy telewizję, a także jak (nie) czytamy. W 2025 r. streaming po raz pierwszy w historii wyprzedził tradycyjną telewizję linearną – twierdzi Nielsen. Pew Research Center z kolei wskazuje, że YouTube i inne społecznościówki stały się głównym źródłem informacji. Na całym świecie spada czytelnictwo prasy i książek. – Długi artykuł albo książka wymagają uważności i namysłu, żeby skonsumować treść. Media społecznościowe tego nie wymagają – komentuje dr Katarzyna Bąkowicz, komunikolożka i medioznawczyni z Uniwersytetu SWPS.

Założyciele You Tube'a: Steve Chen, Chad Hurley i Jawed Karim w swojej nowej przestrzeni biurowej w San Mateo w kalifornijskiej Dolinie Krzemowej. 2 listopada 2005 r.

ZUMA PRESS / ALAMY / BE&W

Ale YouTube dał możliwość nie tylko odbierania, ale także nadawania: zatarł granicę między widzem a twórcą i fundamentalnie zmienił relację między tymi, którzy mówią, a tymi, którzy słuchają. Bez pośredników, redakcyjnych i instytucjonalnych filtrów, uczynił z każdego użytkownika potencjalne medium. W ten sposób nie tylko zdemokratyzował dostęp do publikowania treści, lecz także przekształcił przestrzeń komunikacji w arenę nieustannej rywalizacji o zasięgi i uwagę, w której o sukcesie coraz rzadziej decyduje kompetencja czy wiarygodność, a coraz częściej zdolność dopasowania się do logiki algorytmu.

W trybach chaosu

Dr Bąkowicz podkreśla, że to ledwie wierzchołek zmiany, do jakiej doszło w ciągu ostatnich dwóch dekad. – Kiedy oglądamy wideo i coś nam się nie spodoba, możemy je wyłączyć albo zmienić na inne. I to właśnie wpływa na sposób, w jaki kształtuje się współczesna kultura komunikacji – mówi badaczka. Zauważa, że kiedy rozmawiamy z drugim człowiekiem, nie możemy go scrollować albo przyspieszyć: – Tymczasem nasza uważność wskutek treści wideo zmieniła się, a kultura dialogu została wyparta przez kulturę monologów.

Monologów, które coraz mocniej polaryzują społeczeństwa, a my nawet nie wiemy, jak są wybierane te polecane nam do wysłuchania czy obejrzenia. Reporter śledczy „New York Timesa" Max Fisher w książce „W trybach chaosu" opisuje, jak w 2016 r. w YouTubie zdecydowano, żeby system selekcjonujący filmiki, dotąd wspomagany przez sztuczną inteligencję, ale nadzorowany przez ludzi, całkowicie oddać programom: „To tak, jakby Coca-Cola napełniła miliard automatów do sprzedaży napojem, którego recepturę opracowała sztuczna inteligencja, a człowiek nie sprawdził zawartości butelek, ponieważ algorytm zaprogramowano tak, by poprawił wyniki sprzedaży, nie troszcząc się o zdrowie i bezpieczeństwo konsumentów".

Wśród znajomych

YouTube'a założyli Chad Hurley, Steve Chen i Jawed Karim, wówczas pracownicy PayPala. Dwaj pierwsi twierdzą, że wpadli na pomysł podczas domówki, gdy próbowali wymienić się krótkimi nagraniami – transfer się wieszał, odtwarzacze nie czytały plików, serwisy hostingowe odmawiały współpracy. Czyli mieli dokładnie te same problemy, co większość ówczesnych użytkowników internetu. Jakimi nagraniami chcieli się wymieniać, nie powiedzieli.

Karim ma inną wersję. Utrzymuje, że chciał założyć serwis z wideo dlatego, że nigdzie w sieci nie mógł znaleźć nagrań ze słynnym incydentem z Super Bowl w 2004 r., gdy Justin Timberlake zerwał część kostiumu Janet Jackson.

Tak czy inaczej, panowie na początku 2005 r. odpalili wersję beta swojego serwisu, choć zakładali wtedy, że będzie to portal... randkowy. Reklamowało go hasło „*Tune In, Hook Up*" (Włącz się i łącz się). Gdy okazało się, że pomysł nie zaskoczył, w desperacji proponowali kobietom po 20 dolarów za przesyłanie filmików. Chętnych nadal nie było. Wówczas zmienili strategię. Wczesne materiały prasowe określały projekt jako miejsce do dzielenia się nagraniami ze znajomymi. Tylko tyle i aż tyle.

Po pół roku działalności, gdy siedzibą firmy był pokoik tylko nieco większy od składu na szczotki nad pizzerią w kalifornijskim San Mateo, YouTube miał już 2 mln użytkowników dziennie i 20 mln nagrań. A Karim w wywiadach w 2006 r. powtarzał, że ludzie „używają serwisu w sposób, którego w ogóle nie przewidywali".

Jedna trzecia ludzkości

Platforma rosła wykładniczo. Magazyn „Time" obserwując ten fenomen, ogłosił Człowiekiem Roku 2006 r. użytkowników, którzy anonimowo tworzą i udostępniają treści w internecie. Tymczasem poza osobami, które udostępniały na YouTubie nagrania swoich dzieci, kotów i wyczynów na imprezach, pojawiły się tam także marki, wśród nich Nike (pierwszy viral z milionem odsłon).

Serwis przykuł uwagę innego rodzącego się giganta internetu. Pod wpływem Susan Wójcicki, w której garażu kilka lat wcześniej powstało Google, jego prezes Eric Schmidt zgodził się na zakup portalu z filmikami. W listopadzie 2006 r. doszło do jednej z najważniejszych transakcji w historii internetu – YouTube został sprzedany za 1,65 mld dolarów (o miliard więcej, niż wynosiła wówczas wycena firmy). Twórcy serwisu mówią, że podjęli tę decyzję, bo brakowało im infrastruktury do obsługi lawinowo rosnącego ruchu, a Google dysponował serwerami, które mogły to udźwignąć.

Dziś z YouTube'a korzysta 2,7 mld osób miesięcznie – jedna trzecia ludzkości – a łącznie jest tam do obejrzenia blisko 15 mld nagrań. Analitycy wyliczają, że jako samodzielna firma byłby wart 550 mld. Ponad 333 razy więcej niż w chwili sprzedaży.

Algorytm kocha emocje

Gdyby nie powstał YouTube, możliwe, że wciąż istniałaby MTV, choć zapewne nie byłoby gwiazd takich, jak Justin Bieber, Psy (pierwszy artysta, którego nagranie przebiło miliard odsłon) czy Billie Eilish. Możliwe też, że nie byłoby surrealistycznego humoru pokolenia Alfa, np. serii Skibidi Toilet, gdzie toalety z ludzkimi głowami prowadzą wojnę z urządzeniami AGD z ludzkimi ciałami. Wielu z nas nigdy nie usłyszałoby „Baby Shark" (pierwsze nagranie, które osiągnęło 10 mld odsłon) i zapewne wciąż miałoby problem z ugotowaniem makaronu *al dente* czy naprawą uszczelki. Pewnie nie byłoby też darmowych lekcji w 30 językach na Khan Academy (od matematyki po filozofię) ani inspirujących TED Talks.

Oczywiście, że na YouTubie są też patologie, czego jaskrawym przykładem wyjątkowo popularny jeszcze niedawno w Polsce i na wschód od nas patostreaming. Nadrzędnym celem algorytmów jest przecież utrzymanie jak najdłużej użytkownika, bo to oznacza wyższe przychody z reklam. A nic nie zatrzymuje uwagi skuteczniej niż treści wywołujące emocje, nawet jeśli to oburzenie czy złość.

Gdzie filtr nie sięga

YouTube'a wykorzystują wszelkiej maści fanatycy, zwolennicy teorii spiskowych, ale też kartele narkotykowe i terroryści, jako narzędzie promocji i rekrutacji. A serwis coraz mocniej krytykowany jest z powodu szerzenia mowy nienawiści czy dezinformacji.

Jego regulamin zakazuje wprawdzie publikowania materiałów drastycznych, ↦



YOUTUBE



DAVE KOTINSKY / GETTY IMAGES

Wideo, zatytułowane „Me at the zoo" trwa 19 sekund i jest pierwszym filmem opublikowanym na YouTubie. Obok: Prezes Neal Mohan z twórcami YouTube'a, podczas wydarzenia Made On YouTube w Nowym Jorku, 16 września 2025 roku

↦ pornograficznych, zachęcających do działań niebezpiecznych lub nielegalnych oraz spamowania i wedle upublicznianych raportów firmy algorytmy już na etapie wgrywania wykrywają 96 proc. treści naruszających te zasady, ale praktyka pokazuje, że wystarczy kilka kliknięć, by dotrzeć, gdzie żaden taki filtr nie sięga.

Problem dobrze obrazują eksperymenty prowadzone m.in. przez fundację Panoptykon, które wykazały, że wyszukiwanie pozornie niewinnych haseł, takich jak „Peppa Pig", może prowadzić do zaskakująco makabrycznych treści, a wpisanie frazy „nowotwór odżywianie" potrafi skierować do nagrania o cudownej diecie, która rzekomo leczy raka.

Problem w tym, że patologie, których dotąd byliśmy świadkami, mogły być zaledwie niewinną przygrywką.

Trump obłaskawiony

We wrześniu YouTube w ramach ugody z Donaldem Trumpem wypłacił powiązanej z prezydentem organizacji 24,5 mln dolarów odszkodowania za zawieszenie jego konta po zamieszkach w Kapitolu 6 stycznia 2021 r. Wówczas przedstawiciele serwisu tłumaczyli decyzję „ryzykiem przemocy", a Sundar Pichai, dyrektor generalny Alphabet, spółki macierzystej YouTube'a, pisał w notatce do pracowników, że „bezprawie i przemoc, do których doszło na Kapitolu, stanowią antytezę demokracji". Teraz nikt z Alphabet ani YouTube'a nie komentował ugody.

Tydzień przed jej zawarciem ogłoszono za to decyzję o przywróceniu w serwisie kont twórców zbanowanych za szerzenie dezinformacji o covid-19 oraz rzekomym sfałszowaniu wyborów prezydenckich w USA w 2020 r. „YouTube ceni konserwatywne głosy na swojej platformie i zdaje sobie sprawę, że ci twórcy mają szeroki zasięg oraz odgrywają ważną rolę w dyskursie obywatelskim" – oświadczyła firma. Powołując się na jej wewnętrzne dokumenty, „New York Times" podał, że zdecydowano też o złagodzeniu zasad dotyczących treści – jeśli filmy zostaną uznane za „leżące w interesie publicznym", moderatorzy mają kierować się w większym stopniu zasadą „wolności słowa" niż ryzykiem wyrządzenia szkody.

Wcześniej ugody z Trumpem dotyczące zablokowania mu kont zawarły Meta i X, wypłacając odpowiednio po 25 i 10 mln dolarów. Dla gigantów technologicznych to kwoty symboliczne (w ostatnim kwartale YouTube zarabiał na reklamach średnio 107 mln dolarów dziennie). Liczy się jednak sam odwrót od egzekwowania regulaminów zakazujących nawoływania do przemocy. Charlie Warzel na łamach „The Atlantic" komentował, że można to uznać za „akt głębokiej służalczości i korporacyjnego tchórzostwa".

Bez presji kliknięć

Prawdziwy YouTube istnieje jednak trochę obok tego wszystkiego. Zaczyna się za wypolerowaną fasadą influencerów, wymejkapowanych polityków i prezesów. I wciąż ma więcej wspólnego z tamtym chłopakiem w ortalionowej kurtce w zoo niż z blichtrem wielomilionowych odsłon.

Dwa lata temu zespół badaczy z Uniwersytetu Massachusetts opublikował badanie, które nie opierało się na oficjalnych informacjach podawanych przez YouTube'a. Dane pozyskano za pomocą zbudowanego na uczelni programu, który losowo wybierał nagrania w serwisie. Okazało się, że mediana wyświetleń to zaledwie 41. Innymi słowy: zdecydowanej większości wideo na YouTubie w zasadzie nikt nie ogląda. I z tych nagrań wyłania się świat zupełnie inny od prezentowanego na stronie głównej serwisu.

W uniwersyteckiej próbce jest m.in. nagranie dziewczyny, która wygłupiając się z siostrą, maluje usta flamastrem. Jest 19-minutowy klip z padającym śniegiem. Wideo z rybakiem machającym z łodzi. Nagranie z dwoma robotnikami w Indiach, którzy opowiadają o tęsknocie za domem. I z mężczyzną opłakującym śmierć kotki. Są też niekończące się, nudne nagrania z gier wideo (gracze to prawie 20 proc. użytkowników). To YouTube, którego nie ukształtowała presja kliknięć: miejsce, w którym konkretny człowiek ma rzeczywiście coś do powiedzenia drugiemu, i cyfrowy strych, gdzie treść może po prostu istnieć.

„Rozmowy o YouTubie opierają się na zubożonym wyobrażeniu, czym naprawdę jest ta platforma" – mówił BBC Ryan McGrady, jeden z badaczy uczestniczących w projekcie. Analizując nagrania zespół odkrył, że ponad 70 proc. filmów na YouTubie nagrano w językach innych niż angielski i np. w Azji Południowej wydają się one funkcjonować jako narzędzie do przesyłania wiadomości przez osoby o niskim poziomie umiejętności czytania i pisania, a interakcje pod takimi klipami pochodzą zwykle od osób, które znają użytkownika osobiście.

Zdaniem Ethana Zuckermana, dyrektora Inicjatywy na rzecz Cyfrowej Infrastruktury Publicznej Uniwersytetu Massachusetts, YouTube bez algorytmu rekomendacji stałby się właśnie takim miejscem, jak pobrana przez badaczy próba – przestrzenią, w której ludzie po prostu dokumentowaliby chwile ze swojego ży-



YOUTUBE W LICZBACH

2,5 mld
liczba aktywnych użytkowników miesięcznie

20 godzin
tyle czasu miesięcznie spędza na YouTubie przeciętny użytkownik

500 godzin
tyle nowych nagrań trafia na serwis co minutę

29 mln
użytkowników serwis ma w Polsce

cia, dzielili się doświadczeniami i tym, co przychodzi im do głowy.

Tresowanie twórców

Dziś YouTube ma przewagę nad konkurencją, o jakiej TikTok czy Instagram mogą tylko marzyć. „Ma wszystko. Od 15-sekundowych klipów, przez 15-minutowe tradycyjne filmy, po 15-godzinne transmisje na żywo i wszystko pomiędzy" – zachwalał niedawno w wywiadzie dla „Wired" prezes koncernu Neal Mohan. Ale serwis chce jeszcze więcej. Zapowiada erę filmów generowanych przez AI. Mohan twierdzi, że to po prostu udoskonalenie już oferowanej usługi: „Kiedy YouTube narodził się 20 lat temu, chodziło o wykorzystanie technologii, by głos większej liczby osób został usłyszany. W przypadku sztucznej inteligencji zasada jest ta sama – wykorzystać technologię, by zdemokratyzować tworzenie".

Jednym z fundamentów demokratyzacji jest jednak szacunek dla jednostki. Tymczasem jednostki, które dotąd tworzyły dla YouTube'a treści, ostatnio stają okoniem do pomysłów jego prezesów. Od czerwca w sieci pojawiały się informacje, że coś dziwnego dzieje się z krótkimi nagraniami już po publikacji – zmieniało się na nich światło albo ostrość, osobliwe rzeczy działy się z włosami i innymi detalami. Dopiero z końcem sierpnia Rene Ritchie, szef działu łączności z twórcami YouTube'a, przyznał, że firma „przeprowadza eksperyment na wybranych YouTube Shorts, wykorzystując tradycyjną technologię uczenia maszynowego do usuwania rozmyć, usuwania szumów i poprawy klarowności w filmach podczas przetwarzania (podobnie jak robi to nowoczesny smartfon podczas nagrywania filmu)". Twórców nikt o zgodę nie pytał.

Podobnie nikt nie zapytał autorów ponad 15 mln nagrań z ponad 2 mln kanałów na YouTubie, czy można je pobrać do szkolenia AI. „The Atlantic" ustalił, że duża część tych wideo to filmiki instruktażowe. „Wkrótce będziesz mógł zapytać ChatGPT lub inne narzędzie generatywnej sztucznej inteligencji o to, jak zbudować stół ze znalezionych nóg i otrzymasz w odpowiedzi niestandardowy film instruktażowy. Nawet jeśli ta odpowiedź nie będzie tak dobra, jak jakikolwiek film stworzony przez stolarza, będzie natychmiastowa i dostosowana do twoich wymagań. Branża publikacji online już została zdziesiątkowana przez narzędzia do generowania tekstu. Twórcy wideo powinni spodziewać się podobnych wyzwań" – twierdzi magazyn.

Cyfrowa kopalnia

By szkolić sztuczną inteligencję do generowania wideo, programiści potrzebują ogromnych ilości nagrań (jak wcześniej potrzebowali tekstów), a YouTube jest ich największym źródłem. Przed amerykańskimi sądami już toczą się procesy, które mają rozstrzygnąć, czy szkolenie algorytmów jest „dozwolonym użytkiem" utworów chronionych prawem autorskim. Bez względu na rozstrzygnięcie, YouTube na masowe ściąganie nagrań, jak twierdzi „The Atlantic", w zasadzie nie reaguje.

Komisja Europejska w grudniu wszczęła wobec Alphabet postępowanie antymonopolowe, które ma wyjaśnić, czy koncern trenując modele AI nie zapewnia sobie uprzywilejowanego dostępu do cudzych materiałów kosztem konkurentów i twórców. Tak czy inaczej, poszkodowani będą ci, którzy treści dotąd tworzyli, bo wcześniej czy później ich nagrania zostaną wyparte przez treści AI.

Możliwe, że w ten sposób YouTube wkracza w ostatni etap ewolucji. Nagrania, te publiczne, z milionami odsłon, i te bardzo prywatne, przestają być sensem istnienia tego serwisu. Treści stają się cyfrową kopalnią, z której surowiec wydobywany jest na masową skalę, rafinowany i przetwarzany w algorytmicznych hutach na produkt, który nie należy już do twórców, a do tych, którzy najskuteczniej umieją go zmonetyzować. To przestrzeń, w której nie będzie już miejsca dla chłopaka w ortalionowej kurtce mówiącego, co właściwie jest fajnego w słoniu. © AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



WITAJCIE W CZASACH CHCIWOŚCI I POGARDY

Po roku rządów Trumpa widać już, jaki świat chce nam stworzyć. Wiemy dość, by zaproponować ambitny polski plan dla Europy.

OLAF OSICA

Niezależnie od tego, jak potoczą się ostatecznie negocjacje między USA, Rosją, Ukrainą i Europą, gdybyśmy mieli podsumować rok 2025 w polityce światowej tak, jak mamy w zwyczaju recenzować serialowe sezony, ocena byłaby druzgocąca.

Główni bohaterowie budzą bardziej zażenowanie niż sympatię. Fabuła zdaje się ulepiona z jednej i tej samej akcji, powtarzanej co kilka odcinków. Finał nie tylko nie zapowiada się spektakularnie, lecz nie wiadomo, czy w ogóle się zapowiada. W zasadzie kolejny sezon nie powinien powstać. Mimo to zdjęcia do niego są już kręcone.

Nowe elity Zachodu

Za tym na poły żartobliwym opisem kryją się jednak dramaty milionów ludzi – w Ukrainie, Gazie, Sudanie i innych miejscach, gdzie „wielka polityka" zostawia swoje krwawe żniwo. Dyplomacja w wydaniu elit „nowego Zachodu" została zredukowana do negocjowania biznesów.

Kulisy ustalania przez Steve'a Witkoffa słynnych 28 punktów „planu" dla Ukrainy to wydarzenie bez precedensu. Plan pisany przez Kreml jest prezentowany jako propozycja amerykańska, a Wit-



NATHAN HOWARD / REUTERS / FORUM

Donald Trump na płycie lotniska w Morristown w stanie New Jersey, USA, 23 maja 2025 r.

koff instruuje zauszników Putina, jak zyskać przychylność Trumpa. Ten nie widzi w tym nic złego – pragnienie zatrzymania rozlewu krwi ma usprawiedliwiać nawet takie działanie. W istocie jednak chodzi tu o pieniądze, które rodzina i przyjaciele prezydenta USA mogą zarobić na współpracy z Rosją.

Trump, Netanjahu, Orbán i asystujący im witkoffowie tego świata to w istocie oligarchowie, którzy politykę światową traktują jak klub bogatych cyników, szukających prostych metod na duże biznesy. Choć wybrani demokratycznie, nie lubią demokracji, bo z nią wiąże się odpowiedzialność za swoje poczynania.

Egoizm i pogarda

Często daleka od swych ideałów, pełna sprzeczności i poobijana przez kryzysy – tak, polityka wspierania demokracji, wolnego rynku i wolności w świecie przyniosła po końcu zimnej wojny wiele rozczarowań. Elity liberalne mają wiele na sumieniu. Ale ich polityka miała ambicję, by zmieniać świat na lepsze. W wielu miejscach go zresztą zmieniła – Polska tego najlepszym przykładem.

Dziś „nowe elity" promują politykę pozbawioną jakiejkolwiek nadziei. Politykę do cna egoistyczną, w której liczy się tylko zdolność do wzajemnego szantażu, opartego na sile gospodarczej i militarnej. Oraz ostentacyjna chciwość i pogarda dla słabszych.

Jednak ich przekonanie, że stabilność na świecie można oprzeć na mitycznej „równowadze sił", jest takim samym złudzeniem jak wiara, że demokracja zagości w każdym zakątku świata. Każdy nowy ład, który jest wart swojej nazwy, musi bowiem tworzyć przestrzeń dla racjonalnego zarządzania problemami. Musi też opierać się na systemie wartości, który ludzi łączy, a nie ich wykorzystuje.

Negocjacje dawnych lat

Cofnijmy się o 35 lat. Gdy upadały komunizm i imperium sowieckie, obawom przed wielką destabilizacją, która mogła nastać po tym upadku, towarzyszyła aktywna dyplomacja. Z rozpadających się puzzli starego świata próbowano na bieżąco układać nowy obraz.

Jego twórcy – Bush, Kohl, Mitterrand, Thatcher, a także Gorbaczow – byli populistami swoich czasów. Dbali o swój interes, wykorzystywali swoją przewagę, nie bali się szantaży. Patrzyli na politykę przez pryzmat narodowych egoizmów i emocji. Ale zarazem mieli świadomość, że albo spróbują razem coś wygrać i ugrać w chaosie zmian, albo wszyscy przegrają bezpieczeństwo i dobrobyt swoich państw.

Z jednej strony, Bush przestrzegał Ukraińców przed skutkami opuszczenia Związku Sowieckiego, Mitterand mówił o swej miłości do Niemiec (stąd dwa państwa niemieckie były dla niego lepsze niż jedno), Thatcher uważała niemieckie zjednoczenie za „policzek", a Kohl instrumentalnie lawirował w sprawie granicy na Odrze.

Równolegle jednak negocjowali warunki zjednoczenia Niemiec, a także warunki otwarcia NATO i Wspólnoty Europejskiej (poprzedniczki Unii) na współpracę z nowymi demokracjami w Europie Wschodniej, i szykowali kolejny krok w integracji europejskiej.

Budowniczy i destruktorzy

Gorbaczow, choć osobiście największy przegrany tamtych czasów – odstawiony na boczny tor przez Jelcyna i uznany za symbol „zdrady Związku Sowieckiego" – okazał się finalnie politycznym zwycięzcą. Bez wdzięczności dla „Gorbiego" za to, że zaakceptował cichą śmierć imperium, na Zachodzie nie powstałby mit demokratycznej Rosji.

Ten mit, którego słynnym przejawem są słowa Schrödera, iż Putin to „kryształowy demokrata" (orzekł tak w 2004 r., broniąc Putina od zarzutu, iż ten niszczy demokrację w swoim kraju). I który przyniósł Rosji nie tylko miliardy marek, a potem miliardy euro inwestycji, ale długo, za długo kazał politykom Zachodu widzieć w Rosji partnera.

Gdy główni aktorzy lat 1989-91 spotkali się po latach w Hotelu Broadmoor w Colorado Springs, by powspominać tamten czas (nie było tylko Kohla), Thatcher podsumowała swoją politykę słowami, które dziś dają do myślenia: „Rola przywódców nie polega na godzeniu się z rzeczywistością. Uważam, że jesteśmy po to, żeby zmieniać to, co nieuchronne – w każdym wypadku kierując się umiłowaniem wolności".

Różnica między wtedy a dziś, między rokiem 1990 a 2025/2026, sprowadza się zatem do jednej rzeczy: pragmatycznych budowniczych nowego świata zastąpili pozbawieni wyobraźni destruktorzy.

Samobójstwo Rosji

Putin nie jest i nie będzie Gorbaczowem. „Gorbi" chciał ocalić Związek Sowiecki, ↦

↦ reformując go, co mu się nie udało, ale finalnie przysłużył się światu. Tymczasem ratując w jego mniemaniu wielkość Rosji, Putin sprowadził jej siłę do jednego wymiaru – militarnego.

Wojna w Ukrainie jest dla Rosji tym, czym dla Związku Sowieckiego była wojna w Afganistanie z lat 1979-89: politycznym i gospodarczym samobójstwem rozłożonym na raty. Wprawdzie dzięki pomocy Pekinu i Indii raty długu są wciąż rolowane, ale stale rosną.

Następca Putina, kimkolwiek będzie (lub może nawet już jest, o przewrotach w Rosji zawsze dowiadujemy się następnego dnia rano), nie będzie mógł liczyć na tamten Zachód, który po 1991 r. doprosił Rosję do wspólnych instytucji, zapewniał pożyczki i dawał (na kredyt) uznanie międzynarodowe. Takiego Zachodu już nie będzie.

Rosja pozostanie pariasem, najpewniej na dekady. Krajem zacofanym, zdanym na łaskę Chin lub USA, które będą brutalnie eksploatować jej słabość w zamian za udział w nowym „koncercie mocarstw". Stąd wojna jest jedyną kartą, którą Putin może grać. Nie jest to dobra wiadomość nie tylko dla samych Rosjan, ale przede wszystkim dla jej sąsiadów.

Samoredukcja Ameryki

A Trump? On niszczy niejako przy okazji. Jego celem jest – to widać po roku jego rządów – wycofanie Stanów z globalnej sieci sojuszów i powiązań gospodarczych. Nowa Strategia Bezpieczeństwa Narodowego, opublikowana w grudniu 2025 r., zakłada, że USA chcą zredukować się do roli regionalnej potęgi na zachodniej półkuli. Dbanie o własne granice i trzymanie wrogów z dala od obu Ameryk ma być odtąd ich głównym zadaniem.

Nie byłoby w tym nic kontrowersyjnego, przynajmniej z perspektywy Waszyngtonu, gdyby tej samoredukcji nie towarzyszyło przekonanie, iż status mocarstwowy pozostanie przy Stanach niejako automatycznie, bo za jego utrzymanie będą płacić sojusznicy.

Nie ma to wiele wspólnego z politycznym realizmem, którym ponoć kieruje się Trump. Mocarstwa ponoszą bowiem koszty bycia mocarstwami.

Nawet ów nowy system lenny – bo tak można opisać oczekiwania Białego Domu wobec innych krajów – wymaga angażowania się suwerena w konflikty w dalekich teatrach, od Europy Wschodniej po Tajwan, Koreę i Japonię. Z pewnością nie będzie on atrakcyjny dla państw, które poważnie traktują demokrację i suwerenność.

Ale świat dostosuje się do nowej strategii USA. Zapewne szybciej, niż Trump dostosuje się do świata, który właśnie naszkicował.

Europa niweluje straty

Europa – w osobach premiera Starmera, prezydenta Macrona i kanclerza Merza – jest w tym amerykańsko-rosyjskim uścisku ogłuszona. Pozbawiona orientacji i skupiona na przetrwaniu. Przede wszystkim na przetrwaniu Ukrainy, ale też swojej racji bytu.

Jest w tym coś frapującego, że te trzy kraje, które po 1945 r. doświadczyły polityki USA z jej wszystkimi dobrymi i ciemnymi stronami – od wyzwolenia, przez obojętność wobec budowy muru berlińskiego w 1961 r., po wojnę z terroryzmem na początku XXI w. – okazały się tak nieprzygotowane na kolejną kadencję Trumpa. I to po latach debat i ostrzeżeń, że zaangażowanie Stanów w Europie dobiega końca za sprawą zmian w samej Ameryce.

Ale jedno trzeba im – i kilku innym politykom europejskim – uczciwie oddać. W całym tym chaosie próbują nie tylko niwelować straty, wspierać Ukrainę i hamować destrukcyjne zapędy Trumpa. Traktują swoją misję tak, jak określiła ją Thatcher: „żeby zmieniać to, co nieuchronne". Choć krucha stabilność w polityce wewnętrznej daje im pretekst, by schować się za murem opinii publicznej i czekać, aż sprawy rozwiążą się same.

Polska: dziecko dawnego ładu

W tym wszystkim gdzieś jest, lecz nie wiadomo gdzie, Polska. Nie chodzi tylko o obrazki, na których rzadko widzimy polskiego prezydenta czy premiera w gronie tych, którzy wraz z Ukrainą szkicują ramy porozumienia.

Problemem jest rozdźwięk między z jednej strony świadomością zmian, które zachodzą w naszym otoczeniu w iście rewolucyjnym tempie, a z drugiej strony brakiem politycznej odpowiedzi na nie. Same słowa to za mało. To trochę tak, jakbyśmy liczyli, że ciemne chmury przeminą. A nawet jeśli nie, to że w świecie nowych reguł odnajdziemy się tak samo dobrze, jak w tym, który przemija. Nie odnajdziemy się.

Polska jest dzieckiem i beneficjentem tamtego świata wolnościowego i owego „naiwnego idealizmu", o którym mówił ostatnio sekretarz wojny USA Pete Hegseth.

Wprawdzie daliśmy iskrę do wielkich zmian w postaci Solidarności i okrągłego stołu, ale nie braliśmy udziału w tworzeniu nowego porządku w Europie po zimnej wojnie. Nie było nas przy stole rokowań 2+4 o zjednoczeniu Niemiec ani na ówczesnych szczytach NATO i Wspólnoty Europejskiej. Wychodząc z komunizmu, byliśmy bankrutami.

Jednak udało nam się wsadzić nogę w drzwi zachodniej polityki, skutecznie odwołując się do mitów Solidarności i bezkrwawej rewolucji, a czasem też do szantażu moralnego.

Sondaż roku: coraz więcej obywateli nie wierzy swoim elitom i instytucjom

Według sondażu prestiżowego ośrodka Pew Research Center, przeprowadzonego w 25 krajach (także w Polsce), ludzie w różnych regionach świata są niezadowoleni ze swoich systemów politycznych i z wybranych przedstawicieli. W 20 z 25 państw większość badanych twierdzi, że ich system polityczny wymaga albo poważnych zmian, albo całkowitej reformy; opinię tę podziela około ośmiu na dziesięciu (lub więcej) dorosłych w Argentynie, Brazylii, Grecji, Kenii, Nigerii, Korei Południowej i USA. Jednak wielu z tych, którzy chcą znaczących zmian politycznych w swoim kraju, nie wierzy, że są one możliwe do przeprowadzenia.

To niezadowolenie jest przynajmniej częściowo powiązane z frustracją wobec przywódców politycznych. W 25 badanych krajach mniej więcej czterech na dziesięciu respondentów (lub nawet więcej) wskazuje, że niewielu lub żaden z wybranych przedstawicieli nie jest uczciwy, etyczny, dobrze wykwalifikowany, że rozumie potrzeby zwykłych ludzi i koncentruje się na najważniejszych problemach swojego kraju. ©

Co by było...

A przecież mogło być inaczej. Gdyby wtedy, po upadku sowieckiego imperium, w polityce dominowały dzisiejsze idee trumpistów – patrzących na świat przez pryzmat wąskich interesów narodowych, zamykających granice i gospodarki, stawiających na deale mocarstw kosztem instytucji międzynarodowych – nie byłoby sukcesu polskiej transformacji. Bo nie byłoby po prostu otwarcia NATO i UE na byłe kraje komunistyczne.

Przypomnijmy, że w ówczesnej optyce krajów „starego" Zachodu potencjalne koszty tego otwarcia górowały nad potencjalnymi zyskami. Ani w 1999 r., gdy wchodziliśmy do NATO, ani w 2004 r., gdy weszliśmy do Unii, nikt sobie nie wyobrażał, że po 20 latach Polska będzie jedną z najszybciej rozwijających się gospodarek świata. Że zapóźnienia z czasów PRL-u nadrobi w ciągu jednego pokolenia.

Nikt wówczas nie mógł także sądzić, że w 2025 r. będziemy wydawać ponad 4 proc. na obronę, kupując najnowsze systemy i rozbudowując siły zbrojne. Przypomnijmy, że przed 1999 r. Sojusz obniżał kryteria militarne, aby przepchnąć nas, Czechów i Węgrów.

Między dwoma światami

Tak, nasza historia po 1989 r. mogła potoczyć się inaczej. Zamiast rozszerzać amerykańskie gwarancje dla Polski w ramach NATO, można było zaoferować nam mglistą współpracę, której bliskość zależałaby od tego, jak traktujemy firmy z USA. Zamiast oferować fundusze strukturalne, znosić wizy i otwierać rynek, Europa Zachodnia mogła zostać przy zwykłej wymianie handlowej, wymusić otwarcie na inwestycje (polskiego kapitału nie było, były za to długi), a wizy dawać „po uważaniu".

Ktoś zareplikuje, że takie były przecież początkowe intencje USA, Francji czy Niemiec, że otwarcie następowało powoli i z oporami. To prawda. Bo to nie była sielanka, tylko gra narodowych interesów (choć pojęcie to skrzętnie ukrywano za parawanem dyplomacji). My mieliśmy swój interes – i go zrealizowaliśmy.

Źródłem fundamentalnej różnicy między tamtym światem idei wolnościowych a obecnym światem putinowsko-trumpowskiej nowej *Realpolitik* jest to, że w tamtym dostawało się szansę na zmianę swojego miejsca w hierarchii.



NATHAN HOWARD / REUTERS / FORUM

Oferta Trumpa dla Polski bycia wasalem, który rozbija integrację europejską i składa hołdy Muskowi, jest nie tylko upokarzająca. **To droga donikąd.**

W tym obecnym zaś jest się skazanym na dyktat, a miejsce w szeregu jest wyznaczone odgórnie i dane raz na zawsze. Tym się różniło NATO od Układu Warszawskiego, a Unia Europejska – od komunistycznej Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Co już wiemy

Historia naszego sukcesu ostatnich 35 lat uświadamia też stawkę, o którą chodzi u progu roku 2026. Tu idzie nie tylko o pokój dla Ukrainy, ale też o to, czy w nowym rozdaniu ról zachowamy szanse na wzrost pozycji, czy też zostaniemy zablokowani i zaczniemy się osuwać.

Wiemy już oficjalnie, że USA nie traktują Rosji jako zagrożenia. Wiemy też, że – bez względu na ciepłe słowa Trumpa wobec nas – Ameryka zaczęła proces zwijania się z Europy. Leżąca na stole oferta bycia wasalem, który rozbija od środka integrację europejską, wprowadza „demokrację" spod znaku MAGA i składa hołdy Muskowi oraz innym cyfrowym oligarchom, jest nie tylko upokarzająca. To droga donikąd.

Wiemy także, że integracja Europy utkwiła w martwym punkcie. Że jej fundament w postaci wspólnego rynku wymaga nie tylko dokończenia, ale i uzupełnienia o integrację rynków kapitałowych, energetycznych i cyfrowych, a także ochrony przed nieuczciwą konkurencją z Chin. Że trzeba wzmacniać europejską suwerenność, a nie otwierać ją na kolejne ciosy z zewnątrz.

Wiemy też, że Ukraina pozostanie naszym trudnym sąsiadem, który długo jeszcze nie znajdzie sobie miejsca w świecie. Rozrywana wojną i dziedzictwem korupcji oraz pychy jej najwyższych urzędników, będzie jednak oddziaływać na nas – czy tego chcemy, czy nie.

Plan na rok 2026

Wiemy zatem wystarczająco dużo, by zaproponować polski plan dla Europy i wesprzeć tych, którzy chcą budować, a nie tylko niszczyć.

Taki plan powinien, po pierwsze, określić warunki dla budowy w pełni funkcjonalnej europejskiej unii obronnej, niezależnej od USA, ale opartej na strukturach NATO i traktatach unijnych, otwartej na bliską współpracę wojskową z USA, Kanadą, a także Australią, Japonią, Koreą Południową i oczywiście Ukrainą.

Po drugie, powinniśmy wpisać reindustrializację Europy w ambicje europejskiej polityki klimatycznej, transformacji cyfrowej europejskich gospodarek oraz politykę rozszerzenia. Po trzecie, zdefiniować ramy i zasady europejskiej suwerenności informacyjnej, które uczynią nas niezależnymi od zagranicznych platform.

Ambitnie? Być może. Ale nie ma powodu, dla którego mamy być odbiorcą cudzych idei i pomysłów na własną przyszłość.

© OLAF OSICA



GETTY IMAGES

Prokremlowski aktywista z transparentem „Kursem Putina na zbawienie ojczyzny". Moskwa, maj 2025 r.

Drony zamiast masła

FILIP RUDNIK

ROSJA | Putin wykorzystuje wojnę jako zasłonę dla prowadzenia głębokiej przebudowy państwa i społeczeństwa. Niezależnie, jak potoczą się rozmowy pokojowe, jej kierunek rysuje ponure prognozy na rok 2026.

Dokładnie 1417 dni – tyle trwała wojna między Stalinem a Hitlerem, która zaczęła się 22 czerwca 1941 r. i skończyła 9 maja 1945 r. W sowieckiej, a dziś rosyjskiej historiografii nazywana jest wielką wojną ojczyźnianą. Triumf jednego dyktatora nad drugim, zakończony wywieszeniem flagi z sierpem i młotem nad zdobytym Reichstagiem, został okupiony milionowymi stratami i wycieńczoną gospodarką.

Wraz z końcem roku 2025 mija ponad 1400 dni od 24 lutego 2022 r. Obecna, pełnoskalowa faza wojny Rosji przeciw Ukrainie – tej rozpoczętej w istocie wiosną 2014 r. – trwa zatem już niemal tak długo, co najważniejszy konflikt w historii Związku Sowieckiego.

DWIE TRAJEKTORIE | Tamto zwycięstwo potwierdziło pozycję Moskwy jako globalnej potęgi i zadecydowało o trajektorii rozwoju państwa sowieckiego na kolejne dekady. Kierunek ten był wówczas podporządkowany konfrontacji z zachodnimi demokracjami.

Dla dzisiejszej Rosji podobnie fundamentalnym procesem jest agresja na Ukrainę. W dyktatorskiej logice Putina – współdzielonej ze znaczącą częścią jego rodaków – napaść ta przypomniała światu o (pożądanej) rosyjskiej potędze, z którą trzeba się liczyć. Niezależnie od ostatecznego wyniku tej konfrontacji, sama decyzja o jej rozpoczęciu wynika – to można już dziś powiedzieć – z samej istoty putinowskiego systemu. Wykorzystał on bowiem wojnę jako wygodną zasłonę dla przeprowadzenia trwałej przemiany Rosji. Charakter tej zmiany rysuje ponure prognozy na rok 2026 i kolejne lata – zarówno dla Rosjan, jak też dla ich sąsiadów.

BEZ WSPÓŁCZUCIA | Zmianę widać już na poziomie ludzkiej materii. O ile wojna przeciw Ukrainie jest dla Rosji niewspółmiernie mniej krwawa niż starcie z III Rzeszą, to i tak przez ubiegłe cztery lata straciła nieporównanie więcej żołnierzy niż w Afganistanie czy Czeczenii. Wysokość rosyjskich bezpowrotnych strat w Ukrainie (to zabici i ci ranni, którzy nie wrócili do armii) ocenia się na poziomie ponad miliona ludzi.

Jednak coraz liczniejsze groby „bohaterów specjalnej operacji wojskowej" to w Rosji marginalny skutek tej wojny – inaczej niż w przypadku Afganistanu. Pamięć o nich będzie wykorzystywana przez propagandę, ale z samym faktem ich śmierci Kreml się nie liczy. Protesty matek czy żon są skutecznie atomizowane, a model werbunku – skupiający się na zachęcie finansowej – sprawia, że reszta społeczeństwa dystansuje się od współczucia dla zabitych i idącego za tym sprzeciwu.

Podporządkowanie wojnie widać też w przemianach gospodarczych. Rosyjska

ekonomia weszła na ścieżkę, z której tak po prostu zawrócić się nie da – i to nawet w scenariuszu, w którym Kreml wydaje rozkaz wstrzymania ognia.

DRONY PACHNĄCE CHLEBEM | Po czterech latach wielkiej wojny rosyjska ekonomia znacząco wyhamowuje – i tego już ukryć nie sposób. Jej wcześniejsze wyniki, ilustrowane zwłaszcza wzrostem PKB na poziomie 4 procent w latach 2023-24, były napędzane wysokimi cenami ropy i wpompowaniem do gospodarki strumienia publicznych pieniędzy pobudzających zbrojenia.

Obecnie wydatki okołowojenne pochłaniają 40 proc. rosyjskiego budżetu – i to według oficjalnych danych, bo część z nich jest utajniona. Na koniec roku 2025 wojna – czyli nakłady na resorty siłowe – odpowiadała za 8 proc. całości rosyjskiego PKB, co stanowiło podwojenie wartości sprzed czterech lat.

Pieniądze te to nie tylko sowite wypłaty dla wojskowych czy „trumienne", które dostają krewni po śmierci żołnierza-najeźdźcy. To przede wszystkim środki stymulujące przestawianie się gospodarki dla szerzenia zniszczenia w Ukrainie.

Symbolem tej transformacji może być kombinat piekarniczy w Tambowie, który – obok bułek i bochenków – w 2023 r. począł „wypiekać" drony, które „pachną jeszcze chlebem" (sformułowanie użyte przez propagandę).

KORZYŚCI Z WOJNY | Jeśli wierzyć liczbom podawanym przez władze, w połowie 2024 r. w tzw. kompleksie obronno-przemysłowym pracowało 3,8 mln Rosjan. Od tamtej pory ta liczba z pewnością się zwiększyła. Dzięki państwowym subsydiom i gigantycznemu zapotrzebowaniu, pracownicy fabryk czołgów czy dronów dostają sowite pensje. Dotacje pozwalają utrzymać wysokie tempo produkcji, której efekt końcowy można opodatkować na krótko przed jego zniszczeniem na polach Donbasu.

Razem z uczestnikami „specjalnej operacji wojskowej" pracownicy zakładów zbrojeniowych i ich rodziny stanowią zatem rzeszę wielu milionów Rosjan, dla których wojna to sposób na społeczny awans i pewną zamożność. W sytuacji, w której konflikt się kończy – bądź choćby zmniejsza swoją intensywność – pojawia się pytanie: co dalej?

Wyhamowanie przemysłu zbrojeniowego byłoby z punktu widzenia Kremla samobójcze – nagła pauperyzacja milionów poddanych to przepis na społeczne niezadowolenie. Utrzymanie zatrudnienia będzie więc kluczowe – tym bardziej że Kreml będzie zmuszony do odbudowania własnego potencjału, nadwątlonego stratami na froncie. Popyt zatem będzie. Pytanie tylko, czy Rosji wystarczy zasobów na jego zaspokojenie.

KURS NA ŚCIANĘ | Wraz z końcem 2025 r. stało się jasne, że dotychczasowy model wzrostu gospodarczego Rosji – oparty przede wszystkim na wrzucaniu pieniędzy w machinę wojenną – zderzył się z fizycznymi ograniczeniami swojego funkcjonowania. Wzrost PKB w 2026 r. prognozuje się na poziomie już nie wyższym niż jeden procent.

Ujawnia się też problem braku możliwości generowania nowych środków przy wciąż rozbuchanym wydatkowaniu. Węglowodorowa premia – czyli wysokie ceny ropy, windowane przez rozpoczęcie wojny i idący za tym chaos na rynkach – zakończyła się. Skutkuje to spadkiem dochodów z jej sprzedaży.

Szukając nowych wpływów, Kreml podwyższa podatki – m.in. VAT, co uderzy w siłę nabywczą zwykłych Rosjan. Skokowo zadłuża się zarówno samo państwo, jak i regiony, na które spadł obowiązek dopłacania hojnych „bonusów" dla ludzi zaciągających się na front.

Tymczasem zluzowanie wojsk z linii frontu, w razie rozejmu lub pokoju, nie będzie oznaczać, że dotychczasowe obciążenia znikną. Kreml będzie zmuszony opiekować się weteranami, by uniknąć kolejnego problemu: sfrustrowanych i obytych z bronią setek tysięcy zdemobilizowanych. Ich adaptacja do warunków pokojowych wymagać będzie kontynuacji wydatków – choćby w ramach finansowych zachęt dla pracodawców, by zatrudniali takich ludzi.

ZAUSZNICY DZIELĄ AKTYWA | To ostatnie jest istotne, gdyż rosyjskie społeczeństwo – jak dotąd usilnie izolowane od kosztów wojny przez Kreml – boi się przemocy, która może nadejść wraz z demobilizacją żołnierzy. Rosjanie przechodzili to wiele razy. „Afgańcy" – weterani sowieckiej inwazji na Afganistan – tłumnie zasilali organizacje przestępcze, terroryzujące ulice w latach 90. XX w. Przedsmak tego już widać: niezależne media co i rusz donoszą o zbrodniach popełnianych przez weteranów.

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze rosyjska elita, wciąż głodna nowych zysków. Zachodząca transformacja gospodarki przyspieszyła procesy centralizujące całość życia gospodarczego, zmieniając reguły gry. Ich symptomem jest rozpoczęty niejako w tle wojny proces dzielenia aktywów wewnątrz Rosji.

Zausznicy Putina w bezpardonowy sposób przejmują co bardziej łakome kąski gospodarczego tortu, które do tej pory pozostawały poza ich zasięgiem – jak choćby konglomeraty rolniczo-spożywcze. Animując ten proces, Kreml utrzymuje poparcie elit. W scenariuszu dalszej gospodarczej inercji walka o aktywa będzie się jednak w naturalny sposób zaostrzać, co może prowadzić do głębszych konfliktów.

CZYNNIK CHIŃSKI | Co istotne, w horyzoncie długoterminowym nie pomagają nawet Chiny – Pekin skrzętnie korzysta bowiem z rosyjskich słabości. Utrata przez Rosjan zachodnich rynków dla sprzedaży węglowodorów poskutkowała tym, że Chińczycy „golą ich do skóry" i żądają od nich niskiej ceny za kupowaną ropę i gaz.

Dalej: spadek produkcji w rosyjskim sektorze cywilnym – głównie ze względu na to, że państwo skupia się na zbrojeniach – doprowadził do zalania Rosji przez chińskie dobra konsumpcyjne, co pogrąża rodzime firmy. Rynek motoryzacyjny – zdominowany przez auta z Chin – jest najjaskrawszym przykładem z wielu.

Pekin jest kontent z zaistniałej sytuacji. Rosjanie wiążą bowiem militarne zasoby Zachodu, równocześnie sami skazując się na długotrwałą zależność od Chin.

I tu kryją się dla Rosji zagrożenia. W starciu z chińskim taranem ekonomicznym to Moskwa jest słabszą stroną i musi tę rolę przyjąć. Otwartym pytaniem pozostaje, czy Rosjanie są do tego gotowi mentalnie – pozycja „junior partnera" kłóci się przecież z głęboko zakodowanym poczuciem imperialnej wyjątkowości i europejskiej powierzchowności rosyjskiej kultury. ↦

↦ Biorąc pod uwagę dotychczasowe kroki Kremla – chociażby na poziomie propagandy, która przedstawia rosyjsko-chińskie relacje jako coś unikalnego – można przyjąć, że jak na razie Kreml jest gotowy na kontynuowanie tego procesu.

AMERYKAŃSKA NIEWIADOMA | Do pewnego stopnia zawrócenie z tej ścieżki możliwe jest za sprawą tego, co może umykać naszej europejskiej percepcji. Niekorzystny dla Rosji bieg rzeki może zmienić kijem – a właściwie długopisem – jeden człowiek: Donald Trump. Ponad głowami Europejczyków czy Ukraińców.

Prerogatywy prezydenta USA pozwalają na wiele – w tym na jednostronne rozmontowanie reżimu sankcyjnego, który jest jedną z przyczyn obecnych problemów w rosyjskiej gospodarce. Jeśli Waszyngton obwoła Moskwę stolicą jak każda inna i zdejmie z niej obostrzenia, pewnym jest, że globalny kapitał znów ruszy do Rosji.

Wówczas to wygłodniały rynek rosyjski będzie mógł znów cieszyć się zagranicznymi kredytami i napływem dolarów, a nie tylko chińskich juanów. Zielone światło ze strony Stanów poskutkuje też obniżeniem kosztów dla Rosjan, gdy idzie o handel. Cena na rosyjską ropę może znów pójść w górę, skoro kupującym nie będą grozić sankcje.

Sygnały z Białego Domu świadczą, że ekipa Trumpa jest zainteresowana powrotem Rosji do zachodnich gremiów. Należy jednak uczciwie powiedzieć, że rysowane przez Kreml wizje rosyjsko-amerykańskiej współpracy gospodarczej nie ziszczą się nawet po zniesieniu sankcji – handel między tymi państwami nigdy nie był szczególnie istotny.

To jednak nie jest ważne dla tych Amerykanów, którzy lobbują za współpracą z Rosją – ci bowiem są zainteresowani głównie zyskiem dla siebie. Trudno się temu dziwić, skoro są to persony z przeszłością w branży deweloperskiej czy spekulacyjnej. Przypisywanie im niewiedzy czy złej woli jest nieadekwatne. Oni nie operują tymi pojęciami.

W LUSTRZANYM ODBICIU | W trwającym dziś dialogu z Waszyngtonem, jakikolwiek by on nie był, Kreml widzi jednak jeszcze jedną korzyść: przełamanie międzynarodowej izolacji.

Pozbycie się przez Putina reputacji złoczyńcy – i to za sprawą Amerykanów! – rosyjski dyktator przedstawi swoim rodakom jako wielki sukces, dowodzący słuszności jego linii. Propaganda grzmieć będzie: ponieśliśmy ofiary, ale postawiliśmy na swoim. Zdobyliśmy nowe ziemie i do tego szacunek – jeśli nie na całym świecie, to w każdym razie w Stanach.

Tymczasem kwestia „uznania" rosyjskiego powodzenia przez Amerykanów jest nie do przecenienia. Po Związku Sowieckim putinowska Rosja odziedziczyła wiele, w tym również swoistą fiksację na punkcie USA. Waszyngton jest potrzebny Putinowi – i Rosjanom – jak lustro, w którym się przeglądają. Jeśli zwierciadło nie wykrzywia obrazu niekorzystnie, tym lepiej – taki bowiem obraz można zaprezentować ku uciesze rosyjskiego społeczeństwa.

LOGIKA PUTINA | Ten sposób myślenia udziela się również osobiście Putinowi, rzutując na przyszłość Rosji. To zresztą nic dziwnego, że były funkcjonariusz KGB właśnie w ten sposób postrzega świat.

Nie wdając się w deliberacje nad jego stanem psychicznym, powiedzmy tyle, że personalna izolacja satrapy – zapoczątkowana jeszcze w czasach pandemii covidu – skutkuje tym, że jest on coraz mniej skłonny do rewizji własnych poglądów.

Te zaś wykrystalizowały się już przed laty, o czym on sam ustawicznie przypomina. Putin nie uznaje ukraińskiej suwerenności i jednym z jego celów jest jej demontaż. Dalej: powodowany głębokim resentymentem w związku z upokorzeniem Związku Sowieckiego w toku zimnej wojny, dąży do przywrócenia Rosji należnego jej – jak sądzi – miejsca na globalnej arenie. Stąd konieczność wybicia zębów każdemu, kto się temu przeciwstawia.

Ewentualne zniesienie sankcji czy taktyczny triumf w wojnie z Ukrainą – w postaci chociażby uzyskania całości Donbasu – wzmocni pozycję Putina wewnątrz elity. Ale nie sprawi, że jego apetyt do dalszego ryzyka zmaleje. Wręcz przeciwnie.

DWAJ DYKTATORZY | Co zatem teraz? Dalsza mobilizacja gospodarki na potrzeby wojenne – uzasadniana koniecznością pozostawienia armii i społeczeństwa w gotowości na zakusy Europejczyków czy na „dogrywkę" z Ukrainą – jest Putinowi niezbędna, aby utrzymać kraj w ruchu.

Pojawiające się wątpliwości o sens wojny zagłuszy się propagandowym skowytem, podbudowując poczucie jedności z pomocą nieustających represji. Nauczony historycznym doświadczeniem dyktator wie, że jakakolwiek „odwilż" zwiększa ryzyko rozhermetyzowania się systemu.

Tutaj ponownie pojawia się analogia z czasów końca II wojny światowej – przy tym niezwykle złowróżbna. Za krótkotrwałą euforią po 9 maja 1945 r. – jaką do dzisiaj upamiętnia *Pobieda*, Dzień Zwycięstwa, centralny punkt zbiorowej pamięci w Rosji – nie przyszło wytchnienie. Stalin błyskawicznie przystąpił do przygotowywania kraju na wypadek kolejnej wojny, tym razem z Zachodem.

Prześladowania nie zelżały, a „kremlowski góral" – jak pisał o Stalinie poeta Osip Mandelsztam – dalej straszył i w swej paranoi gotował też następną masową czystkę we własnych szeregach. „Odwilż" przyniosła dopiero jego śmierć – osiem lat po pokonaniu III Rzeszy.

Dla jakichkolwiek zmian w głęboko spersonalizowanym systemie władzy w Moskwie – tak stalinowskim, jak i putinowskim – konieczne jest bowiem fizyczne odejście głównodowodzącego.

WOJNA JEST MU NIEZBĘDNA | Jednak 73-letni Władimir Putin na tamten świat się nie wybiera – i jest gotowy na kolejne 1400 dni konfrontacji, aby urzeczywistnić swoje wizje.

Do tego zresztą wojna jest mu niezbędna. Bez tego elementu trudno mu będzie utrzymać tak totalny system władzy, który jawi mu się jako niezbędny – nie tylko dla niego samego, ale również dla prawidłowego, w jego oczach, funkcjonowania kraju.

Patrząc z perspektywy przyszłości, dla Rosji – ale także dla Europy – jest to wiadomość zła. Wszystkie negatywne trendy, zintensyfikowane przez ostatnie cztery lata wielkiej wojny, ulegną w niej dalszemu nasileniu.

Jednak z perspektywy Putina czynniki obiektywne nie powinny stanowić przeszkody. Dla realizacji jego wizji konieczne jest przede wszystkim jedno – triumf woli. © FILIP RUDNIK



AMEER ALHALBI / ANADOLU / GETTY IMAGES

Demonstracja przeciwko islamofobii, rasizmowi i na rzecz jedności społecznej w Paryżu, 11 maja 2025 r.

Zakochani wymieszani

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

STYL ŻYCIA | Francja przoduje w Europie pod względem związków mieszanych. Śluby muzułmanów z chrześcijankami są coraz częstsze, a Kościoły chrześcijańskie i przynajmniej część imamów to akceptują. Odwiedziliśmy trzy mieszane pary.

Na zewnątrz to przeciętna willowa dzielnica pod Paryżem. Piętrowy biały domek z ogródkiem jest bliźniaczo podobny do sąsiednich.

Ale tuż za progiem – inna planeta: soczyste kolory, wzorzyste tkaniny na sofach, marokańskie lampy, grafika z motywami arabskiej kaligrafii. Czuć tu trochę klimat orientalnych riadów, choć od Casablanki dzieli nas 2 tys. kilometrów.

Gospodarze tego gościnnego domu to Abderrahim i Dominique. W 2025 r. obchodzili 35. rocznicę ślubu. Mają trójkę synów, dziś już dorosłych: Józefa (przez ojca nazywanego Youssefem), Anisa i Adama. Ona, praktykująca katoliczka, wychowała się we francuskich Alpach. Jest dziennikarką chrześcijańskiego tygodnika „La Vie". On, praktykujący muzułmanin, nauczyciel w miejscowej szkole średniej, dorastał w Maroku, zanim przybył do Francji na studia doktoranckie z biologii. Spotkali się w czasie studiów na uniwersytecie w Lille. – Zbliżyło nas wtedy wspólne gotowanie na kampusie – uśmiecha się Dominique, gdy z mężem krzątają się po kuchni. Po chwili na stole ląduje marokańska herbatka z miętą.

Amory i opory

Rodzina Abderrahima pochodzi z Casablanki i jest bardzo religijna. Mimo to bez większego trudu zaakceptowała Dominique w roli jego przyszłej żony.

Abderrahim: – Pamiętam, że niektórzy z moich bliskich mówili mi nawet: „Dobrze zrobiłeś, że nie wybrałeś jakiejś charakternej Marokanki, ta to by ci dała popalić!". Tak więc uniknąłem problemów.

– Ale miałeś pełno innych – rzuca Dominique i oboje wybuchają śmiechem.

Wątpliwości miała tylko mama Abderrahima. W rozmowach z synem – nigdy w obecności Dominique, aby jej nie urazić – od czasu do czasu wyrażała nadzieję, że jego narzeczona nawróci się na islam. Na nadziejach się skończyło.

Poważne obiekcje pojawiły się za to po stronie bliskich Dominique. Dorastała w rodzinie o katolickiej tradycji, ale zlaicyzowanej. Wiarę odkryła dzięki duszpasterzowi z liceum.

– Z początku moja matka była przerażona moim wyborem – wspomina. – W tamtym czasie, a był to rok 1989, we Francji wybuchł pierwszy wielki spór o noszenie chust muzułmańskich przez uczennice w podparyskim Creil. Ajatollah Chomeini rzucił fatwę na pisarza Salmana Rushdiego za „Szatańskie wersety". Islam zaczął budzić strach. Musieliśmy pracować nad przełamaniem oporu moich rodziców. Trwało to trzy lata. Ale w końcu się udało, oboje przyszli na nasz ślub.

↦

Nastroje się zmieniają

↦ Nasza rozmowa schodzi na dzień dzisiejszy: na ile we Francji obecne są wciąż uprzedzenia antymuzułmańskie czy antyarabskie?

Dla francuskiej skrajnej prawicy, która jest dziś na fali wznoszącej, islam i muzułmanie (a nie islamiści czy terroryści islamscy) zdają się symbolem wszelkiego zła. W trakcie kampanii wyborczej w 2022 r. liderka nacjonalistycznej partii Zjednoczenie Narodowe (RN), Marine Le Pen, żądała wprowadzenia zakazu noszenia chust islamskich we wszystkich miejscach publicznych (dziś zakaz obowiązuje tylko uczniów, nauczycieli i urzędników).

Dominique: – Niepokoję się, że wiosną 2027 r. skrajna prawica wygra wybory prezydenckie. Wykluczanie muzułmanów ze wspólnoty narodowej jest niegodne francuskiej Republiki.

Abderrahim waży każde słowo: – Osobiście nie doświadczyłem nic złego jako muzułmanin, ale myślę, że żyjemy w uprzywilejowanym środowisku. Kiedy czytam komentarze w internecie, to widzę, że wyzwolił się nienawistny język. Ja się umiem obronić. Ale co z innymi, którzy nie potrafią?

Kto kogo zagadnął

Z drugą parą chrześcijańsko-muzułmańską spotkaliśmy się po raz pierwszy siedem lat temu, Elżbieta i Youssef byli już po ślubie, ale nie mieli jeszcze potomstwa.

Elżbieta pochodzi z niedużego miasta na polskiej „ścianie wschodniej", z wykształcenia jest filolożką. Youssef wychował się w Maroku, pracuje w sektorze high-tech (ich imiona zmieniliśmy, gdyż Elżbieta obawia się, że jej rodzina w Polsce mogłaby paść ofiarą uprzedzeń).

Losy obojga skrzyżowały się w Paryżu: ona przyjechała tu na roczny kontrakt, on na studia.

Teraz, gdy widzimy się po kilkuletniej przerwie, mają synka i córkę. Niedawno, po dekadzie spędzonej w stolicy Francji, przeprowadzili się do jednego z krajów Beneluksu.

Jak się poznali? – Pierwszej zimy w Paryżu, gdy było ciemno i chłodno, dopadł mnie kryzys. Zapisałam się na kurs tańca. Tam poznałam Youssefa – wspomina Elżbieta. Potem długo mijali się na tym kursie, zanim Elżbieta postanowiła przejąć inicjatywę.



SZYMON ŁUCYK

– W końcu to ja zaprosiłam go do tańca, więc sama sobie jestem winna! Potem zresztą mi powiedział, że sam chyba nie odważyłby się do mnie zagadać – śmieje się. Dodaje, wciąż rozbawiona: – Był pierwszym muzułmaninem, którego poznałam. Przyznam, że nigdy bym się z nim nie umówiła, gdyby miał na imię Mohammed!

Pierwsze wstrząsy

Gdy Elżbieta dowiedziała się, jakiego Youssef jest wyznania, przez głowę przemknęły jej najgorsze stereotypy o arabskich mężczyznach.

– Chyba nawet pomyślałam przez chwilę: to nie może się udać – przypomina sobie.

Utwierdzali ją w tym polscy znajomi. Choć potem, jak tylko spotkali jej „czarującego" (wedle słów Elżbiety) partnera, to nastawienie się zmieniało.

Także Youssef, muzułmanin, choć daleki od rygoryzmu (pije wino i zdarzało mu się jeść szynkę, choć nie lubi wieprzowiny), z początku nie wyobrażał sobie życia z niemuzułmanką.

– Zaraz jak się poznaliśmy, powiedziałem Eli: „Nie chcę, aby moje dzieci były chrześcijanami". Pamiętam, że to był dla niej wstrząs. Potem zmieniłem zdanie, bo uznałem, że nie mogę narzucać innym swoich przekonań – wspomina dziś.

Po pół roku Youssef zabrał Elżbietę do Maroka i przedstawił ją rodzicom. Jego mama jest praktykującą muzułmanką, ojciec nie jest zbyt religijny.

– Na moje powitanie zabito barana. Od razu poczułam się dobrze w ich domu. Moim zdaniem Marokańczycy biją Polaków na głowę pod względem gościnności – Elżbieta wspomina pierwszą wizytę u przyszłych teściów.

„Jesteś naszym synem"

Rodzice Youssefa szybko zaakceptowali jego wybrankę. Inaczej było z rodziną Eli, która wychowała się w katolickiej rodzinie o konserwatywnych poglądach.

Burza wybuchła zaraz po tym, gdy ogłosiła rodzicom swój wybór. – Oboje krzyczeli na mnie: „Nie wiesz, co robisz, marnujesz sobie życie, on cię porwie, zniewoli!". Nie byłam w stanie ich uspokoić. Ta reakcja bardzo mnie zabolała – wspomina.

Przez następne kilka lat rodzice Elżbiety mieli problem z akceptacją jej partnera, choć okazało się, że mają z nim dobre relacje. Wprawdzie nie sprzeciwiali się wprost ich związkowi, ale długo stosowali taki bierny opór.

W końcu jednak rodzina pogodziła się z faktem dokonanym. Tym bardziej że widzieli, iż Youssef odnosi się do nich z szacunkiem. – To typowe dla kultury jego kraju, gdzie do ludzi starszych podchodzi się z wielkim poważaniem – komentuje Elżbieta.

Po lewej: Abderrahim i Dominique z synem Anisem w domu pod Paryżem, listopad 2025 r.

Po prawej: Sabrina i Marvin w Lyonie, 2025 r.



ARCHIWUM PRYWATNE

Mama, tata i siostra przyjechali na ich ślub do Francji. Podobnie jak rodzice Youssefa.

Na weselu doszło do pewnej sceny. Wspomina Youssef, zwracając się do Elżbiety: – Pamiętasz, jak mój ojciec powiedział do twoich rodziców: „Teraz wasza córka jest naszą córką, a nasz syn waszym synem". To było naprawdę dobre! A twoja mama na to: „Mamy już jednego syna, a teraz jest drugi".

Mnisi z muezzinem

Wiele par międzywyznaniowych decyduje się tylko na ślub świecki. Inni na dwie ceremonie: świecką i religijną.

Pragnąc zawrzeć ślub kościelny z osobą innej religii, katolicy potrzebują zgody biskupa. Tę drogę wybrały Dominique i Elżbieta, praktykujące katoliczki. Ich przyszli mężowie przystali na katolicki charakter uroczystości, choć zależało im, by miała elementy tradycji religijnej.

Ślub Dominique i Abderrahima – chrześcijański, z elementami muzułmańskimi – odbył się w małej miejscowości w jej rodzinnych stronach blisko Grenoble. – Ksiądz prowadzący nabożeństwo świetnie znał islam i czytał po arabsku wersety Koranu wybrane przez pana młodego. Na naszej mszy nie było imama – wspomina Dominique.

Elżbieta i Youssef wzięli ślub w małym kościele na północ od Paryża. Ela: – Obawiałam się, że w Polsce ksiądz mógłby mi przeszkodzić w małżeństwie z muzułmaninem. Tu dostaliśmy dyspensę bez problemu.

Youssef: – Na początku nie chciałem brać ślubu w kościele, ale potem dałem się przekonać. Kurs katolickich nauk przedmałżeńskich, na który chodziliśmy, bardzo mi się podobał. To nam pomogło umocnić nasz związek, kiedy nie było nam łatwo.

Ślub Elżbiety i Youssefa przypominał zwykłą ceremonię kościelną: z lekturą Pisma Świętego, psalmami i kazaniem. Nie było tylko Eucharystii. Podczas ceremonii zabrzmiały wiersz po arabsku i wersety Koranu, a pieśni śpiewali na przemian mnisi i muezzin.

Wesele było mieszanką kulturowo-kulinarną. Gości witano najpierw chlebem i solą, a potem po marokańsku tacą daktyli z mlekiem. Menu było francuskie z polskimi akcentami. Marokańska rodzina nie piła alkoholu.

Jak muzułmanka z chrześcijaninem

Abderrahim tłumaczy, że dla muzułmanów nie jest problemem, gdy mężczyzna tej religii poślubia kobietę innego ludu Księgi (tak muzułmanie nazywają religie wywodzące się od patriarchy Abrahama), czyli chrześcijankę czy żydówkę.

– Przeszkody pojawiają się wtedy, gdy muzułmanka chce poślubić niemuzułmanina – dodaje. Powód? Muzułmańscy tradycjonaliści obawiają się, że dzieci takiej pary porzucą religię ojców.

Przekonała się o tym francuska para z Lyonu, Sabrina i Marvin, oboje 26-letni. Ona jest muzułmanką o algierskich korzeniach, on protestantem pochodzenia kameruńskiego. Są razem od dziewięciu lat, a od półtora roku mieszkają pod jednym dachem. Zaręczyli się przed kilku tygodniami.

Gdy z powodów zdrowotnych Sabrina nie mogła pościć w ramadanie, jej partner chrześcijanin przez miesiąc praktykował całodniowy post w jej „zastępstwie".

Ona długo ukrywała swój związek z obawy przed reakcją konserwatywnego muzułmańskiego otoczenia. – Gdy moja rodzina w końcu dowiedziała się, że chcę poślubić chrześcijanina, usłyszałam, że pójdę do piekła – wspomina Sabrina. Wtedy wyprowadziła się z rodzinnego domu i zamieszkała z partnerem.

Są zdeterminowani, by się pobrać nawet bez błogosławieństwa obu rodzin. Bo rodzina Marvina, bardziej otwarta na inne religie, bez problemu „zaadoptowała" jego wybrankę.

Powolna ewolucja

Nieco podobną historię opisuje w swojej książce, będącej jej osobistym świadectwem, Myriam Blal – francuska muzułmanka pochodzenia tunezyjskiego. Książka, pod tytułem „Le baiser du ramadan" (Pocałunek ramadanu), ukazała się we Francji w 2017 r.

Ojciec Myriam zażądał od jej narzeczonego Maxime'a, katolika, aby ten przeszedł na islam. Gdy Maxime odmówił, ojciec sprzeciwił się ich związkowi. Mimo to Myriam nie zrezygnowała z poślubienia ukochanego. ↦

↦ Niektórzy francuscy imamowie, np. z paryskiego Wielkiego Meczetu, dopuszczają dziś małżeństwa muzułmanek z wyznawcami innych religii. Jednak większość francuskich muzułmanów wciąż uznaje takie związki za *haram* (arab. zabronione).

Ewolucja w tej kwestii jest powolna. Wspierają ją prężne stowarzyszenia takie jak GFIC (Grupa Rodzin Muzułmańsko-Chrześcijańskich), działające już od pół wieku (obecnie w Paryżu, Lyonie i innych francuskich miastach). Dominique i Abderrahim, od wielu dekad zaangażowani w akcje GFIC, podkreślają, że wiele par międzywyznaniowych zmaga się z odrzuceniem przez otoczenie. Dzięki GFIC i podobnym inicjatywom spotykają podobne sobie związki i wychodzą z osamotnienia.

Dywanik i różaniec

Jednym z problemów par mieszanych jest przekazanie dzieciom dwóch różnych tradycji religijnych i kulturowych. Wymaga to kompromisów, czasem na granicy ekwilibrystyki.

Dominique: – Zdecydowaliśmy, że wszyscy nasi synowie przyjmą chrzest i zarazem zostaną obrzezani, zgodnie z religią islamską. Tak się stało. Dla Abderrahima ceremonia obrzezania chłopców była ważna. Mnie nie sprawiało to problemu. Podobnie jak to, że dzieci nie jadły w domu wieprzowiny.

– Uważam za normalne, że nasze dzieci czerpały z kultury francuskiej i zarazem z dziedzictwa mojego męża – dodaje. – Każde z nas, ze swojej strony, starało się też zapewnić synom edukację religijną. Ale ostatecznie to przecież oni sami wybierają.

Co roku we Francji ślub bierze kilkanaście tysięcy par, w których jedna strona pochodzi z kraju afrykańskiego o kulturze islamskiej.

Także Elżbieta i Youssef zgodzili się, po gorących dyskusjach, na chrzest obojga dzieci i obrzezanie syna. – Zrobiliśmy to głównie ze względu na nasze rodziny, bo w obu te obrzędy mają wymiar bardziej tradycyjny niż religijny – mówi Ela.

Wraz z dziećmi obchodzą wielkie święta obu religii: Boże Narodzenie, Wielkanoc, Id al-Adha i ramadan oraz święto na jego zakończenie.

– Staramy się niczego nie narzucać dzieciom z myślą, że same zdecydują, gdy będą dorosłe – uważa Elżbieta. – Oczywiście rodzice z obu stron lobbują aktywnie za swoją religią. Moi przywożą dzieciom różańce z pielgrzymek do Rzymu czy Fatimy, a teściowie dywaniki modlitewne z Mekki.

Elżbieta i Youssef mówią do dzieci po polsku i marokańsku, a między sobą po francusku. Oboje nauczyli się też języka współmałżonka na poziomie podstawowym.

– Prawda, mówię po polsku, ale jak dziecko – Youssef zaskakuje mnie, przeskakując nagle z francuskiego na bezbłędną polszczyznę.

Wytrwać w związku

Czy prawdą jest, że związki międzywyznaniowe (jak i międzykulturowe) są bardzo skomplikowane i z gruntu skazane na porażkę? To wciąż popularne przekonanie.

Grażyna Amokran Legutowska, autorka wydanej we Francji pracy doktorskiej o francuskich parach chrześcijańsko-muzułmańskich, podkreśla, że statystycznie takie związki rozpadają się tylko nieco częściej niż te zawierane między osobami tej samej religii.

Pary chrześcijańsko-muzułmańskie mają podobne problemy jak wszystkie inne. Kwestie religijne są ważne, ale nie kluczowe.

Od jednej z Francuzek z południa kraju, także żonatej z Marokańczykiem, usłyszałem zdanie: „Owszem, kłócimy się. Na przykład o to, kto ma zmyć naczynia. Ale nigdy nie mamy awantur o religię".

Dominique: – Tak czy owak problemem jest bardziej to, jak wytrwać razem w parze, niż jak być w związku chrześcijanki z muzułmaninem. My już przed małżeństwem przeszliśmy tor przeszkód i przerobiliśmy wcześnie trudne tematy. Myślę więc, że w naszym związku różnice były bardziej atutem niż problemem.

© SZYMON ŁUCYK

Dziękuję Hannie Borys za udział w realizacji pierwszego wywiadu z Elżbietą i Youssefem w Paryżu.

Francja liderką małżeństw mieszanych

Co siódmy ślub we Francji (w liczbach bezwzględnych ok. 30 tys. małżeństw rocznie, nie licząc małżeństw jednopłciowych) łączy obywatela lub obywatelkę Francji z cudzoziemką lub cudzoziemcem. Ten odsetek pozostaje stabilny od kilkunastu lat, co plasuje Francję w europejskiej czołówce, gdy idzie o odsetek par mieszanych (w znaczeniu związku osób różnych narodowości).

Z danych głównego francuskiego instytutu statystycznego INSEE wynika, że najczęściej obywatele/obywatelki Francji poślubiają partnerów/partnerki z krajów muzułmańskiego Maghrebu (Afryki Północnej, czyli Algierii, Maroka lub Tunezji). W dalszej kolejności na tej liście są Europa, a po niej kraje Afryki Subsaharyjskiej, też często zdominowane przez muzułmanów.

Na podstawie tych danych INSEE można przyjąć, że corocznie we Francji małżeństwo zawiera co najmniej kilkanaście tysięcy par mieszanych, w których jedna ze stron pochodzi z kraju afrykańskiego o kulturze muzułmańskiej. Wiele z tych par poprzestaje na ślubie cywilnym.
Ile jest dokładnie małżeństw muzułmańsko-chrześcijańskich? Nie wiadomo. Państwo francuskie, z obawy przed zarzutem o dyskryminację, nie prowadzi statystyk religijnych ani etnicznych (w spisie powszechnym nie pyta się o wyznanie). Wyjątkiem są badania naukowe i sondaże opinii. Według sondażowych zatem szacunków, katolicyzm wciąż dominuje liczebnie we Francji – deklaruje go 43 proc. mieszkańców kraju. Protestantyzm deklaruje 4 proc., a osoby niewierzące lub bezwyznaniowe to blisko 40 proc. dorosłych mieszkańców. Islam jest dziś drugą religią w kraju: liczba muzułmanów szacowana jest, z braku dokładnych statystyk religijnych, między 4 a 6 mln osób, czyli 7-9 proc. populacji. © SZŁ

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem. I o nią głównie staramy się dbać. Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki



Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.

Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.

Tylko do 11 stycznia, zamawiając lub przedłużając prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”, otrzymasz:

- **firmową torbę w PREZENCIE***
- **4 numery ZA DARMO**
- **OTWARTY dostęp do cyfrowego wydania****

KODY RABATOWE:

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 621 zł** z kodem: **4gr25** --> **4 numery w prezencie**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 333 zł** z kodem: **2gr25** --> **2 numery w prezencie**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 622 zł** z kodem: **4gr25p** --> **4 numery w prezencie**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 334 zł** z kodem: **2gr25p** --> **2 numery w prezencie**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

JUŻ TERAZ MOŻESZ PRZEDŁUŻYĆ PRENUMERATĘ KOŃCZĄCĄ SIĘ NAWET W LUTYM 2026 r.

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075
(w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

**Torbę wyślemy do końca stycznia.*

***ABY GO AKTYWOWAĆ:*

- *Zamów i opłać prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Jeśli nie masz konta, załóż je w serwisie internetowym „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Z adresu e-mail przypisanego do konta wyślij wiadomość na **bok@TygodnikPowszechny.pl** z tematem: „Dostęp do serwisu TP w prezencie”, a w treści podaj adres pocztowy, na który zamówiono i opłacono prenumeratę.*

Po spełnieniu powyższych warunków dostęp zostanie przyznany w ciągu 14 dni.

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Z ODDECHEM

W MIĘDZYCZASIE

Nasza bura zima jest niewdzięczna do patrzenia. Ale wciąż są tu las, łąka i róża, tylko w postaci, której zwykle nie uznajemy za wartą uwagi. Niesłusznie.

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

Woda jest fundamentem życia, a sezonowe przypływy i odpływy zimna działają na wodę we wszystkim, co żyje, wymuszając rewolucję w metabolizmie i sposobie trwania. Fale życia i śmierci przyrody są więc rozpięte na dwóch biegunach czasu: między latem a zimą.

Jednak gdy my doświadczamy pełni lata, za ścianą lasu, na brzegu rzeki i pod taflą jeziora zaczynają się szalone, jesienne pośpiechy metamorfoz. Chodzi o to, by przed zimą utyć, zagęścić sierść i podszerstek, wykopać norę albo, jeśli jest się rośliną, rozmontować chlorofil w liściu, odzyskać jego składniki, masowo brązowieć, pozbyć się ogromnej części swojego ciała.

To domena tak zwanej polskiej złotej jesieni albo, gdybyśmy byli uczciwi w ocenie tego, co rzeczywiście się tam dzieje, polskiej brązowej jesieni. I burej zimy.

Mapy obumierania

Chcemy patrzeć i wierzyć, że jesienne przeistoczenia to przede wszystkim zachwycająca zmiana barwy liści, owoce i kasztany. Czas zadumy, zbiorów i pierwszych chłodów. Ciężko jest wrysować w obraz życia roślin fakt, że u nich etap tego osobliwego koloru trwa jednak krótko, jest niezwykle pragmatyczny i kończy się rychłą śmiercią.

Brzozy i modrzewie żółkną, klony czerwienieją, czasem jarzą się w niskim słońcu, sypią barwne dywany, ale przecież przez zdecydowanie dłuższy czas jesiennej metamorfozy ten sam liść jest już całkiem brązowy i martwy, sprowadzony do szkieletu celulozy i ligniny, po tym, jak wszystko, co metabolicznie czynne, zostało z niego wycofane albo po prostu zginęło.

Taka postać liścia nie tylko nie zachwyca, ale też, zaskakująco, nigdy nie była przedmiotem opowieści o drzewach, nie jest zamieszczana w atlasach. Im dłużej przyglądam się roślinom, drzewom, tym bardziej zauważam, że to, jak liść umiera, jak się rozpada, znika, jak rozpyla się w glebie, stanowi o całym drzewie. Jest jego częścią bycia, często bardzo długą, trwającą niekiedy dłużej niż czas jego nadrzewnego trwania. Inaczej bowiem kończy swoją sezonową wegetację brzoza, inaczej w grudzień wchodzi dąb. Inne mapy barw i zbrązowiałych plam śmierci pokaże jawor, inne kalina. Inne będą też ich drogi rozkładu i rozpadu kształtu.

Ale już zaraz, wiosną, latem znowu muskać nas będą młode atłasy listków, giętkie, soczyste pędy, kwitnące źdźbła, i tylko one będą widzialne w tym momencie przyrody, mimo że między nimi wciąż trwa tamten jesienny rozpad tego, co już dawno zapomnieliśmy.

Między życiem a śmiercią

To jest nasza brązowa jesień i nasza bura zima, czas nieprzychylnej aury, niewdzięczny do patrzenia. Ale wciąż są w niej te same rośliny, jest las i łąka, tylko w postaci, której zwykle nie uznajemy za wartą uwagi. Drzewa z mumiami form, zagarnięte w międzyczas, jeszcze trochę tu, ale już bardziej tam. W początkach śmierci, a jednak wciąż podobne do tego, co było latem. Teraz gniją, zaczynają tracić kształt, który powstał w żmudnej pracy budowania porządku ciała.

Rozpad nie mieści się w sezonowych kliszach, a jest integralną częścią przemian w przyrodzie. Zależy od kąta osi planety wobec Słońca, od chłodów powietrza, od wilgoci i od pracy mikroorganizmów. Dzieje się bez naszego udziału i nie potrzebuje naszej zgody. Nagle widać geometrię koron, wyschnięte źdźbła, a pod nimi ściółkę, która gromadzi się, puchnie wilgocią albo kruszy bibułki liści. A my wybieramy wzrost, kwitnienie i owocowanie. Zimą zaś człowiek patrzy pod nogi, bo ślisko, bo zimno. Deszcz, jeśli pada, w miastach znika w odpływach. Śnieg, jeśli śnieży, rozpuszcza się do solnego roztworu. Liście są utylizowane lub murszeją w zaniedbanych kątach, całkiem nie do patrzenia.

To pokazuje, że nie ma w przyrodzie stanów skończonych, a cały czas wypełniają przemiany. To, co żywe, nie trwa w rozpoznanych postaciach, tylko w przejściach, poruszane siecią zależności, ciągle się zmienia. Spektakularnie kwitnie, w słońcu migocze koroną, a potem opada w ziemię, gnije, aż traci kształt, mięknie, kruszy się i wraca do obiegu materii. Śmierć i metamorfoza materii są podstawą, by były też i kwiaty. Są też i one, tylko na chwilę.

Wszystkie stany róży

W listopadowym ogrodzie fotografuję różę. To roślina w milionach odsłon artystycznych definicji piękna, przemielona przez kulturę, z ciężarem symboliki miłości, namiętności, śmierci bohaterów, matek, dziewic. Nie ma chyba dru-



giej rośliny tak obciążonej znaczeniami, tak przykrytej warstwami interpretacji, że trudno pod tym wszystkim zobaczyć samą roślinę: łodygę, kolce, liść.

Szczególnie w grudniu. Wtedy piękno przestaje być tematem, zaczyna nim być stan. Fotografuję więc to, co według naszych wyobrażeń było różą, albo to, co miało być owocem róży, ale nie jest ani jednym, ani drugim, utknęło w międzyczasie. Pozostała po nim forma, którą może zmienić tylko czas, deszcz, grzyby i bakterie.

Kolce naostrzone. Dno kwiatowe napuchnięte, w plamach rozkładu. Działki kielicha skurczone paralitycznie, zaciśnięte w jednej pozycji, jakby od dawna nie miały już prawa się poruszyć. Pręciki zgrupowane, brunatne, sklejone. Nie wiem, jak ją nazwać.

Brązowa struktura resztki kwiatu róży z napuchniętym dnem kwiatowym? Gdzie w tej formie kończy się kwiat, a zaczyna owoc? Albo gdzie kończy się jedno i drugie, a zaczyna coś trzeciego? Stan bez nazwy, który będzie trwał miesiące, może dłużej. To ciągle jednak jest róża, tak jak była, wtedy obsypana kwiatami albo w czerwieniach przewieszających się pędów dźwigających owoce.

Życie poza kadrem

Formy pomiędzy nie mieszczą się w naszych kategoriach opisu królestwa roślin.

Bo przecież my, od wieków, uczymy się klasyfikować rośliny według stanów skończonych i w idealnej pozie. Jakby gatunek dało się uchwycić wyłącznie w momencie, gdy wszystko jest jeszcze całe, czyste, rozpoznawalne. Nie pozwalamy tym formom się zestarzeć i gnić, w sensie opowieści: wyrzucamy starzenie poza kadr, poza nazwę.

Metamorfozy w trakcie więdnięcia i umierania nie są dla nas opowieściami o gatunku, tylko o rozpadzie. W opisie zostaje więc wzrost i ciągłe stwarzanie.

Mamy zatem kwiat i mamy owoc, mamy pąk i mamy liść, w atlasach perfekcyjne, do poziomu niemal sztuczności. Mamy postacie wybrane, doprowadzone do czytelności, bez działania czasu. Nie zdążyliśmy jeszcze odnaleźć słów na długie fazy między nimi. Na to, że roślina nie przechodzi od definicji do definicji, tylko trwa, zwalnia, psuje się. Miliardy nasion, które teraz leżą w glebie z tegorocznego opadu, nigdy nie skiełkują: ich zarodki zgniją albo gniją już. Nie będziemy na to patrzeć i nigdy nie patrzyliśmy.

Róża nie jest wyjątkiem, tylko wyciągniętym na światło fragmentem normy opowiadania o roślinach. Przyglądając się temu przykurczonemu zawiniątku, szkieletowi pochodnej kwiatu, już ↦

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

↦ w początkach rozkładu, widzę, jak łatwo zbudować widzenie przyrody na punktach: na stanach wybranych, uprzywilejowanych, bardziej wyobrażonych niż doświadczonych. A jak trudno oprzeć je na przemijaniu, które wyraża się właśnie w przemianach. To one są dominantą czasu roślin, drzew i wielu innych składowych świata ożywionego: przejścia bez nazwy, krótkie epizody ideału i długie, autentyczne trwanie rozpadu.

Ciężar trwania

Wczesnozimowe brązy i czernie, echo falujących łodyg z kwiatami: wilgoć i mikroorganizmy rozkładają je zimą powoli, głównie w oknach odwilży, a gdy wraca mróz, lód rozsadza komórki, jeśli została w nich jeszcze woda. Resztki mieszają się z glebą, czasem nawet przez lata. Ale już teraz część życia schodzi pod ziemię.

W tym porządku czasu działają geofity, rośliny całkiem podziemne. Zimą ich związek z ziemią widać najostrzej. Nad powierzchnią wszystko gaśnie: liście umierają i rozsypują się tuż u podstawy łodygi, której zostaje tylko suchy rysunek. Dla nas to wygląda jak koniec. Geofity pokazują bezczelnie, jak bardzo utożsamiamy życie wyłącznie z tym, co widoczne. Gdy część nadziemna zamiera, ciężar trwania przenosi się do kłączy, cebul, bulw, zgrubiałych odcinków osi pędu, do tkanek spichrzowych.

W tych organach nie ma nic do podziwiania dla estety. Ich logika jest fizjologiczna: przechować wodę i węglowodany, utrzymać zdolność wzrostu, przetrwać ucisk gleby, wahania wilgotności i temperatury, kontakt z grzybami, bakteriami, rozkładem. Kwiat to konieczny wypadek w życiu tych brzydali, a cała reszta to długie trwanie w trybie, jaki dla naszego oka jest nieatrakcyjny.

To jednak życie, które nie prosi o świadka. Które trwa pod spodem, w ciemności, w milczeniu komórek odkładających skrobię, czekających na sygnał do wzrostu. A dzieje się to teraz. Pod ziemią żyje brzydkie.

Myślimy: kwiat, owoc, pąk, liść.

A przecież roślina nie przechodzi od definicji do definicji, tylko trwa.

Triumf woli

Dlatego jesień i zima są dla mnie porą, w której przyroda wydaje się najbardziej autentyczna. Wiosna jest łatwa do podziwiania, bo jest więcej światła i ciepła, bo daje formy rozpoznawalne i estetycznie atrakcyjne, wytęsknione, bo po okresie mroku. Nie dziwią więc nasze zachwyty nad krokusami, tulipanami. Było przecież tak zawsze. Przez dwieście tysięcy lat szwendaliśmy się po burych stepach. Kto zauważył czerwone jagody, ten je zjadł, ten przeżył, a wrażliwość oka została.

Jednak jesień i zima odsłaniają proces, który w żadnym stopniu nie ma obowiązku być przyjemny w odbiorze. Fenomen rozpadu jest cierpliwy, jest dobry, rozciągnięty, lepki od wilgoci, brudny i długo trzyma nas w zawieszeniu między tym, co jeszcze trwa, a tym, co już nie przypomina siebie z czasu lata. Te fazy pomiędzy są najtrudniejsze do uniesienia, bo nie dają ani triumfu formy, ani czystej puenty końca. A przecież właśnie one są fundamentem przeistoczeń żywych.

Z tego napięcia wymyśliłam instalację artystyczną „Przednówek". Nie jako opowieść o sezonach, tylko jako formę, która wymusza inne tempo patrzenia. W Pawilonie Polski w Osace, na zaproszenie Moniki Brauntsch, pojawił się projekt, w którym obiektem nie jest piękna roślina, tylko roślina w stanie przejściowym, niepewnym, z pogranicza kategorii.

To sto dwadzieścia żywicznych kul. Każda pokazuje formę, która zwykle nie trafia do atlasu: jeszcze żywy kwiat, prawie rozwinięty liść pomarszczony jak noworodek, popękany pąk, prawie martwy liść, zawiniątko pastorałów paproci wykopanych spod ziemi. Zatrzymane na moment, który normalnie trwa krótko, a potem znika. Te kule wymuszają na człowieku zatrzymanie. Przesuwają na pierwszy plan to, co na co dzień dzieje się za oknem i przechodzi niezauważone. Trzeba tylko stać i patrzeć.

Materiał do instalacji powstawał przez rok, w lesie nieopodal Wołomina i na kampusie SGGW. Od diagnozy, przez całe leczenie. W tym czasie szczególnie wyraźne stało się dla mnie podobieństwo między ciałem a liściem w listopadzie: oba są postawione w miejscu, w którym nie da się już udawać pełni. Można się rozpaść. Można się też ułożyć inaczej. Jest się pomiędzy. Tak jak te sto dwadzieścia roślin nie z atlasu, bez wygodnej kategorii.

Rok bez czerwca

To są czasy, które trwają albo tylko kilka godzin, albo dni, a potrafią zostawić ślad w formie na całe jej życie. W naturze idą dalej: rozpadają się, opadają, kruszą, wsiąkają w glebę niezauważone. W instalacji zostają w tej półprzemianie, uparte w swojej nieczytelności. Fragmenty roślin suszyłam w kryształkach krzemionki, żeby zachować przestrzenność: skręty, odgięcia, zwiotczenia, niestabilności.

Megi Malinowska ze swoim zespołem zatapiała je w żywicy i montowała w obracającą się zasłonę. Wystawa Pawilonu Polski dostała złoty medal Expo. Dziś moja uczelnia stara się uchronić instalację przed utylizacją i sprowadzić ją do naszej biblioteki, żeby była dostępna dla każdego.

W czerwcu na raka umarł mój mąż. Dlatego w instalacji jest mało obiektów z czerwca, nie ma kwiatów, bo jak wtedy szukać kwiatów. Kwiaty, kształtne liście i słońce dostają od razu łatwą zgodę na zachwyt. Mnie teraz interesuje to, co nie prosi o podziw: stany przejściowe, niedoskonałe, długie, brązowiejące, rozciągnięte w czasie.

Tak jak dziś za oknem. Patrz.

© URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

Autorka jest poetką, botaniczką, adiunktką w Samodzielnym Zakładzie Botaniki Leśnej SGGW w Warszawie. Autorka książek poetyckich: „Atomy", „minimum", „Piach" i eseju „Patyki, badyle". Laureatka Nagrody Kościelskich oraz Nagrody Literackiej Gdynia.

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

OLGA

Drenda: *Przyszłość wychodzenia do ludzi*



Ludzie wychowani w internecie dziwili się niedawno ogłoszeniom z kącików towarzyskich typu „poznajmy się", publikowanych w prasie drukowanej, a później także w Telegazecie. Zdumienie budziła przede wszystkim nietypowa w czasach RODO niefrasobliwość w ujawnianiu pełnych adresów zamieszkania, ale także gotowość do podjęcia ryzyka, by poznać kogoś poprzez odręcznie zapisaną kartkę, na którą trzeba było się nieraz naczekać. A tak było – w moim przypadku listom towarzyszyły nawet muzyczne składanki na kasetach i inne upominki.

Stare kąciki ogłoszeniowe przypominają, że samotność ani czucie się outsiderem to nie jest żaden nowy wynalazek. Nie warto wierzyć w podmalowane różową mgiełką opowieści o tym, że każdy miał kumpli z podwórka.

Patrząc po dzisiejszych dorosłych, których znam przecież całkiem sporo – możliwość zawarcia przyjaźni np. w szkole to rzadki luksus, młodzież często łączy tam tymczasowa wspólnota niedoli, która rozwiązuje się niebawem po tym, jak sytuacja wyjściowa mija. Wielu pewnie i przed laty przechodziło przez młodość bez żadnej bratniej duszy. A przyjaźni albo chociaż sympatii pozarodzinnych potrzeba, by poznać inny rodzaj zaufania, by nie zmienić się w człowieka zastrachanego i nieufnego, a czasem by nie zapaść się w sobie.

Czytam prognozy przemian w kulturze i życiu społecznym przygotowywane przez tych, którzy starają się mieć oczy dookoła głowy i całą dobę spożywają cyfrową paszę. Czujni badacze powtarzają ostatnio, że nowym luksusem i przedmiotem pożądania będą spotkania offline i takież społeczności, i że ludzie będą spotykać się na żywo w klubach. No wszystko ładnie, pięknie, ale większość świata to nie jest Nowy Jork ani nawet Kraków, tylko coraz bardziej monotonne trasy: szkoła, praca, dom, sklep z owadem, sklep z płazem i cześć. I jeśli ktoś nie zdążył poznać przyjaciół do tej pory, w świecie lub np. w internecie, to na te domniemane „klubowe społeczności" może sobie popatrzeć co najwyżej z daleka przez szybkę, jak na dobra z Peweksu.



OLGA DRENDA

A jednak jest klub modelarski w lesie

Dawniej rodzice mogli mówić samotnym dzieciom: „spróbuj wyjść do ludzi", bo i wyjścia, i ludzie byli w zasięgu ręki, więc wydawało się to co najwyżej kwestią dobrej woli. Dziś nasze miejscowości i pojedyncze życia przypominają coraz mocniej proces dostawy paczki kurierskiej, szybko i efektywnie od punktu a do b, bez postojów po drodze i rozglądania się na boki. Do tego postępująca „międzymieścizacja" Polski, czyli domki zadbane i przytulne, ale położone w szczerym polu, będzie miała konsekwencje, gdy dzieci osiedlonych tu milenialsów osiągną wiek ponadpodstawówkowy. Te procesy programują nas do życia maksymalnie w małej rodzinie, bez uczestnictwa osób trzecich, bez wpadania na kogoś przypadkowo.

W tak zorganizowanym świecie trudno rówieśnikom poznać się np. na kółku modelarskim (bo trzeba dotrzeć do najbliższej większej miejscowości), ale nawet poświęcać się typowo nastoletnim aktywnościom w rodzaju snucia się bez celu. Nie ma bowiem ani gdzie się snuć (pod centrum logistycznym czy wzdłuż ekranów dźwiękochłonnych?), ani z kim. Internet przez wiele lat ratował przed samotnością, dostarczając możliwości poznania „swoich" i przejścia do znajomości offline, by snuć się razem. Teraz takich możliwości będzie mniej, bo pewna wersja internetu, ta zwana społecznościową (brzmi to coraz bardziej ironicznie), staje się nieciekawa i przede wszystkim wyludniona. Zaczyna ciążyć na niej śmiercionośne piętno żenady.

To jak ludzie będą trafiać na siebie? Bo że będą chcieli i potrzebowali, nie mam wątpliwości (nie, czatbot nie wystarczy, tak jak nie wystarczał wymyślony przyjaciel, pamiętnik, zwierzanie się idolowi lub postaci z kreskówki). Cofnięcie się o kilka pól nikomu się nie uśmiecha, niestety czasem się zdarza, o czym lubi uczyć dystopijna literatura i kino. W powieści „Ściana" Marlen Haushofer bohaterka, która zostaje sama na Ziemi z psem, kotem i krową, ze znalezionych podręczników rolniczych uczy się od zera gospodarstwa. Może takie zapomniane źródła przydadzą się kiedyś do odbudowy „białkowej" sieci dla ludzi, w której zakłada się osobiste strony www i pisze do siebie prywatne maile.

Albo, oczywiście, listy przez kącik korespondencyjny. Tylko to wymaga jeszcze jednego „odzapomnienia": w realiach drogich i szybko kończących się tuszów do drukarek trzeba będzie poćwiczyć na nowo umiejętność pisania ręcznie. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

ROZMOWA

EUROPA NIE PORYWA

ALEKSANDER SMOLAR:

Znaczenie Unii spadło. W negocjacjach amerykańsko-rosyjskich o przyszłości Ukrainy jest ona usuwana w cień. Czas uruchomić drzemiący w niej potencjał.

JACEK STAWISKI: Czy radykalna prawica to przyszłość Europy?

ALEKSANDER SMOLAR: Faktem jest, że jej wpływy są bardzo silne. Wystarczy spojrzeć na Węgry Viktora Orbána czy Włochy Giorgii Meloni, która prowadzi otwartą politykę zagraniczną – choćby w sprawie Ukrainy – przy jednoczesnym realizowaniu programu skrajnie prawicowego w polityce wewnętrznej. Podobne napięcia widzimy na Słowacji, pewien poziom niepewności dotyczy Czech po niedawnych wyborach. W wielu krajach skrajna prawica współrządzi albo ma istotny wpływ na politykę. Nawet w największych państwach zachodniej Europy może przejąć władzę: w Wielkiej Brytanii ugrupowanie Nigela Farage'a jest na czele sondaży, we Francji Zjednoczenie Narodowe, partia Marine Le Pen i Jordana Bardelli, wyraźnie wyprzedza konkurencję, a w Niemczech Alternatywa dla Niemiec zanotowała dynamiczny wzrost i wysunęła się na czoło przed Chrześcijańską Demokrację.

Źródłem dodatkowej niepewności jest zmiana polityki Stanów Zjednoczonych. Trudno dziś przesądzić, czy doprowadzi ona do dalszego wzmocnienia skrajnej prawicy w Europie – którą Donald Trump otwarcie popiera – czy przeciwnie: reakcją na politykę USA, opartą na lekceważeniu i dążeniu do rozbicia Unii Europejskiej, okaże się powrót partii demokratycznego głównego nurtu i dążenie do głębszej integracji. W pierwszej wersji amerykańskiej strategii – jak donosiła część prasy – pojawiały się nawet sugestie „wyłuskania" z Europy czterech krajów: Austrii, Polski, Węgier i Włoch. To pokazuje prawdziwe intencje obecnej administracji USA, która stała się istotnym aktorem także wewnętrznej polityki europejskiej.

Co jednak najważniejsze: Europa niewątpliwie zmaga się z wieloma problemami, ale trudno sobie wyobrazić, by skrajna prawica mogła je rozwiązać.

Minęła pierwsza ćwiartka XXI wieku. Dla Unii był to czas wprowadzenia wspólnej waluty, wielkiego rozszerzenia – także o Polskę – ale również wojny z terroryzmem, kryzysu konstytucyjnego, kryzysu finansowego i kryzysu strefy euro, kryzysu migracyjnego, podziałów na europejską Północ i Południe, brexitu oraz napięć w relacjach z Moskwą po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Jakie wnioski płyną z tych 25 lat?



ANJA / ADOBE STOCK

Europa ma za sobą niewątpliwie osiągnięcia. Jednym z największych było rozszerzenie Unii – z którego my, jako Polska, ogromnie skorzystaliśmy. Unia wciąż pozostaje projektem atrakcyjnym: nadal są państwa, które chcą do niej dołączyć. To samo w sobie jest ważnym sygnałem.

Trzeba jednak jasno powiedzieć, że znaczenie Unii spadło. W polityce międzynarodowej jej rola została zmarginalizowana. Widać, jak jest usuwana w cień w negocjacjach amerykańsko-rosyjskich na temat przyszłości Ukrainy, choć dla bezpieczeństwa Europy ta kwestia ma zasadnicze znaczenie. Widać to także w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego prezydenta Trumpa, gdzie Unia jest traktowana gorzej niż Rosja i Chiny, poświęca się jej parę stron oskarżeń o upadek cywilizacyjny i gospodarczy oraz o sprzyjanie wojnie w Ukrainie.

Nic dziwnego, że ta strategia doczekała się pochwał w Moskwie i Pekinie.

Jest w niej wizja świata imperialnego, zasadniczo odmienna od tej, którą Zachód, w tym demokratyczna Europa, wyznawały po II wojnie światowej. W tym sensie przypomina raczej XIX-wieczne myślenie imperialne niż rzeczywistość globalizującego się, otwartego świata. W tej wizji dominują trzy imperia: Stany Zjednoczone, Chiny i Rosja. Europa do tej kategorii podmiotów polityki międzynarodowej nie należy. A z kontekstu jasno wynika, że przynajmniej jej część postrzegana jest jako klient USA. Celem Trumpa i jego administracji wydaje się więc rozbicie UE i powrót do dominacji państw narodowych, z którymi Stanom Zjednoczonym łatwiej byłoby sobie radzić.

Ten spadek znaczenia Europy widać też w wymiarze ekonomicznym. Poważnie spadło tempo wzrostu gospodarczego, udział kontynentu w produkcji światowej; przede wszystkim w najbardziej nowoczesnych dziedzinach. Europa boleśnie odczuła uzależnienie od rosyjskich surowców energetycznych, a dziś mierzy się z podobnym problemem w relacjach z Chinami – choćby w kwestii metali ziem rzadkich, kluczowych dla nowoczesnych technologii. Skala tych zależności pokazuje, jak ograniczona jest realna autonomiczność Europy. To problemy poważne i strukturalne.

Unia Europejska pozostaje jednak jedną z największych gospodarek świata, w przybliżeniu porównywalną ze Stanami Zjednoczonymi. Od dawna mówi się, że jest politycznym czy militarnym karłem, ale gospodarczym kolosem. Co może zrobić, by w kolejnej ćwiartce wieku nie stracić tej pozycji?

Europa rzeczywiście dysponuje poważnymi atutami. Ogromny, zintegrowany, największy na świecie rynek daje realne narzędzia obrony przed agresywnymi działaniami innych aktorów. Widzimy to choćby w narastającym sporze handlowym z USA. Unia zaczyna też coraz twardziej reagować na zachowania wielkich firm technologicznych. Kary nakładane na koncerny big tech, regulacje dotyczące gigantów cyfrowych pokazują, że potrafi używać swojej siły. Jednak w obszarach tak fundamentalnych jak postęp technologiczny, innowacje czy kreatywność Europa wyraźnie odstaje zarówno od Stanów Zjednoczonych, jak i od Chin. Jeszcze niedawno była miejscem, w którym rodziły się nowe idee i technologie – dziś ten impuls osłabł.

Zasadniczym problemem jest głęboki podział wewnętrzny. To czynnik, który hamuje rozwój, zdolność do reagowania na kryzysy, a przede wszystkim dalszą integrację – zarówno w dziedzinie gospodarki, jak i obronności. Europa wydaje ogromne środki na zbrojenia, ale są one rozproszone, nieskoordynowane, podporządkowane logice narodowej. Budowa wspólnej polityki obronnej zaczyna się z opóźnieniem.

Następnym wielkim wyzwaniem jest sposób zarządzania Unią…

Trzeba ograniczać nadmierną biurokratyzację, o której tak chętnie mówią krytycy Brukseli, i stworzyć lepsze warunki dla przedsiębiorczości. Europa straciła wielu młodych, kreatywnych ludzi, którzy wyjeżdżali do USA, Kanady czy Australii, uciekając przed nadmiernymi regulacjami i opodatkowaniem.



W ostatnich kampaniach wyborczych we Francji wracało pytanie, czy Unia jest projektem promującym globalny handel i globalizację, czy – jak ↦

↦ **mówiła Marine Le Pen – raczej tarczą chroniącą Europę przed globalizacją. Z kolei takie kraje jak Niemcy widzą UE przede wszystkim jako narzędzie ekspansji handlowej i gospodarczej. Czym więc powinna być europejska wspólnota?**

Opisał pan realny konflikt interesów, który jest integralnym elementem relacji niemiecko-francuskich. Niemcy tradycyjnie opowiadają się za większym otwarciem, Francja częściej skłania się ku polityce protekcjonistycznej – nie w ramach granic narodowych, choć elementy renacjonalizacji rzeczywiście się pojawiają, lecz w ramach ochrony całej Europy.

W praktyce powinna to być mieszanka obu podejść. Europa jest potężnym aktorem i przy racjonalnej polityce, otwartości oraz szybszym postępie technologicznym nie musi obawiać się konkurencji. Równocześnie musi się jednak chronić – np. przed konkurencją Chin, gdzie niskie koszty pracy stanowią poważne wyzwanie.

Czy Unia nie pada ofiarą własnego idealizmu – np. zbyt szybkiej transformacji ekologicznej i energetycznej, która może osłabiać konkurencyjność? Albo idealizmu pacyfistycznego, dziś konfrontowanego z brutalną rzeczywistością wojny?

Wiara w Europę i integrację europejską wciąż jest silna. We wszystkich społeczeństwach większość popiera projekt europejski i nie widzi przyszłości swoich krajów poza Unią. To nie jest więc kwestia idealizmu w sensie oderwania od rzeczywistości.

Ale to, o czym pan mówi, rzeczywiście istnieje. Jeśli chodzi o pacyfizm, Europa bardzo się zmieniła po rozpoczęciu rosyjskiej agresji na Ukrainę. Nawet w krajach, gdzie sympatia wobec Rosji była wcześniej stosunkowo silna, nastąpił zwrot. Wzrosła świadomość zagrożenia – nie tylko dla Ukrainy, ale dla całej Europy. Problem polega jednak na czymś innym. Jest to w dużej mierze efekt skumulowanych doświadczeń XX wieku: strachu przed wojną, przed ofiarami, przed samą koniecznością mówienia o przemocy. Dobrym przykładem była reakcja we Francji, gdy szef sztabu wspomniał publicznie o możliwych ofiarach wojny i został natychmiast skrytykowany przez prezydenta Macrona i klasę polityczną.

Gdzie leży istota problemu?

Wojna zawsze oznacza ofiary. A badania pokazują, że w wielu krajach – we Włoszech, ale nie tylko – zaledwie kilkanaście procent obywateli byłoby gotowych bronić ojczyzny z bronią w ręku. To bardzo niskie wskaźniki i sygnał alarmowy.

Europa, mimo doświadczeń dwóch wojen światowych, totalitaryzmów i zimnej wojny, a także na skutek wieloletniej ochrony ze strony Stanów Zjednoczonych wciąż nie oswoiła się z myślą, że musi w większym niż dotąd stopniu dbać o własną obronę, że coraz mniej może liczyć na USA, że musi realnie przygotować się na możliwość bezpośredniej konfrontacji z Rosją. Bo przecież wiele wskazuje na to, że Ukraina nie jest ostatnim celem rosyjskiej agresji.

Problem migracji jest dziś głównym czynnikiem mobilizującym skrajną prawicę i siły populistyczne.

Ich obawy są realne: nie wynikają wyłącznie z rasizmu czy uprzedzeń.

Sekretarz generalny NATO Mark Rutte ostrzega, że jeśli Europa się nie dozbroi, to grozi jej wojna. Czy takie wezwania mogą zmobilizować europejskie społeczeństwa, czy raczej doprowadzą do tego, że Europejczycy na nie zobojętnieją?

Same słowa Marka Ruttego prawdopodobnie nie wystarczą. Ale powtarzalne komunikaty ze strony autorytetów politycznych, przywódców państw, połączone z konsekwentną „pedagogiką demokratyczną", są niezbędne.

Trzeba jasno tłumaczyć społeczeństwom, że to, czy wojna wybuchnie, czy nie, zależy od poziomu naszego przygotowania. Potencjał Europy – gospodarczy i demograficzny – jest przecież nieporównywalnie większy niż Rosji. To fakt, o którym rzadko się mówi wprost.

Konieczna jest stała rozmowa ze społeczeństwami?

Przykład francuski, o którym wspomniałem, pokazuje raczej, jak tego nie robić – temat został zduszony w zarodku. Tymczasem media i politycy powinni spokojnie, konsekwentnie wyjaśniać, czym jest obecnie wojna i że możemy stanąć w obliczu trudnych decyzji, związanych z obroną własnej niepodległości, demokracji i bezpieczeństwa.

Unia powstała po to, by wojna między jej państwami była niewyobrażalna. Dziś jednak coraz częściej mówi się o wojnie przeciwko Europie. Czy to powinno stać się elementem zbiorowej świadomości Europejczyków?

Agresja Rosji na Ukrainę już to uświadamia. I nie chodzi tylko o klasyczne działania militarne, ale także o formy wojny hybrydowej: propagandę, dywersję, sabotaż, zamachy. Przypomnę głośny przypadek sabotażu infrastruktury kolejowej w Polsce, który na szczęście nie pociągnął za sobą ofiar.

Jak tę świadomość przełożyć na konkretne działania? Co powinniśmy robić – jako Unia, jako państwa, ale też jako obywatele – żeby realnie zmniejszyć zagrożenie? To dziś jedno z najpoważniejszych pytań. Na poziomie Unii odpowiedź wymaga odwagi politycznej i gotowości do podjęcia tematu wspólnego wysiłku militarnego. Nawet jeśli poszczególne państwa – jak Polska – wydają relatywnie dużo na obronność, to, jak wspomniałem, wciąż są to potencjały rozproszone i przez to ograniczone. Działając wspólnie, Unia mogłaby reprezentować zupełnie inną skalę siły.

Chciałbym zapytać o imigrację. Z jednej strony skrajna i narodowa prawica przekonuje, że masowa imigracja zagraża Europie kulturowo – że przyjeżdżają ludzie niechętni europejskiemu dziedzictwu. Z drugiej strony Europa potrzebuje imigrantów. Czy da się pogodzić ochronę europejskiego modelu życia z odpowiedzią na realne potrzeby demograficzne i gospodarcze?



GRAŻYNA MAKARA

ALEKSANDER SMOLAR jest politologiem i socjologiem. W czasach PRL działacz opozycji demokratycznej, po Marcu '68 więziony, a następnie zmuszony do emigracji, pracował m.in. w Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu (CNRS). Po 1989 r. doradca premierów Mazowieckiego i Suchockiej, w latach 1991-2020 prezes Fundacji Batorego.

Jeśli nie znajdziemy rozwiązania, które odpowiadałoby na obawy obu stron, sytuacja stanie się bardzo niebezpieczna. Problem migracji jest dziś głównym czynnikiem mobilizującym wyborców Trumpa w USA, ale także skrajną prawicę i siły populistyczne w całej Europie. To są realne obawy, które nie wynikają wyłącznie z rasizmu czy uprzedzeń. W języku angielskim słowo *home* oznacza jednocześnie dom w sensie fizycznym i dom jako wspólnotę, miejsce zakorzenienia, źródło tożsamości. Trudno zaakceptować w swoim „domu" ludzi o zupełnie innej kulturze, innym systemie wartości, innym stosunku do spraw podstawowych. To reakcja w dużej mierze naturalna.

Problem polega na skali zjawiska. Na świecie mamy dziś ponad 60 milionów uchodźców i migrantów. Grozi nam napływ ogromnej fali z przeludnionej Afryki. Europa nie jest w stanie przyjąć wszystkich, którzy pragną się do niej dostać. Dlatego potrzebne są rozwiązania selektywne, polityka, jaką prowadzi np. Dania: przyjmowanie ludzi zagrożonych w swoich krajach ze względów politycznych, rasowych czy religijnych, zgodnie z zasadami azylu. Oraz przyjmowanie imigrantów zgodnie z realnymi potrzebami rynku pracy i kwalifikacjami, a nie masowe otwieranie granic.

Porozmawiajmy więc o tych potrzebach.

Europa wymiera. Wskaźniki demograficzne – także w Polsce – są dramatyczne. Nawet Francja, do niedawna jedyny kraj starej Europy z dodatnim przyrostem naturalnym, notuje wyraźny spadek. Bez imigracji nie będziemy w stanie utrzymać systemów emerytalnych ani tempa rozwoju. Dlatego potrzebna jest kontrolowana imigracja, połączona z otwartością kulturową i religijną – ale nie naiwna wielkoduszność, która ignoruje realne obawy społeczeństw.

***À propos*: czy obawy przed dominacją Niemiec w Unii Europejskiej mają związek z rzeczywistością, czy to raczej polityczne manipulacje – szczególnie chętnie podsycane przez prawicę w Polsce?**

W dużej mierze to manipulacje. W Niemczech istnieją jedne z najsilniejszych środowisk popierających dalszą integrację europejską – podobnie jak w większości starej Europy, która ma długie doświadczenie współżycia w ramach Unii.

Straszenie Niemcami, szczególnie w Polsce, jest niebezpieczne. To kraj głęboko „przetrącony" przez II wojnę światową i jej konsekwencje. Jego zdolności przywódcze – także polityczne – są znacznie bardziej ograniczone, niż się to często przedstawia. Gdyby chciał dominować, inne państwa Unii bez trudu mogłyby temu przeciwdziałać w imię równości i wspólnych zasad. To straszenie Niemcami jest więc bardziej szkodliwe dla Polski niż dla samych Niemiec.

A co z Francją?

No właśnie: znacznie bardziej sceptyczna wobec dalszej integracji jest Francja – ale to wynika z jej osłabienia. Rozszerzenie Unii, w tym o Polskę, osłabiło jej dominującą rolę z pierwszych dekad integracji. Dzisiejsze reakcje Paryża są często defensywne, motywowane lękiem, a nie pozytywną wizją przyszłości. W Niemczech wciąż jest więcej optymizmu i wiary w projekt europejski, choć i one borykają się z problemami gospodarczymi – w dużej mierze z powodu uzależnienia od Rosji w kwestii surowców energetycznych i od Chin jako rynku zbytu.

Wspólne działanie na rzecz przezwyciężenia tych kryzysów mogłoby wzmocnić także pozycję Polski w Unii. Tymczasem widzimy, jak ta rola osłabła. Był moment, gdy Polska współtworzyła – obok Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii – układ kluczowy dla przyszłości Europy. Dziś to się skończyło: z powodu naszych konfliktów wewnętrznych, osłabienia władzy wykonawczej i dwuznacznej polityki wobec Europy i Ukrainy. Dlatego budowanie konsensusu wewnętrznego i przezwyciężanie antyeuropejskich nastrojów jest dla Polski sprawą fundamentalną.

A jak Polska ma nie popaść w megalomanię ani w niepotrzebne umniejszanie własnych możliwości? Często oscylujemy między tymi dwoma biegunami...

Po pierwsze, Polska niewątpliwie dysponuje poważnym potencjałem. Wynika on nie tylko z wielkości kraju – demograficznej i terytorialnej – lecz także z osiągnięć po 1989 r. Transformacja przyniosła nam wyjątkowe sukcesy gospodarcze i handlowe, które są dziś realnym kapitałem.

Polska oczywiście nie powinna ani nie może być „przywódcą" Europy – zresztą nie byłby to dobry model, gdyby jeden kraj dominował nad innymi. Ale może i powinna należeć do grona państw wiodących. Może odgrywać istotną rolę obok Wielkiej Brytanii, Francji czy Niemiec, właśnie dlatego, że reprezentuje inną tradycję, inne doświadczenie historyczne i inne postrzeganie świata. Mogłaby też być rzecznikiem regionu, który dziś odgrywa coraz większą rolę demograficzną i polityczną, ale też wnosi szczególne doświadczenie. Na Zachodzie coraz częściej przyznaje się, że Polacy i Bałtowie od dawna wiedzieli, czym jest Rosja i jakie zagrożenia niesie. To pokazuje, jak możemy przyczyniać się do poszerzenia europejskiej wyobraźni geopolitycznej – w oparciu o własne doświadczenia, ale też o gotowość do obrony i poświęcenia.

Wspominałem wcześniej o słabości takich postaw w niektórych państwach Zachodu. Tymczasem Polska, podobnie jak kraje bałtyckie, przeznacza dziś znacznie większą część PKB na obronność niż państwa starej Europy. To fakt zauważany i doceniany – i widzę w nim potencjalnie ważną rolę Polski – rolę kraju, który jest wiarygodny zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie Europy. To mogłoby istotnie wzmacniać nasze bezpieczeństwo, ale także budować poczucie spokojnej pewności siebie i godności: świadomość, że Polska jest ważnym aktorem i realnie współkształtuje europejską scenę polityczną, naszą wspólną przyszłość.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

WIARA

GRAŻYNA MAKARA

KTOŚ MUSI SŁUCHAĆ

KARD. GRZEGORZ RYŚ:

Chciałem zostać w Łodzi. Co nie oznacza, że nie kocham Krakowa. Powiedziałem to papieżowi. Usłyszałem, że mam iść.

ANNA GOC, EDWARD AUGUSTYN: Otworzy Ksiądz Kardynał na powrót okno papieskie?

KARD. GRZEGORZ RYŚ: Rozmawiajmy o poważnych sprawach.

Zamurowane okno to dla wielu – tak wiernych, jak i księży – symbol zamkniętej kurii.

Okno nie jest symbolem kurii, tylko wizyt papieskich w Krakowie – Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka. Jeśli Leon XIV przyjedzie, pomyślimy o oknie.

Zaczynamy od symbolu, ale chcemy porozmawiać o tym, jak w ostatnich latach zmieniał się Kościół w Krakowie. Teraz pojawiają się publiczne oskarżenia wobec najbliższych współpracowników byłego metropolity abp. Marka Jędraszewskiego o nadużywanie władzy, bezwzględność, chciwość. Planuje Ksiądz zmiany w kurii?

Jeśli będą konieczne, to tak. Ale nigdy nie zaczynam od zmian ludzi, zwłaszcza jeśli miałbym ich dokonywać pod wpływem tego, co przeczytałem w gazetach. Chcę mieć na to trochę czasu i proszę mi go dać. Nie zamierzam też krytykować osób, z którymi nawet jeszcze nie rozmawiałem. To kwestia uczciwości.

W Kościele czas liczy się inaczej. Co znaczy „trochę czasu"? Rok?

Może rok, może mniej. Myślę, że w niektórych przypadkach mniej. Ale to nie jest dobry moment na tę rozmowę.

Ma Ksiądz Kardynał pomysł, jak naprawić atmosferę wśród duchownych i wiernych?

Nie nazwałbym tego naprawianiem atmosfery, tylko odszukiwaniem się w jednej wspólnocie. Nie na zasadzie: „moja opcja", „nie moja opcja". Z księżmi, mam nadzieję, że właśnie zaczynamy. Po to zaprosiłem ich na rekolekcje, tuż przed moim ingresem, żeby spróbować odnaleźć się razem na poziomie Słowa Bożego, w sakramencie pokuty.

W Łodzi też zacząłem od rekolekcji, na których później spotykaliśmy się co roku przez kolejne osiem lat. Zawsze w tym samym kluczu programowym: najpierw spotkanie przy Słowie, później – w domu – przy rozmowie, herbacie i kanapce.

Krakowskich księży zna Ksiądz dobrze?

Znam, choć nie wszystkich, bo przecież wyprowadziłem się z Krakowa blisko dziewięć lat temu. Tych, dla których byłem rektorem w seminarium, znam po imieniu. Podobnie jak tych, z którymi byłem w seminarium, czy z sąsiednich roczników.

Chodzi nam raczej o świadomość, że Kościół krakowski jest inny niż łódzki.

Tę świadomość miałem zawsze. Każdy Kościół ma prawo być inny.

Z jakimi problemami przychodzą księża do swojego metropolity?

Dużo ostatnio mówi się o samotności księży.

W dokumencie papieskiej Dykasterii do Spraw Duchowieństwa jest sugestia, że lepiej, by dwóch lub trzech księży, którzy obsługują sąsiednie parafie, mieszkało razem. Jest nawet mocniejsza podpowiedź, że jeśli nie można, choćby z przyczyn personalnych, stworzyć takiej wspólnoty kapłańskiej, to można mianować księży proboszczami czy wikariuszami w parafiach, z których pochodzą. Chodzi nie tylko o to, żeby ksiądz był chroniony przed dramatyczną samotnością, ale też o to, by miał pozytywne doświadczenie życia wspólnego. Jeśli tego nie ma, to jak ma go nauczyć wiernych w parafii?

Da się te zalecenia zrealizować?

Mnie ten pomysł przekonuje.

I druga rzecz, którą chcę podkreślić. Każdy ksiądz, który będzie potrzebował się ze mną spotkać, będzie mógł to zrobić jeszcze tego samego dnia albo następnego. Jeśli do mnie zadzwoni, a ja nie odbiorę, na pewno do niego oddzwonię.

To będzie w Krakowie nowość.

Robiłem tak w Łodzi, a wcześniej też w Krakowie, gdy byłem biskupem pomocniczym.

↦

Kardynał Grzegorz Ryś, Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie, 17 grudnia 2025 r.



Jakie jeszcze sprawdzone w Łodzi pomysły chciałby Ksiądz Kardynał przenieść do Krakowa? Arena Młodych? Synody parafialne?

Arena urodziła się w Krakowie, nie w Łodzi. Więc nie ma problemu, by ją tu organizować, pod taką czy inną nazwą. Tu zawsze było dużo wspólnot Nowej Ewangelizacji, na pewno będę się z nimi spotykał zaraz po nowym roku. A co się z tego urodzi? Zobaczymy.

Synody parafialne? Tak, to było ważne doświadczenie, niespotykane gdzie indziej, bo nie ma w prawie kanonicznym takiej formuły jak synod parafialny. Ale żeby go zorganizować, to trzeba mieć w każdej parafii działającą radę duszpasterską lub zespół synodalny. I to działające faktycznie, nie na papierze. Od tego trzeba zacząć.

A inne pomysły?

Poczekajcie chwilę. Wkrótce się okaże.

Był taki zwyczaj w kurii krakowskiej, za kardynałów Wojtyły, Macharskiego czy Dziwisza, że w jeden dzień, przez dwie-trzy godziny arcybiskup był dostępny dla wszystkich, którzy chcieli się z nim spotkać. Czy zamierza Ksiądz do tego wrócić?

W Łodzi przyjmowałem wszystkich, wystarczyło się umówić. Kwestia jednego telefonu do sekretarza. To nie jest chyba nazbyt rozbudowana procedura?

Jeśli się da umówić. Obserwowaliśmy przez ostatnie lata krakowską kurię jako zamknięty bastion, do którego wstęp mieli tylko niektórzy. Ale często bywali tam na przykład politycy.

Jeśli dzwoni urzędujący poseł, senator, europoseł, minister, ktoś, kto wziął na siebie odpowiedzialność za losy naszego kraju, i prosi o spotkanie, z reguły nie odmawiam, ale ono odbędzie się pewnie poza godzinami urzędowania i mówiąc kolokwialnie, nawet „pies z kulawą nogą" nie będzie nic o nim wiedział. Jednocześnie: w moich wystąpieniach publicznych nie znajdziecie choćby dwóch zdań o polityce.

Czy wie Ksiądz, że na terenie diecezji krakowskiej działa „Kościół równoległy"? Niezależny od oficjalnego nauczania papieży, biskupów, w którym organizowane są, w świątyniach albo salach parafialnych, spotkania o tematyce antysemickiej, nacjonalistycznej. Z politykami głoszącymi takie poglądy, zapraszanymi przez proboszczów.

Moje zdanie i nauczanie w tej kwestii są jasne. Rozwiązaniem tego problemu jest uczciwa edukacja. Komisja, którą prowadzę w Konferencji Episkopatu, do dialogu z judaizmem, opublikowała właśnie zbiór dokumentów, od Soboru Watykańskiego II do 2015 r., o naszej relacji do Żydów.

Będzie Ksiądz reagował?

Tam, gdzie są działania polityczne na terenie Kościoła, zawsze miałem prostą zasadę: najpierw wzywałem księdza i dopytywałem, co się stało. Upominałem i zabraniałem tego typu aktywności. A jeśli nie skutkowało, są inne środki i kary kościelne.

Ksiądz ma prawo mieć własne poglądy polityczne, ale kościół nie jest miejscem, gdzie może uprawiać politykę. Jeśli to robi, traci ludzi, bo wierni widzą w konfesjonale nie księdza, tylko przeciwnika politycznego.

W 1989 r. byłem już księdzem i wiem, cośmy robili na parafiach. Kościoły były wtedy miejscami spotkań z politykami. I chwała Bogu, bo tak trzeba było. I tak jak wtedy było trzeba, tak dzisiaj nie wolno.

Bycie biskupem diecezjalnym nauczyło mnie, że nie osiąga się rzeczy na sto procent. Nie mam takiej wiary – ani w siłę mojego słowa, ani w siłę kościelnej dyscypliny, że całkowicie wyeliminuję problem. Co nie oznacza, że nie zamierzam reagować.

Jestem ze szkoły historycznej ks. prof. Jana Kracika, który uczył, że prawda broni się sama. **Natomiast nie broni się żadna mitologia – ani czarna, ani złota.**

Jaka jest oferta arcybiskupa krakowskiego dla tych ludzi, którzy są już poza Kościołem albo na jego obrzeżach?

Po pierwsze, nie mam i nie mogę mieć jednej recepty. Każda z tych osób, która była w Kościele, a teraz jej nie ma, może mieć inny powód. Można je zbierać do wspólnego mianownika, ale wnioski mogą być zbyt ogólne, by oddawały osobistą prawdę. Więc najważniejsze pytanie brzmi: czy da się doprowadzić do spotkania osobistego? A jeśli dochodzi do spotkania, to pierwsze, co powinien zrobić biskup czy ksiądz, o ile myśli choć trochę Ewangelią, to słuchać.

Jeśli mówimy o słuchaniu, to warto o takim, które zmienia. Które spotkania Księdza zmieniły?

Mam w pamięci wystąpienie na spotkaniu synodalnym, które dotyczyło ewangelizacji, czyli wychodzenia do ludzi na zewnątrz. „Siedzę między wami od trzech godzin, rozmawiacie o ludziach, takich jak ja, a ja nie zrozumiałem z tego, co mówiliście, ani jednego zdania" – powiedział mężczyzna.

Przestawiło mi to myślenie. Jako księża mówimy między sobą językiem, którego nikt z zewnątrz nie rozumie.

Na synodzie byli przedstawiciele małżeństw niesakramentalnych czy katolicy LGBT. Czy to są te osoby, których Ksiądz Kardynał chce posłuchać?

Tak. Czemu nie?

Jak się z nimi spotkać? Po tym, co nieraz słyszeli o sobie, także z krakowskiej kurii.

Nie da się inaczej, jak tylko przez zaproszenie, które zanoszą inni ludzie. Ci, którzy potrafią podejść do kolegi w pracy albo do sąsiada, z którym się dobrze znają, i opowiedzieć, że są wierzący i że właśnie dlatego chcą się też z nim czymś istotnym podzielić. Jeśli go przyprowadzą, to dalej damy radę. Ewangelizacja nie jest dziełem jednego człowieka.

A jaki ma Ksiądz pomysł, by głos metropolity krakowskiego był znowu ważny i istotny? Czy to w ogóle dziś jest jeszcze możliwe?

Powiem przewrotnie i pewnie uznacie, że znowu uciekam – wcale nie jestem za-



GRAŻYNA MAKARA

Kardynał Ryś z księżmi. Od lewej: ks. Roman Bogacz, ks. Sebastian Kowalczyk, ks. Tomasz Szopa. Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie, 17 grudnia 2025 r.

interesowany tym, żeby „mój głos" był słyszany. Jestem zainteresowany tym, żeby Ewangelia była słuchana. Natomiast jeśli mój głos miałby być słuchany tylko dlatego, że jestem metropolitą krakowskim, to tym absolutnie nie jestem zainteresowany.

Jednak głos metropolity krakowskiego miał nieraz szczególne znaczenie.

Jestem też historykiem i wiem, ile ten Kościół znaczy. Gdy przyjechałem do Krakowa po ogłoszeniu nominacji, poszedłem na Wawel, uklęknąłem przy konfesji św. Stanisława i pomyślałem, że jestem wariatem, że się na to zgodziłem. Wiem, w jakim miejscu zostałem postawiony. Ale jedyna odpowiedź, jaką sobie wyobrażam, to budowanie Kościoła tak, jak go wymyślił Jezus Chrystus.

Co to znaczy w praktyce?

Że tu nie trzeba niczego nowego wymyślać. Wystarczy patrzeć, jak Kościół w Duchu Świętym sam siebie czyta dzisiaj, idąc za kolejnymi papieżami, którzy są bardzo spójni, choćby od Jana XXIII. Mamy spójne magisterium dotyczące obecności Kościoła w świecie – tego, jaki ma być i co ma robić. Nie trzeba być nie wiadomo jakim teologiem czy intelektualistą, dodatkowo jeszcze wyposażonym w urząd arcybiskupa metropolity krakowskiego. Wystarczy być wierzącym człowiekiem, który czyta Ewangelię i czyta ją w tradycji magisterium Kościoła.

Jak się z tą historią, o której Ksiądz Kardynał mówił, zmierzyć? Historią nie zawsze do końca zbadaną, nie zawsze chwalebną, pełną różnego rodzaju niedomówień. Także z historią wielkich postaci, poprzedników Księdza Kardynała.

Jestem z uczciwej szkoły historycznej ks. prof. Jana Kracika, który nas nauczył, że prawda broni się sama. Natomiast nie broni się żadna mitologia – ani czarna, ani złota. Żadna legenda. Ksiądz Kracik miał świętą rację, ale problem polega na tym, że nierzadko historia nikogo nie interesuje. Przechodzimy więc na poziom publicystyki, która uśrednia.

Idea rozpoczęcia prac nad wszystkimi trudnymi historiami, jakie dotyczą Kościoła w Polsce, powstała przecież w związku z Krakowem. Więc skoro zaczęło się od Krakowa, to w Krakowie będzie realizowane.

Czy biskupi chcą powołania niezależnej komisji ds. zbadania wykorzystania seksualnego w Kościele?

Nie słyszałem, żeby się ktoś z tego pomysłu wycofał.

Mówimy o komisji, która ma z definicji funkcję historyczną. Efektem jej prac ma być raport opisujący, co się działo, dlaczego się działo i co z tego wynika na przyszłość. Ale może się zdarzyć, że komisja dotrze do historii, o których miejscowy biskup dotąd nie wiedział. Bo na przykład nie były one zgłoszone. I jeśli sprawca jeszcze żyje, to komisja, oprócz badań historycznych, ma przekazać wiedzę o tym biskupowi. I to natychmiast. Po to, żeby zgłosił sprawę do prokuratury i uruchomił kościelne procedury.

To jest minimum. Komisja ma też zidentyfikować osoby poszkodowane i jeśli to możliwe, spróbować do nich dotrzeć. Bo takie spotkanie się im należy. Choć na pewno będą też osoby, które nie będą chciały takiego spotkania, i to też trzeba uszanować.

Dlaczego komisja wciąż nie powstała?

Pomysł na powstanie komisji został przyjęty przez Konferencję Episkopatu Polski. Zawierucha, która jest, dotyczy rozwiązań konkretnych, praktycznych.

Najważniejszych, bo – jak wykazał ks. Grzegorz Strzelczyk – dotyczących tego, czy komisja będzie niezależna. Ks. Strzelczyk porównał dwa projekty komisji – przygotowany przez zespół prymasa Wojciecha Polaka i nowo powołany zespół bp. Sławomira Odera. I wskazał na poważne ryzyka odebrania komisji niezależności.

Analiza dotyczy projektu, który jest w dalszym ciągu dyskutowany przez biskupów. I zapewniam was, że ta dyskusja jest dość mocna, jeśli chodzi o zastrzeżenia metodologiczne czy historyczne. Więc nie wyciągałbym jeszcze wniosków.

Kiedy czytałem projekty przygotowane przez grupę bp. Odera, to w kilku punktach te projekty były lepsze niż te, które myśmy napisali z prymasem. Więc teraz debata dotyczy bardzo konkretnych rzeczy. Zobaczymy, jak się skończy.

Ma Ksiądz Kardynał przekonanie, że grupa pod przewodnictwem ks. Strzelczyka zrobiła dobrą i potrzebną robotę? Czy ich analiza ukazała się we właściwym momencie?

Absolutnie tak.

A czy ma Ksiądz Kardynał przekonanie, że jest w Episkopacie chęć powołania tej komisji? ↦

↦ Tak, mam takie przekonanie. Jest determinacja, by tę komisję powołać.

Była też determinacja biskupów, by powołać Fundację św. Józefa, wspierającą ofiary przemocy w Kościele. Oraz zgoda co do jej solidarnego finansowania przez wszystkie diecezje. Ale okazało się, że co najmniej dwóch biskupów – abp Marek Jędraszewski i bp Sławomir Oder – uchylali się od tych zobowiązań. Tak poinformował kilka dni temu portal Więź.

O to trzeba pytać tychże biskupów. Kierowana przeze mnie Archidiecezja Łódzka wywiązywała się zawsze z tych zobowiązań. I tak będzie również z Archidiecezją Krakowską.

Wiadomo też, że są biskupi, którzy nie będą chcieli współpracować z komisją. I nikt ich do tego nie zmusi.

Ale możliwy jest też drugi wariant, dokładnie przeciwny do tego, o czym mówicie. Że biskup diecezji nie zgodzi się na warunki, jakie się znajdą w ostatecznym projekcie KEP-u, i to wcale nie dlatego, że będzie chciał coś ukrywać, tylko że właśnie będzie chciał przebadania rzeczy do końca i konkretnie. Biskup, któremu nie będzie odpowiadać ostateczny kształt komisji, zawsze może powołać własną komisję.

Tak jak to zrobił Ksiądz Kardynał w Łodzi.

I dlatego wiem, po łódzkim doświadczeniu, że powołanie komisji ogólnopolskiej wcale nie jest takie proste. Nawet przy najlepszej woli wszystkich.

Dlaczego?

Po pierwsze, to jest niesłychanie obszerny materiał do przebadania. W Łodzi trzeba przejrzeć akta dotyczące 1300 księży. Myślę, że np. Kraków przynajmniej ma 4-5 razy więcej materiału. Najpierw musimy więc znaleźć ludzi, którzy są kompetentni, niezależni i znajdą na to czas. W Łodzi znalezienie takich osób zajęło mi pięć miesięcy. Być może w Krakowie będzie łatwiej, bo tu jest potężne środowisko historyków.

Po doświadczeniach łódzkich nie wierzę, by udało się szybko stworzyć komisję, która przebada cały polski Kościół, jeśli ma to zrobić kompetentnie i całościowo. Gdyby mnie o to poproszono jako historyka, nie podjąłbym się.

Nie poznamy prawdy?

Wyobrażam sobie raczej, że w poszczególnych diecezjach powstaną komisje, które się zmierzą z prawdą w danej diecezji.

Czy komisja łódzka zaczęła już pracę?

Wiem, że się spotyka i że pracuje. Ale komisja jest niezależna. Moja współpraca z nią skończyła się w momencie, w którym podpisałem dekret powołujący komisję do istnienia. Ale już pod jej regulaminami nie ma mojego podpisu. Sama je sobie wypracowuje.

W Krakowie powstanie komisja?

W Krakowie najpierw trzeba na pewno znaleźć nowego, kompetentnego historyka, by został dyrektorem archiwum i otwarł je ponownie dla badaczy.

I zmierzy się Ksiądz z tymi złotymi mitami?

Nic bardziej im się nie przysłuży jak prawda.

Dlaczego Ksiądz Kardynał powiedział, że nikt nie chce iść do Krakowa?

Nie, nie powiedziałem, że nikt. Tylko że ja nie chciałem. Co nie oznacza, że nie kocham Krakowa. Chciałem zostać w Łodzi, bo tam budowałem z ludźmi dom – ich i mój!

Powiedział Ksiądz Kardynał o tym papieżowi?

Powiedziałem i wyjaśniłem, dlaczego. Usłyszałem, że mam iść do Krakowa. Ktoś w Kościele musi słuchać.

Dlatego tak długo trwało szukanie kandydatów do Krakowa?

Nie, nie z tego powodu. Ale na szczęście nie mogę wam powiedzieć z jakiego, bo obowiązuje mnie papieska tajemnica.

©℗ Rozmawiali ANNA GOC, EDWARD AUGUSTYN

Rok Leona

PAULINA GUZIK

WATYKAN | Co wiemy po ośmiu miesiącach o pontyfikacie Leona XIV i czego możemy się po nim spodziewać w nowym roku?

Gdy 16 grudnia Leon XIV znalazł się na liście „Best Dressed" magazynu „Vogue," można było odnieść wrażenie, że symbolicznie domyka się jedno z przewidywań towarzyszących jego wyborowi na Stolicę Piotrową: Amerykanin wyniesie urząd papieża na poziom dotąd nieznany. Ale nie dlatego, że tradycyjny mucet (papieska pelerynka) zacznie teraz robić karierę w świecie mody. Ani nawet, że katolicyzm nagle stał się *cool*. Chodzi bardziej o to, że w ciągu zaledwie siedmiu miesięcy Leon XIV zdołał na nowo ustawić papiestwo jako punkt odniesienia dla świata rządzonego przez ekscentrycznych przywódców, sterowanego algorytmami i rozdzieranego przez wojny.

I choć zainteresowanie „Vogue'a" świadczy o tym, że popkultura znów spogląda w stronę Watykanu z zaciekawieniem, znacznie więcej mówi inna lista, na którą trafił papież – zestawienie magazynu „Time" poświęcone liderom sztucznej inteligencji, którzy mają zmienić świat. Leon XIV znalazł się na niej zaledwie trzy i pół miesiąca po wyborze. Jako człowiek z wizją stawienia czoła rewolucji.

Papa Americano

Wkraczając w 2026 r. wiemy już, że Papa Americano okazał się bardziej amerykański, niż wydawało się w dniu wyboru, 8 maja, gdy z loggii Bazyliki św. Piotra nie powiedział ani słowa w ojczystym języku angielskim, mówił natomiast po hiszpańsku, pozdrawiając „jego" peruwiańską diecezję Chiclayo.

Ale gdy pierwszy kalendarzowy rok Leona dobiega końca, widać wyraźnie, jak amerykańskie cechy kard. Roberta Prevosta wpłynęły na jego urząd: papież biegle porusza się w świecie mediów, ze swobodą odpowiadając na pytania dziennika-



SIMONE RISOLUTI / VATICAN MEDIA / GETTY IMAGES

Papież Leon XIV poczas wizyty apostolskiej w Libanie. Bejrut, 30 listopada 2025 r.

rzy co wtorek w Castel Gandolfo, angielski uczynił oficjalnym językiem pierwszej apostolskiej podróży do Turcji i Libanu, rzuca rękawicę przywódcom, którzy mają wpływ na losy świata.

W dodatku jako człowiek obsługujący na co dzień smartphone'a, świat internetu i social mediów (cechy wcale nieoczywiste dla dotychczasowych papieży) – zmusza tech gigantów do myślenia o dobru człowieka. Już w pierwszym wystąpieniu do kardynałów dwa dni po wyborze papież zaznaczył, że w dziedzinie sztucznej inteligencji ma miejsce kolejna rewolucja przemysłowa, która „stanowi nowe wyzwania dla obrony godności człowieka, sprawiedliwości i pracy".

Magazyn „Time" potrzebował jedynie trzech miesięcy od tych słów, by umieścić Leona na swojej liście jako jednego z czołowych myślicieli, którzy kształtują nasze podejście do sztucznej inteligencji. „Wybór imienia jest hołdem dla Leona XIII, który służył w okresie rewolucji przemysłowej pod koniec XIX wieku i sprzeciwiał się nowym, napędzanym maszynami systemom gospodarczym, przekształcającym pracowników w towary" – napisał „Time".

Tamten Leon zmagał się z demonami rewolucji przemysłowej i praw człowieka zmiażdżonych przez maszyny. Jeśli ten obecny będzie mobilizował katolików na całym świecie do walki z alienującym potencjałem sztucznej inteligencji, pisze „Time", „Dolina Krzemowa stanie w obliczu potężnej – i nieoczekiwanej – duchowej przeciwwagi".

Boski akt AI

W tamtym pierwszym wystąpieniu Leon XIV przypominał, że w odpowiedzi na wyzwania rewolucji przemysłowej Kościół „oferuje wszystkim skarbiec swojej nauki społecznej".

Pół roku później, 7 listopada, napisał: „Innowacje technologiczne mogą być formą uczestnictwa w boskim akcie stworzenia. Mają one etyczny i duchowy ciężar, ponieważ każdy wybór projektowy wyraża wizję człowieczeństwa". Kościół wzywa zatem „wszystkich twórców sztucznej inteligencji do pielęgnowania rozeznania moralnego jako fundamentalnego elementu swojej pracy – do tworzenia systemów, które odzwierciedlają sprawiedliwość, solidarność i autentyczny szacunek dla życia".

Słowa te wywołały oburzenie i szydercze kpiny niektórych gigantów Doliny Krzemowej, ale Leon XIV doskonale wie, że podkreślając potrzebę moralności działań branży technologicznej wkłada kij w mrowisko.

– Papież wyłania się jako wybitny przywódca na arenie międzynarodowej, wywierając wpływ znacznie wykraczający poza to, czego moglibyśmy oczekiwać od kogoś o tak spokojnym i zdyscyplinowanym usposobieniu – mówi „Tygodnikowi Powszechnemu" Kim Daniels, dyrektorka Initiative on Catholic Social Thought and Public Life na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. – Jednocześnie fakt, że często przemawia po angielsku, to duża zmiana. I przynajmniej tutaj, w Stanach Zjednoczonych, ma to realny wpływ na to, jak bardzo jego przesłanie dociera do odbiorców – dodaje Daniels.

Tak jak Leon XIII „wyniósł katolicką myśl społeczną na pozycję, jaką zajmuje w epoce nowożytnej, stając się ważnym filarem zaangażowania i życia publicznego Kościoła", tak Leon XIV ma za zadanie „utrzymać tę pozycję w kwestii współczesnych technologii" – mówi Daniels.

Kim jest człowiek

Rok 2026 przyniesie z pewnością pierwszą w pełni Leonową encyklikę (po „Dilexi te", której pisanie rozpoczął Franciszek, a dokończył amerykański *pontifex*), która prawdopodobnie mówić będzie właśnie o technologiach i sztucznej inteligencji.

Według Daniels, Leon podkreśli jeszcze nieraz „zasady i przekonania, które są nam drogie – godność człowieka, godność pracy i prawa pracowników, wyzwania ekologiczne spowodowane pojawieniem się dużych centrów danych potrzebujących ogromnych zasobów". ↦

– Ale ostatecznie – mówi profesor z Georgetown – jest to pytanie antropologiczne. Kościół wnosi do dyskusji o AI swoje rozumienie tego, co znaczy być człowiekiem, co znaczy kochać i okazywać miłosierdzie, co znaczy modlić się i rozpoznawać świętość.

Modlitwa za Sewella

Najbardziej wyraźnym obrazem konfrontacji człowieczeństwa z AI stało się w ostatnich miesiącach zdjęcie papieża Leona z matką Sewella Setzera III, 14-latka z Florydy, który odebrał sobie życie wskutek zachęty ze strony chatbota AI. Megan Garcia znalazła syna w łazience niedługo po tym, jak Character.AI powiedziało Sewellowi: „Obiecaj mi, że znajdziesz sposób, żeby wrócić do mnie do domu, tak szybko, jak to możliwe". Matka, modląc się, próbowała ratować życie chłopca, który jednak zmarł chwilę później w karetce.

To wydarzyło się w lutym 2024 r. Po roku walki matki Sewella i innych rodziców, którzy oddali podobne sprawy swoich dzieci do sądu, Character.AI zakazało korzystania ze swej platformy użytkownikom poniżej 18. roku życia.

„Trzymałam małe zdjęcie mojego syna i zapytałam papieża, czy mógłby pamiętać o modlitwie za Sewella – powiedziała Megan Garcia po audiencji. – Bardzo mnie cieszy, że poświęca tej sprawie tyle uwagi".

Papież podróżnik

Choć Rok Jubileuszowy zatrzymał papieża w Rzymie – podczas Jubileuszu to on, jako gospodarz, wita przybywających pielgrzymów – Leon XIV z pewnością nie będzie strażnikiem watykańskich żyrandoli. Wszystko wskazuje, że w 2026 r. pokaże swój prawdziwy charakter – byłego augustiańskiego generała. Pełniąc tę funkcję w latach 2001-2013, przemierzył cały świat. Spotkanie z drugim człowiekiem w najdalszych zakątkach globu jest dla niego zupełnie normalną formą zarządzania, a przede wszystkim ewangelizacji.

Na początku grudnia, pytany przez dziennikarzy na pokładzie papieskiego samolotu z Libanu o plany na nadchodzący rok, powiedział, że chciałby pojechać do Afryki, zastrzegając, że „nic nie jest jeszcze przesądzone". „Mam nadzieję pojechać do Algierii, by odwiedzić miejsca związane z życiem św. Augustyna, ale także kontynuować dialog, budując mosty między światem chrześcijańskim a muzułmańskim" – mówił papież. Jako generał zakonu Afrykę odwiedzał często. Dziewięć razy był w Nigerii – kraju, który dziś bardzo potrzebowałby papieskich odwiedzin.

Leon dodał też, że „pracuje nad kilkoma innymi krajami". „Oczywiście, bardzo chciałbym odwiedzić Amerykę Łacińską. Argentyna i Urugwaj czekają na wizytę papieża. Myślę, że w Peru też mnie przyjmą" – żartował, mówiąc o kraju, w którym nazywa się go „naszym papieżem".

W planach papieża może znaleźć się też Hiszpania, która przez 12 lat bezskutecznie zapraszała do siebie Franciszka. Argentyński papież całe serce wkładał jednak w wyjazdy na peryferie – świata i Kościoła.

Budowniczy mostów

Wybiegając w niedaleką przyszłość, warto jednak zatrzymać się na chwilę na pierwszej, zakończonej na początku grudnia, podróży papieża. Nawet jeśli zaczęła się frywolnie w atmosferze amerykańskiego Święta Dziękczynienia, a Leon został obdarowany zarówno kijem baseballowym, jak i tradycyjnym *pumpkin pie*, czyli słodką dyniową specjalnością Amerykanów, to przecież miała bardzo poważny wymiar. „Na szali jest przyszłość ludzkości" – mówił Leon w Turcji, stojąc przed przywódcą, który ma realny wpływ na przebieg procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie. Ale nie wskazywał winnych konfliktu.

W obecności dyplomatów w Ankarze dodał: „Dziś, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebujemy ludzi, którzy będą promować dialog i praktykować go z silną wolą i cierpliwą determinacją". W Stambule wezwał niewielką społeczność katolicką do życia w pokoju i tolerancji w świecie, „gdzie religia jest zbyt często wykorzystywana do usprawiedliwiania wojen i okrucieństw". W czasie tej podróży dał się też poznać jako budowniczy mostów z innymi przywódcami chrześcijańskimi, z którymi modlił się w ruinach kościoła pamiętającego Sobór Nicejski.

Zmiana kursu

W Libanie, zwracając się do narodu wyczerpanego konfliktem, apelował: „Bądźcie twórcami pokoju. Heroldami po-

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

KULTURA W TYGODNIKU

Literatura, teatr, sztuka, muzyka, zjawiska i trendy.
Recenzje, eseje i rekomendacje, które otwierają nowe perspektywy.

Prowadzi MONIKA OCHĘDOWSKA



dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/newsletter

koju. Świadkami pokoju". Podkreślił, że Bliski Wschód musi „odrzucić mentalność zemsty i przemocy," przezwyciężyć podziały i „otworzyć nowe rozdziały w imię pojednania i pokoju". I wzywał do „zmiany kursu".

– Wnosi do papiestwa misyjny zapał, przywództwo, służbę ubogim, a także prawdziwe wezwanie do działania, by wcielić naszą wiarę w życie, budując mosty, a nie mury, służąc potrzebującym i pracując na rzecz pokoju – mówi prof. Daniels, przypominając pierwsze słowa Leona podczas błogosławieństwa Urbi et Orbi 8 maja: „Pokój z wami".

Wyraźnym znakiem tego przesłania były aż dwie audiencje dla Wołodymyra Zełenskiego Po ostatniej Leon zaznaczył, że chciałby pojechać na Ukrainę. „Mam nadzieję, że to się stanie, ale nie wiem kiedy. W takich sprawach trzeba być realistą" – powiedział papież.

W pokoju łez

W filmowym dokumencie „*Leo from Chicago*" dziennikarze Vatican News przypominają historię rodziny i przyjaciół Roberta Prevosta, wychowanego w skromnym domu, w którym regularnie odmawiało się różaniec.

Przyjaciele papieża opowiadają historię, że gdy Prevost był już kardynałem, latali do Rzymu, gdzie „Father Bob" (jak go nazywali) wciąż chętnie towarzyszył im w zwiedzaniu Wiecznego Miasta, a nawet wprowadzał ich, innym niż turystyczne wejście, prosto do Kaplicy Sykstyńskiej.

„A to jest pokój łez" – powiedział przyjaciołom, pokazując przylegającą do kaplicy salę. – „Tutaj przyprowadzają papieża po wyborze". Gdy sam znalazł się w tym pomieszczeniu, przygotowując swoje pierwsze przemówienia z loggi Bazyliki św. Piotra, musiał zdawać sobie sprawę, jak wiele kwestii czeka na jego decyzję i jak wiele spraw wymaga w Watykanie reformy.

Papież i reformy

I choć wielu obserwatorów, w tym prof. Daniels, uważa za oczywiste, że na konklawe kardynałowie „poszukiwali papieża, który będzie realizował przesłanie i priorytety Franciszka w zakresie synodalności, służby ubogim oraz jedności i pokoju, a jednocześnie kontynuował prace nad reformą strukturalną Watykanu", to są też tacy, którzy zapału do reform w Leonie XIV wciąż nie widzą.

> Franciszek lubił uruchamiać dyskusje nad kontrowersyjnymi tematami. **Leon spokojnie obserwuje i miesiącami zastanawia się** nad decyzjami w kluczowych sprawach.

„Ciągłość papieska jest ważna z wielu powodów, ponieważ Następca Piotra powinien dążyć do unikania polaryzacji i podziałów" – napisał Michael Heinlein w podsumowaniu roku dla amerykańskiej agencji OSV News. „Wola kontynuacji może być jednak (i była) wyolbrzymiana, zwłaszcza przez tych, którzy cenili awangardowy styl lub wspierali bardziej kontrowersyjne aspekty pontyfikatu Franciszka, i którzy nadal mają nadzieję, że głównym nurtem Kościoła pozostaną te same obszary zainteresowań".

Drugi początek

Rzeczywiście, Leon ma wyraźnie inny od franciszkowego styl, który pokazał już w pierwszych miesiącach pontyfikatu. Papież Argentyńczyk lubił uruchamiać dyskusje nad kontrowersyjnymi tematami, choć ostatecznie na milimetr nie odchodził od nauki Kościoła, ale ta burzliwa dyskusja była dla niego katalizatorem opinii publicznej w Kościele i miejscem spotkania „zwaśnionych frakcji".

Leon – przeciwnie – spokojnie obserwuje i miesiącami wręcz zastanawia się nad decyzjami w kluczowych sprawach. W kurii rzymskiej widzieliśmy dopiero jedną ważną nominację – na stanowisko prefekta dykasterii ds. biskupów, które kard. Prevost wcześniej sam sprawował. „Nominacja abp. Filippa Iannonego, doświadczonego działacza kurialnego, który nie ma w swej tece ideologii, również mówi o tym, że Leon woli nie podsycać podziałów" – pisze Heinlein.

Meblowanie kurii rzymskiej może przyspieszyć po styczniowym konsystorzu, który po zamknięciu Jubileuszowych Drzwi, co nastąpi 6 stycznia, ma na dobre rozpocząć jego pontyfikat – z czystą kartą audiencji i nominacji leonowych, a nie tych uważanych za schedę po Franciszku.

Nowe schematy

Nowy rok może także przynieść ważne rozstrzygnięcia w kwestii kryzysu wykorzystywania seksualnego w Kościele, a uwaga mediów i wiernych z pewnością zwrócona będzie w stronę Dykasterii Nauki Wiary, która pracuje od lipca nad sprawą byłego jezuity i artysty, Marka Rupnika, oskarżonego o skrzywdzenie ponad 20 kobiet.

– Myślę, że będziemy mogli zobaczyć postęp w tych sprawach i kontynuować reformy, które są niezbędne w Kościele – podkreśla Daniels, zaznaczając, że schemat myślenia papieża Leona na temat kryzysu może mieć „pokoleniowo" wymiar zupełnie inny niż u poprzedników.

Leon będzie miał także niebagatelny wpływ na swój rodzimy Kościół w Stanach Zjednoczonych, gdzie mocne przesłanie biskupów w obronie migrantów odbiło się w listopadzie szerokim echem jako najsilniejszy głos hierarchów od lat.

– W tej chwili, gdy administracja traktuje migrantów jak ludzi gorszych od innych, odartych z ludzkiej godności i konstytucyjnej ochrony, z której korzystamy w Stanach Zjednoczonych, jestem dumna i wdzięczna za świadectwo biskupów w sprawie migracji, za wydane oświadczenie oraz za działania podejmowane przez biskupów i tak wielu świeckich w całym kraju, wspierające migrantów w obliczu deportacji czy aresztowania. To naprawdę trudny moment w Stanach Zjednoczonych i myślę, że moralne przywództwo Leona XIV było tu kluczowe – mówi „Tygodnikowi" Daniels.

Niezależnie jednak od palących spraw w papieskiej agendzie, to ewangelizacja pozostaje jego głównym „fokusem". W wywiadzie dla watykańskiej korespondentki „Crux", Elise Ann Allen, papież powiedział, że został powołany, aby „utwierdzać innych w wierze, ponieważ jest to fundamentalna rola następcy Piotra". „Nie postrzegam swojej głównej roli jako próby rozwiązywania problemów świata – powiedział. – Moją rolą jest głoszenie Ewangelii". © PAULINA GUZIK



Pokłon Mędrców, malowidło z katakumb Domitylli, 1 poł. IV w.

Malowani trzej królowie

MAGDALENA ŁANUSZKA

SZTUKA SAKRALNA | Drobny epizod wspomniany w jednej z ewangelii stał się atrakcyjnym tematem sztuki, nabierając różnorodnych – religijnych, politycznych i społecznych znaczeń.

Wkształtującej się przez stulecia ikonografii chrześcijańskiej nierzadko najpopularniejszymi przedstawieniami stawały się ilustracje wydarzeń, którym Ewangeliści wcale nie poświęcili wiele uwagi. Do takich należy historia o mędrcach ze Wschodu, którzy przybyli złożyć pokłon nowo narodzonemu Jezusowi, uznając Go za króla żydowskiego. Krótką informację na ten temat znajdziemy jedynie w drugim rozdziale Ewangelii wg św. Mateusza: wiemy, że mędrcy podążali za gwiazdą i że przynieśli Dzieciątku dary: złoto, kadzidło i mirrę. Herod, obawiając się utraty władzy, chciał się od nich dowiedzieć, gdzie znajduje się ów król żydowski, lecz mędrcy zostali we śnie ostrzeżeni, że nie powinni spotykać się z Herodem i w związku z tym „inną drogą udali się do swojej ojczyzny".

Nie wiemy jednak, gdzie była ta ojczyzna. Nie wiemy, kim byli mędrcy i ilu ich było. Co ciekawe, to właśnie pokłon mędrców stał się jednym z najpopularniejszych przedstawień od początków IV wieku, na co wskazują zachowane malowidła we wczesnochrześcijańskich katakumbach. Już wówczas najczęściej zakładano, że magów było trzech, skoro przynieśli trzy dary – chociaż zdarzały się przedstawienia, gdzie ich liczba była inna (il. 1). Nikt wtedy nie uznawał jeszcze mędrców za królów – ukazywano ich w czapkach frygijskich, które starożytni Rzymianie uważali za nakrycie głowy ludów wschodnich – Frygów, Traków, Daków, Persów, Scytów i innych. Ponieważ wiodła ich gwiazda, zapewne byli astrologami – może perskimi lub babilońskimi.

Wiedza i bogactwo

Mędrcy przybywają zatem z bliżej niesprecyzowanego Wschodu – zapewne w interpretacji wczesnochrześcijańskiej ze wschodnich rubieży Cesarstwa. Re prezentują oni orientalną mądrość (wiedzę) oraz hojność (bogactwo), a zarazem z punktu widzenia tradycji rzymskich niezwykle ważny jest fakt, że składają hołd Jezusowi jako władcy. Było to odniesienie do uznawania przez różne ludy wielokulturowego Cesarstwa Rzymskiego nadrzędnej władzy cesarza, a zarazem dowód, jak bardzo wczesne chrześcijaństwo osadzone było w zachodnim, śródziemnomorskim myśleniu. Przybysze z zapewne Bliskiego Wschodu występują we wczesnochrześcijańskich przedstawieniach w roli „obcych" – być może nawet rozumiano ich jako symbolizujących inne, wschodnie religie.

Idea, że Mesjasz narodził się nie po to, aby być królem jedynie dla Żydów, czy też zbawić tylko naród wybrany, i że chrześcijaninem można zostać nie wyznając najpierw judaizmu, miała kluczowe znaczenie w kształtowaniu się wczesnych wspólnot Kościoła. Zapewne stąd także popularność przedstawienia hołdu mędrców w sztuce wczesnochrześcijańskiej – właściwe objawienie światu Mesjasza nie następuje wówczas, gdy w stajence betlejemskiej witają go lokalni pasterze, lecz gdy uznają go za władcę przedstawiciele „zagranicznych" elit, a zarazem poganie.

Po zaroście ich poznacie

W drugiej połowie pierwszego tysiąclecia ugruntowało się przekonanie, że trzej mędrcy reprezentują całą ludzkość jako personifikacje trzech etapów życia – dlatego



tradycyjnie przedstawiano ich jako mężczyzn w różnym wieku, o czym świadczyć miała głównie długość zarostu na ich twarzach. Najstarszy miał nie tylko siwe włosy, ale także najdłuższą brodę, najmłodszy zaś w ogóle nie miał zarostu. Jeśli chodzi o dary – najstarszy miał przynieść złoto (dla Chrystusa-króla), ten w wieku średnim podarował kadzidło (odnoszące się do boskiej natury Dzieciątka), zaś najmłodszy – mirrę, będącą zapowiedzią przyszłej męki Mesjasza. Łacińska tradycja przypisała im imiona Kacper, Melchior i Baltazar, choć przywoływano także inne – przykładowo, Jakub de Voragine w swej „Złotej Legendzie" podał, że po grecku zwali się oni Appelius, Amerius oraz Damascus; funkcjonowały też imiona hebrajskie (Galgalath, Magalath i Sarachim). Trzej królowie ponadto mieli reprezentować trzy kontynenty: Azję, Europę i Afrykę. Stąd najmłodszy z nich w sztuce późnośredniowiecznej często był przedstawiany jako czarnoskóry – najwcześniejsze przykłady takiej ikonografii znajdziemy w rękopisach z czasów krucjat (il. 2).

Warto przy okazji zauważyć, że rasizm w kulturze europejskiej rozwinął się znacznie dopiero w czasach nowożytnych, w związku z kolonializmem – by usprawiedliwić handel niewolnikami, Europejczycy przekonywali samych siebie, iż ludzie czarnoskórzy należą do gorszej kategorii, a poglądy swe podpierali nawet odpowiednimi interpretacjami papieskich bulli. Tymczasem w średniowiecznej sztuce znajdziemy nie tylko czarnego króla, ale też czarnoskórego św. Maurycego (w późniejszych wiekach częściej jednak ukazywanego jako człowieka rasy białej), zaś w Tryptyku Sądu Ostatecznego Hansa Memlinga dostrzec można postać Afrykańczyka wśród zbawionych, stojącego w kolejce do nieba.

Korona zamiast czapki

Wczesnochrześcijańscy teologowie (np. Tertulian) wiązali już ewangelicznych mędrców z królami, w odniesieniu do wersetu z Psalmu 72: „Królowie Tarszisz i wysp przyniosą dary, królowie Szeby i Saby złożą daninę. I oddadzą mu pokłon wszyscy królowie, wszystkie narody będą mu służyły". Ale w sztuce korony na głowach mędrców pojawiły się dopiero w X wieku, w miniatorstwie anglosaskim („Benedykcjonał św. Etelwolda I" z Winchesteru, British Library) oraz ottońskim (rękopisy wykonane w kręgu lub na zamówienie Egberta arcybiskupa Trewiru – il. 3). Scena, w której koronowani władcy składają hołd Chrystusowi-cesarzowi, odnosiła się do ikonografii politycznej (Otton II oraz Otton III bywali ukazywani jako tronujący, odbierający hołd od ukoronowanych personifikacji ziem).

W sztuce średniowiecznej nakrycie głowy pozwala nam zidentyfikować status społeczny postaci. W scenach Sądu Ostatecznego, zwłaszcza wśród potępionych w piekle, ukazywano ludzi nagich – ale króla, biskupa, pielgrzyma, mnicha, mężatkę czy pannę rozpoznamy nawet bez ubrania: po fryzurze lub właśnie nakryciu głowy. Trzech królów zatem ukazywano w koronach nawet w scenie, gdy śpią, a anioł mówi im, że mają nie wracać do Heroda. A ponieważ trzej królowie podróżują razem, to po drodze śpią też razem – najczęściej pod jednym przykryciem (il. 4). Nie ma to podtekstu erotycznego, ani nie jest to artystyczna fantazja: w średniowieczu (jak i wcześniej, w starożytności, oraz później w czasach nowożytnych) powszechnym zwyczajem było wspólne spanie – z rodziną, przyjaciółmi, towarzyszami pielgrzymek, nawet z obcymi. Przydrożne zajazdy obsługujące podróżnych często miały zbyt mało łóżek, a poza tym „grupowe" spanie po prostu pozwalało skuteczniej się zagrzać, zwłaszcza gdy przed świtem wygasł już ogień w kominku. Dopiero w XIX wieku uznano, że grupowe spanie jest niehigieniczne i niezdrowe.

Wspólne spanie (i wszelakie inne wspólne aktywności) były w kulturze ↦



THE J. PAUL GETTY MUSEUM, LOS ANGELES

Podróż Trzech Króli, ok. 1190-1200, miniatura z rękopisu Vita Christi



BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE

Pokłon Trzech Króli, tzw. Ewangeliarz z Poussay, ok. 980-990, Bibliothèque nationale de France



BAYERISCHE STAATSBIBLIOTHEK

Sen Trzech Króli, inicjał w Mszale Salzburskim, 1 tom, 4 ćw. XV wieku, Bayerische Staatsbibliothek

↦ średniowiecznej także znakiem wzajemnego zaufania. Karol Wielki często zapraszać miał swych krewnych oraz członków dworu do wspólnej kąpieli w pałacowych łaźniach; król angielski Ryszard Lwie Serce miał z królem francuskim Filipem II Augustem jeść ze wspólnej misy i spać w jednym łożu, na potwierdzenie zawarcia pokoju między dwoma rywalizującymi monarchami. Takie przekazy ze średniowiecznych kronik jakiś czas temu uważano za dowody na homoseksualne skłonności wspomnianych władców, dziś jednak większość badaczy widzi w nich świadectwo zwyczajów, które wówczas nie miały podtekstu seksualnego – podobnie jak przedstawienia trzech królów pod wspólną kołderką.

Zrabowane relikwie

Apokryfy dopisały do życiorysów ewangelicznych mędrców nawrócenie, a nawet męczeństwo. A skoro zostali świętymi, musiały pojawić się też ich relikwie. Miała je sprowadzić do Konstantynopola św. Helena (zm. w 330 r.), matka cesarza Konstantyna Wielkiego, który zagwarantował chrześcijanom wolność wyznania, ufundował kluczowe wczesnochrześcijańskie świątynie, a w końcu sam przyjął chrzest. Cesarzowa Helena miała wyjątkowy dar odnajdywania świętych relikwii (choćby drzewa krzyża, na którym umarł Jezus). Szczątki mędrców jeszcze w IV wieku trafiły do Mediolanu. Cesarz Fryderyk I, zwany Barbarossa, który wielokrotnie najeżdżał Italię, w 1164 roku zrabował relikwie trzech królów i podarował je arcybiskupowi Kolonii, Rainaldowi. Bo choć cesarz absolutnie nie należał do osób pobożnych, to zdawał sobie sprawę, że te akurat relikwie są dla każdego władcy niesłychanie ważne wizerunkowo. Wraz z Rainaldem doprowadził zresztą również do kanonizacji Karola Wielkiego, co także było istotnym elementem propagandy cesarskiej władzy.

Jak wiadomo, turystyka to pieniądze. Ruch pielgrzymkowy w Kolonii zwiększył się, a zatem zainwestowano w nowy relikwiarz. Wykonał go na przełomie XII i XIII wieku jeden z najsłynniejszych europejskich złotników – Mikołaj z Verdun. Ale choć powszechnie przyjęto, że są to relikwie autentyczne, to i tak sto lat później Marco Polo zapewniał, że w czasie swych podróży natknął się na pochówki trzech mędrców w Persji.



Pokłon Trzech Króli, fragment kwatery z Tryptyku Matki Boskiej Bolesnej w Kaplicy Świętokrzyskiej w katedrze na Wawelu, ok. 1470 r.

5 KATEDRA WAWELSKA

Kryptoportrety władców

Zamiana ewangelicznych mędrców na królów sprawiła, że z przyjemnością utożsamiali się z nimi europejscy władcy. W późnogotyckiej sztuce popularne stały się tak zwane kryptoportrety – w roli jednego z trzech królów w różnych dziełach odnajdziemy m.in. cesarza Fryderyka III, Maksymiliana I czy też księcia Burgundii Karola Śmiałego. Mamy i my takie dzieło – ok. 1470 roku powstał tryptyk Matki Boskiej Bolesnej, z fundacji króla Kazimierza Jagiellończyka, przeznaczony do jego grobowej Kaplicy Świętokrzyskiej w katedrze na Wawelu (gdzie zresztą do dziś się znajduje). W „Pokłonie Trzech Króli" (il. 5) jeden z monarchów ma twarz Władysława Jagiełły – znamy ją z nagrobka króla, który to nagrobek powstał za życia Jagiełły i zawiera jego portretowy wizerunek.

Prawdopodobnie to fundator, czyli król Kazimierz Jagiellończyk, postanowił, że jeden z trzech królów będzie miał twarz jego ojca – protoplasty dynastii Jagiellonów. Kazimierz miał zaledwie 7 lat, gdy jego ojciec zmarł, a w dodatku tuż po tym, jak przyszedł na świat, jego matka zmuszona była pod przysięgą zaprzeczać zarzutom o romans. Trudno powiedzieć, czy ukazanie Jagiełły jako jednego z trzech królów było tylko elementem budowania splendoru dynastii wpisującym się w zachodnioeuropejską modę, czy też osobistym gestem syna, ku pamięci ojca-króla.

W średniowiecznej Europie władza świecka postrzegana była jako *sacrum* – król był bożym pomazańcem, a jego funkcja miała być odbiciem nie tylko królewskiej, ale i kapłańskiej godności Chrystusa.

Wspomniany Kazimierz Jagiellończyk na nagrobku dłuta Wita Stwosza nie bez powodu został ukazany w szatach liturgicznych. W tym kontekście niezwykle ważne dla propagandy władzy było święto Trzech Króli – dopiero późniejsze wieki zredukowały nieco polityczne znaczenie jego obchodów, a pochody i przebieranki na 6 stycznia zaczęliśmy postrzegać jako zabawy dla dzieci.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

O. WACŁAW

Oszajca: *Podróż w zaprzyszłość*



Biblia jest księgą napisaną przez i dla ludzi dogłębnie przekonanych o istnieniu bogów. Jeśli mieli z nimi kłopot, to z wyborem, z którymi trzymać, których unikać i jak udobruchać zagniewanych. Ale Biblia pokazuje też sposób na odnalezienie boga, który powie: „Pragnę miłości, a nie ofiary, poznania Boga bardziej niż całopaleń", jak też: „Dość mam całopaleń z baranów i tłuszczu tuczonych cielców! (...) Nie przynoście Mi więcej ofiar nieszczerych. Wstręt budzi we Mnie wasze kadzidło, nie znoszę świąt nowiu, szabatu, zwoływania zgromadzeń, uroczystych obrzędów naznaczonych grzechem". Aż wreszcie doszliśmy do przekonania, że Bóg nie tylko jest pośród nas, ale w nas. „Czyż nie wiecie, że wasze ciała są częścią Ciała Chrystusa (...) że wasze ciało jest świątynią Ducha Świętego, który jest w was?" – pyta Paweł Apostoł Koryntian oraz nas, gdyż my też ulegamy pokusie uwolnienia się od aż tak dogłębnej zażyłości z Bogiem. Stąd, z uporem godnym lepszej sprawy, wciąż odziewamy Jezusa w królewskie szaty, sadzamy na tronie, otaczamy dworzanami, którzy, jeśli się ich poprosi, łaskawie dopuszczą petenta przed Jego oblicze. Podobnie traktujemy Matkę Chrystusa, przydając jej rycerzy zbrojnych w miecze oplecione różańcami.

Święta Narodzenia Pańskiego corocznie próbują burzyć ten feudalny porządek. Próbują też wyprowadzić nas z szopeczki ze słodkim Jezuskiem w żłóbeczku na sianeczku, jak też poza obrzędowe rytuały, paradygmaty i najpewniejsze dogmaty.

Mędrcy, wybierając się w drogę, sądzili, że u jej końca doświadczą audiencji u „króla Żydów", stanęli zaś twarzą w twarz z dzieckiem – człowiekiem w czystej postaci. „A ponieważ otrzymali we śnie polecenie, żeby nie wstępowali do Heroda", ruszyli dalej. Nie za horyzont, ponad ziemię czy poza niebo, ale w zaprzyszłość, gdyż według T.S. Eliota doszli do celu już po śmierci Jezusa i spotkali Go żyjącego w ludziach. Dlatego gdy wrócą „każdy do swego królestwa", jeden z nich powie: „Nie ma już dla nas spokoju tu, gdzie rządzą prawa starej wiary / I lud, dzisiaj nam obcy, trzyma się kurczowo swoich bożków. / Rad byłbym, gdyby przyszła jeszcze jedna śmierć!" (przeł. S. Barańczak). To pragnienie pomaga nam zrozumieć, że śmierć i zmartwychwstanie to nie jednorazowe wydarzenia, ale po prostu życie. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Rodowód*



Początek Ewangelii według św. Mateusza – jeden z najbardziej intrygujących fragmentów Biblii: „Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama..." (Mt 1, 1-17). Liturgia przypomina go nam w drugiej części Adwentu. Uderzające jest już samo pierwsze zdanie. Żeby jednak odczuć jego moc, trzeba sięgnąć do tekstu greckiego. Otóż w greckim tekście Mateusza pierwsze zdanie brzmi: „Księga rodowodu Jezusa Chrystusa, syna..." (grec. *Biblos geneseos*; co św. Hieronim oddał wiernie łacińskim: *Liber generationis*). Bo pierwszą „księgą", jaką Bóg „pisze" objawiając się światu, jest człowiek!

Dziecko nie zna liter i nie potrafi czytać. Jedyną książką, z której się uczy, są jego rodzice i rodzeństwo. To od nich bierze całą swoją mądrość. Izaak wiedział o Bogu tyle, ile zobaczył u swojego ojca, Abrahama. Z czasem on sam stał się „księgą" dla swoich synów: Jakuba i Ezawa. Tak! Mamy spisane Objawienie Boga, aby jednak przekazać wiarę, nie wystarczy podarować komuś książkę – nawet Biblię (tym bardziej katechizm). Trzeba go wprowadzić do wspólnoty, zaprosić do spotkania konkretnych osób. Bo ewangelizacja to nie przekaz teorii czy idei, ale przekaz życia. Wspólnota sióstr zakonnych jest ważniejsza niż ich reguła. Księża danej diecezji znaczą więcej niż prawo kanoniczne. Wszyscy wierni lokalnego Kościoła znaczą więcej niż statuty jego ostatniego synodu.

Bóg chce, byśmy byli „czytelni". Nie zawsze nam to wychodzi... Trzeba powiedzieć, że ta „księga Boga", jaką jest człowiek, nie jest doskonała. Podobnie zresztą jak Biblia! Pamiętacie św. Augustyna, który nie mógł czytać Pisma Świętego. Było dla niego zbyt prostackie, żadna wielka literatura – zwłaszcza w porównaniu z klasykami, których czytał i wykładał. Mówił potem: „pycha nadęła mi policzki tak bardzo, że aż mi zasłoniły oczy". Bo Biblię trzeba czytać z pokorą. I człowieka trzeba czytać z pokorą. Wielokrotnie każdy z nas więcej zasłania, niż odsłania z Boga. Kiedy stawiamy się „ponad", kiedy pierwszą naszą postawą jest osąd, z reguły nie docieramy do Bożej prawdy wpisanej w drugiego. Na szczęście dzień po dniu Pan daje nam szansę i łaskę nawrócenia – powrotu do Niego, do innych i do samych siebie. Stajemy się wtedy częścią Jego rodowodu – ważną stroną w tej „Księdze" – ponownie czytelną dla świata. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

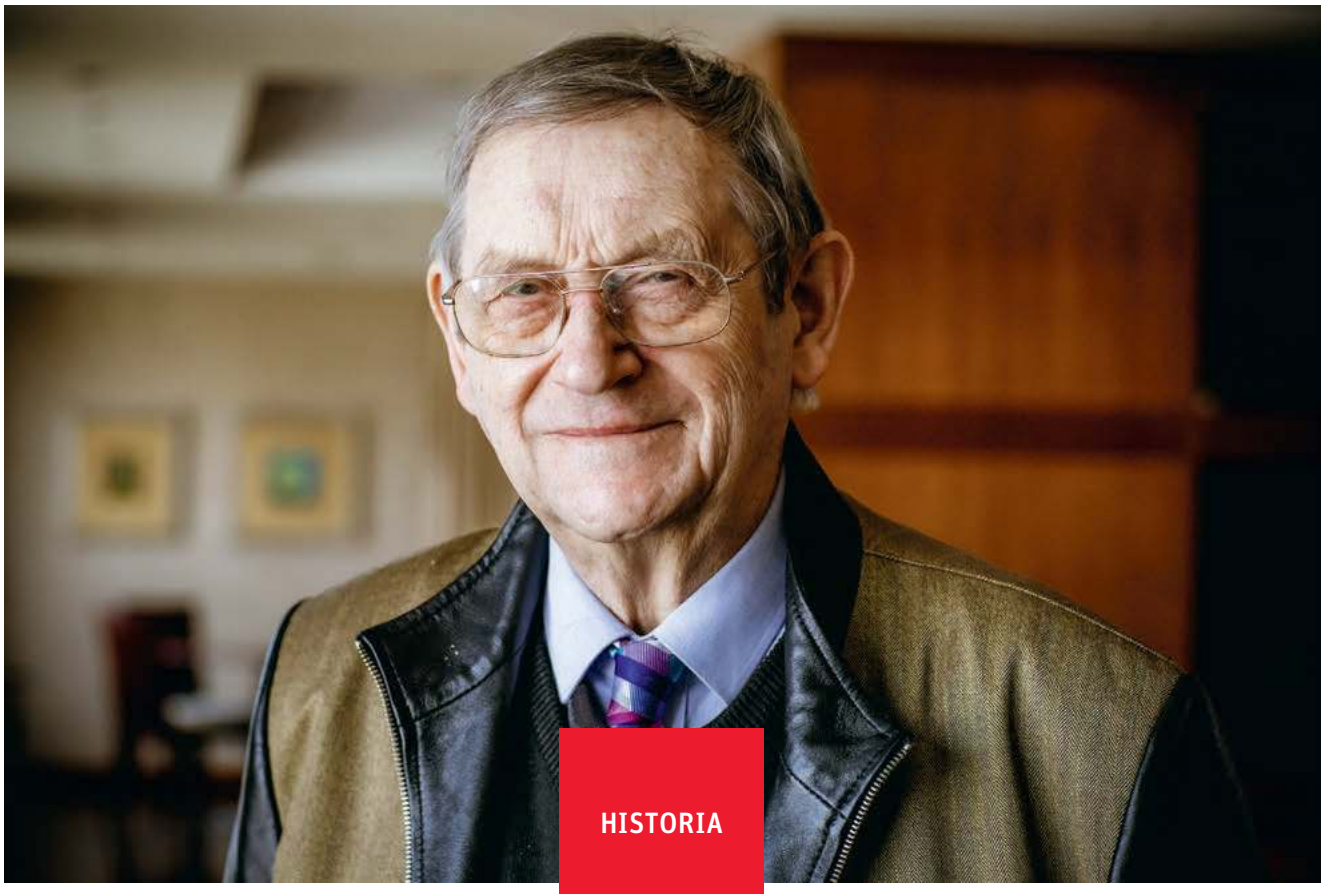

HISTORIA

PULS BIZNESU / FORUM

Norman Davies, Warszawa, marzec 2023 r.

Historyk zawsze przegrywa

NORMAN DAVIES:

Pamiętamy to, co chcemy pamiętać. O tym, co niewygodne czy bolesne, wolimy zapomnieć. W dziejach każdego narodu są takie momenty.

JACEK STAWISKI: Pańska nowa książka nosi tytuł „Igrzyska dziejów. Zapasy historyka z historią". Kto wygrał te zapasy?

NORMAN DAVIES: Ja zawsze przegrywam niestety.

Dlaczego?

Historia jest zbyt wielka, a historyk nigdy nie zdoła dowiedzieć się wszystkiego. Nawet jeśli bada jakiś wycinek, wciąż zostaje mu coś do odkrycia. Sam niedawno napisałem krótki esej o DNA Adolfa Hitlera.

Słyszałem o kontrowersyjnym dokumencie brytyjskiej telewizji Channel 4 na ten temat.

W muzeum w Gettysburgu przechowywano wycięty z kanapy podziemnego bunkra Hitlera kawałek skrwawionego materiału. Z jego badań wynika, że Führer mógł cierpieć na zespół Kallmana...

Wyjaśnijmy: to zaburzenie genetyczne, opóźniające lub hamujące dojrzewanie, wpływające na rozwój narządów płciowych i libido.

Co ciekawe: już w 1939 r. żołnierze brytyjscy śpiewali nieprzyzwoite przyśpiewki, że Hitler ma tylko jedno jądro. Skąd się wzięły? Wywiad brytyjski był w Niemczech bardzo aktywny. Być może agent brytyjski siedział w monachijskiej piwiarni, gdzie ludzie gadali różne rzeczy. Proszę zobaczyć: wystarczy, że ludzie piją piwo wieczorem, i już dotykamy historii.

Tylko co to jest historia? Co to jest przeszłość? I co to są dzieje?

Pytałem o to swojego tutora w Oksfordzie, słynnego A.J.P. Taylora. Powiedział: „historia to te cholerne rzeczy, dziejące się jedna po drugiej" . Ludzie mają różne podejścia do tych pojęć, ale moim zdaniem historia to nie to samo, co dzieje. Historia to jest to, co człowiek, historyk, potrafi z dziejów zrozumieć.

A Pan jest historykiem czy dziejopisarzem? Bada Pan historię czy dzieje?

Zawsze powtarzałem, że doktorat honorowy na UJ dostałem nie od historyków, tylko od polonistów – jako pisarz. Jestem i dziejopisarzem, i historykiem. Ale, jak powiedziałem: historycy różnie myślą o swoim fachu. Niektórzy uważają, że bez dokumentów z archiwum nie wolno nic powiedzieć. Ale jest też inna tradycja, bardzo mocna w Wielkiej Brytanii, właśnie jako dziejopisarstwo, konstruowanie narracji o przeszłości. Takie podejście to raczej branża literatury niż nauki.

Mam wrażenie, że stoję jedną nogą w jednej, a drugą w drugiej dziedzinie. Podam przykład: Studium Polski Podziemnej w Londynie, które przechowuje dokumenty Armii Krajowej i rządu emigracyjnego. Pisząc o powstaniu warszawskim, korzystałem z nich oszczędnie, sięgałem za to po relacje i wspomnienia. A poza tym nie miałem dostępu do sowieckich archiwów: pojechałem do Moskwy, ale nie zostałem wpuszczony.

Nikt nie wie, dlaczego Stalin zakazał poparcia dla powstania, od 15 sierpnia 1944 r. – bo na początku wydawało się, że postąpi inaczej. Nie ma dokumentów, które pozwoliłyby do końca zrozumieć tę decyzję. Natomiast dostałem bardzo ciekawe dokumenty od NKWD. Nie mam pojęcia, dlaczego, bo w Rosji nie można pójść do archiwum i po prostu dostać zgody na wgląd. Trzeba powiedzieć, o jaki temat chodzi, i oni wybierają, co chcą udostępnić. Coś jednak dostałem i wynikało z tego, że wywiad sowiecki nie miał pojęcia, co się dzieje w Warszawie. Oni byli przekonani, że tam działa misja brytyjska, która kieruje powstaniem. I nie mogli zrozumieć, dlaczego taka garstka wytrzymała przeciw Niemcom nie tydzień, jak miało być na początku, tylko 63 dni. Stalin nie wiedział, co robić, bo nie był pewien, co się dzieje. Ale jako historyk musiałem to opisać na podstawie połowicznej dokumentacji.

Czyli same archiwa nie wystarczą.

A dostęp do nich bywa trudny nie tylko w Rosji. Właśnie rozmawiałem z historykiem angielskim Andrew Lowniem, który pisał biografię Guya Burgessa, jednego ze szpiegów sowieckich z tzw. „piątki z Cambridge". Oczywiście on również nie miał dostępu do archiwów sowieckich. Ale zajmował się też historią rodziny Mountbattenów, z której wywodził się ostatni brytyjski wicekról Indii, i sam skarżył się na archiwistów królewskich w Wielkiej Brytanii. Więc np. przekonanie, że dla historyka cała dokumentacja jest dostępna, to iluzja. Wszyscy pracujemy na podstawie niewystarczających informacji i musimy tworzyć nasze wyjaśnienia na podstawie tego, co mamy, nie tego, co chcieliśmy mieć.

W nowej książce pisze Pan, że historia zagrożona jest jako przedmiot nauczania.

Zagrożone są w ogóle przedmioty humanistyczne. W szkołach szuka się miejsc dla nowszych dyscyplin: informatyki, technologii, socjologii, ekonomii...

Z drugiej strony właściwie wszędzie dyskutuje się o przeszłości. W wielu krajach obala się pomniki z czasów kolonialnych, Putin mówi o historii, Ukraińcy mówią...

Oczywiście: ważność historii się nie zmniejsza. I wojna w Ukrainie faktycznie jest prowadzona w oparciu o interpretację historii. Putin ma swoją teorię, dosyć idiotyczną, ale widać tu coś szerszego: Rosjanie nie znają prawdziwej historii Ukrainy. Amerykanie nie mają o niej pojęcia. Ale i Ukraińcy miewają problem.

Prof. Jarosław Hrycak napisał książkę o tysiącletnich dziejach swojego kraju. Pierwszy rozdział: Ruś Kijowska. Drugi rozdział: Mongołowie. Trzeci rozdział: Kozacy w XVII wieku. Przepraszam, a co było między Mongołami a Kozakami? No przecież Jagiellonowie, Pierwsza Rzeczpospolita. Nawet specjalista o tym nie chce mówić... I nie chodzi o to, czy Ukraińcy i Polacy się lubią, czy nie, tylko o to, że cała Ukraina należała do Jagiellonów, a później do Korony Polski. To ma swoje konsekwencje: język ukraiński ma więcej słów polskich niż rosyjskich. A tradycje ukraińskie, kozacczyzna, kult wolności? Skąd oni to mieli? Skąd Chmielnicki miał takie zasadnicze pojęcie o wolności? Przecież to był szlachcic.

W książce pisze Pan o pojęciu dziedzictwa – wyczuwam tu jakiś związek.

Chodzi o to, co pamiętamy: otóż pamiętamy to, co chcemy pamiętać. O tym, co niewygodne czy bolesne, wolimy zapomnieć. Ale w dziejach każdego narodu są takie momenty. Np. Brytyjczycy, oprócz celebrowania zwycięstwa pod Waterloo czy sukcesów Churchilla, powinni być świadomi swoich błędów, wręcz katastrof.

U nas to jeszcze bardziej skomplikowane: w Polsce klęski są często celebrowane jak zwycięstwa.

To się nazywa świętowanie straconych spraw. Irlandczycy też z tego słyną. Bardzo podobny przypadek jak polski: naród, który ma mocniejszego sąsiada.

Z drugiej strony: słynna w historii Wysp jest Dunkierka. Wojsko brytyjskie zostało w 1940 r. kompletnie pobite przez Niemców. Ale w ostatniej chwili udało się uratować z plaży 300 tysięcy Anglików i Francuzów: nie wpadli do niewoli niemieckiej. Z Dunkierki zrobiono więc zwycięstwo, celebrujemy ją. Dziedzictwo, jak widać, to nie jest historia.

Rozmawiamy tuż przed sylwestrem, a 2026 będzie rokiem stulecia zamachu majowego. Co ta rocznica nam mówi i czy Polacy są aż tak podzieleni, że coś takiego może się powtórzyć?

W 1926 r. kraj był podzielony politycznie i narodowościowo. Etniczni Polacy stanowili tylko ok. 60 proc. obywateli. Roman Dmowski i jego obóz uważali, że Polska jest dla Polaków. Natomiast Józef Piłsudski, który wywodził się z lewicy, twierdził, że Polska jest krajem dla wszystkich obywateli. Mam wrażenie, że echa tego podziału przetrwały do dziś i każda ze stron będzie celebrować tę majową rocznicę inaczej.

Oczywiście każdy naród jest podzielony. Kiedy mówimy o wielomilionowym społeczeństwie, nie można przypuszczać, że każdy będzie myślał podobnie. Sam najwięcej listów od czytelników dostałem po napisaniu książki o armii Andersa. Władysław Anders nie miał pochodzenia polskiego: był z rodziny niemieckiej. Do swojej armii przyjmował każdego obywatela II Rzeczypospolitej. Nawet kiedy sowiecka NKWD utrudniała mu pobór, uznając Żydów, Białorusinów, Litwinów czy Ukraińców za nie-Polaków, powtarzał, że decydujące jest kryterium obywatelstwa. Nie przyjmował tylko jednej grupy narodowościowej – Niemców, z którymi trwała wojna, ale poza tym uczył narodowców, jakie są zasady.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

NAUKA

ODSZUKAĆ PRZEZNACZENIE

Wszyscy zastanawiamy się, co się może wydarzyć w nowym roku. A czy jest coś, co musi się wydarzyć? Oj, nauka nie lubi się z pojęciem przeznaczenia.

ŁUKASZ LAMŻA



Świetnym punktem wyjścia do rozmowy o Przeznaczeniu jest model świata w stylu XIX-wiecznej fizyki: prościutki jak tabliczka mnożenia, napełniający metafizyczną grozą i, szczęśliwie, fałszywy.

Oto i on. Po pierwsze, cały świat można sprowadzić do prostych elementów składowych. Możemy je klasycznie nazywać „atomami" albo, nowocześniej, „cząstkami elementarnymi". Wszystko jedno. Po drugie, owe proste elementy składowe zachowują się w przewidywalny sposób, zakodowany w prawach przyrody. To, co wydarzy się z daną cząstką w ciągu najbliższej mikrosekundy, da się całkowicie wyjaśnić, odwołując się do jej najbliższego otoczenia: na jakie inne cząstki wpadnie, z jakimi przyjdzie jej oddziaływać polami, jakie cechy ma lokalna czasoprzestrzeń i tak dalej.

Z tych dwóch prostych założeń wynika tzw. determinizm: pogląd, że z obecnego stanu świata całkowicie wynika jego przyszły stan. Logicznie da się też z niego wywnioskować całą przeszłość. Świat deterministyczny to więc taki świat, w którym wszystkie zdarzenia są ustalone przez początkowy układ cząstek elementarnych i prawa przyrody. Z tej pary całkowicie wynika jedna i tylko jedna możliwa historia wszechświata, która grzecznie rozwija się na naszych oczach, bo musi.

Najprostsze przeznaczenie

Determinizm fizyczny można spokojnie czytać jako prosty model Przeznaczenia. Bądź co bądź, w świecie deterministycznym wszystko, co mi się przydarzy, w pewnym sensie „jest mi pisane". Jeżeli ma tak być, że zostanę potrącony przez samochód, to tak się po prostu stanie. Jeżeli ma tak być, że auto owo w ostatniej chwili odbije, a z tylnego okna wypadnie mi ponadto pod nogi walizka z pieniędzmi – to też się tak stanie. W tego typu świecie, dodajmy, nie ma miejsca na prawdziwą wolną wolę: nikt i nic nie jest tak naprawdę, autentycznie „wolne". Sieć przyczynowa świata jest ścisłą pajęczyną z tytanowych włókien, w którą jesteśmy na sztywno wspawani i możemy tylko bezsilnie się po niej rozglądać.

Istnieje też wersja teologiczna tego samego modelu. Średniowieczni teolodzy islamscy powszechnie wyznawali „muzułmański fatalizm", który dzisiaj pod nazwą *qadar* stanowi jeden z fundamentów islamu sunnickiego, największej gałęzi tej religii. Al-Kuszajri pisał w „Al-Risala al-Qushayriyya", popularnym podręczniku nauki sufijskiej, że „wszystkie czyny pochodzą od Boga Wszechmogącego". Abu Talib al-Makki, inny teolog islamski z tego kręgu intelektualnego, pozostawił po sobie szereg aforyzmów, jak choćby „przeznaczenie ludzi stworzone zostało na dwa tysiące lat przed stworzeniem ich ciał" albo „zapisanego na tabliczce przeznaczenia nie można powiększyć ani siłą, ani podstępem". Tabliczka ta, nawiasem mówiąc, nosi nazwę al-Lawhu 'l-Mahfuz i zawiera zapis wszystkiego, co się wydarzyło i wydarzy: piękna „tekstowa" ilustracja determinizmu teologicznego, w innych kulturach określana też czasem jako Księga Losu.

O ile jednak możemy ufać w boską mądrość, że Księga Losu jest napisana mądrze – i nawet polubić się z takim modelem świata – trudno doszukiwać się mą-



HERITAGE IMAGE / ALAMY / BE&W

Alexander Rothaug, „Trzy Mojry", ok. 1910 r.

drości w uporządkowanej dwójce „warunki początkowe plus prawa przyrody". To dlatego determinizm fizyczny to tak zimna i beznadziejna ideologia. Pozostaje się tylko cieszyć, że fałszywa.

Tak czy inaczej

Jest kilka zjawisk fizycznych i metafizycznych, które potrafią rozwalić taki świat od wewnątrz, ale najskuteczniejszy jest stary dobry przypadek. Nie chodzi jednak o to, co w języku potocznym określamy słowem „przypadek", czyli, z grubsza, coś niespodziewanego i mało prawdopodobnego. 30 listopada 1954 r. Amerykanka Ann Hodges została pierwszą i jak dotychczas jedyną osobą, w którą uderzył meteoryt. 34-latka spała sobie spokojnie na kanapie, gdy ważący ok. 4 kilogramów kamień z nieba przebił dach jej domu i rąbnął ją w lewe biodro, szczęśliwie pozostawiając po sobie tylko solidny siniak. W świecie deterministy nie był to jednak „przypadek", tylko jeden z niezliczonych skutków początkowego położenia wszystkich cząstek oraz praw fizyki. „Prawdziwy przypadek" to tymczasem zdarzenie, które nie zostało przez nic zdeterminowane.

Wyjaśnijmy dla pewności: zgodnie ze współczesnym stanem wiedzy prawdziwy przypadek istnieje. Elektron, któremu prawa przyrody nakazują za chwilę wykonać przeskok kwantowy, może skoczyć w lewo lub w prawo z określonymi prawdopodobieństwami i – jak stanowczo twierdzą fizycy – nie ma w obecnym stanie świata nic, co by zadecydowało, w którą stronę faktycznie skoczy. To coś ↦

↦ więcej niż nasza niewiedza: to zdarzenia fizyczne same w sobie nie są w pełni zdeterminowane, a więc nawet istota obdarzona kompletem wiedzy o obecnym stanie świata nie byłaby w stanie przewidzieć jego przyszłości. Parafrazując Einsteina, zniesmaczonego kwantowym indeterminizmem, „Bóg gra w kości".

Przypadek wprowadza luzy w trybach Losu, które przestają być nieubłaganymi zębatkami, a stają się elastycznym mechanizmem z grubsza tylko organizującym świat. Dopuszczalnych jest wiele różnych przyszłości, wiele różnych wersji Księgi Losu. Czy w takim świecie możliwe jest Przeznaczenie? Ba, dopiero w takim świecie Przeznaczenie staje się interesujące!

Przyjrzyjmy się bliżej takiemu na przykład przekonaniu: „Było mi pisane, że tak czy inaczej spotkam się z Zuzą, kobietą mojego życia". Najważniejsze w tym zdaniu jest owo niewinne „tak czy inaczej". W świecie niezdeterminowanym historia świata ma wiele równie prawdopodobnych wariantów. Naprawdę mogło więc być tak, że autobus, którym jechałem na dworzec, złapał gumę, przez co nie wpadłbym na Zuzę na peronie – a jednak wierzę, że bez względu na milion podobnych możliwości i tak musiałem na nią trafić: jeśli nie na peronie, to w kolejce po szponder.

Zgodnie z wiadomością

Przeznaczenie w indeterministycznym świecie oznacza, że w luźnej, mobilnej sieci przyczynowej istnieją pewne konieczne zdarzenia węzłowe; coś w stylu logicznej części wspólnej wszystkich możliwych historii świata. Mówiąc językiem metafory książkowej: Księga Losu jest głównie pusta, jednak na niektórych jej stronach wpisane są już pojedyncze zdania. Historia pisze się na bieżąco, ale zawsze w taki sposób, że owe nieliczne z góry zapisane zdania gładko się w nią wplatają. Ulubionym zastosowaniem tego modelu jest kwestia tzw. sensu życia.

Akanowie, którzy mieszkają głównie na terenie dzisiejszej Ghany, mają piękny model indywidualnego przeznaczenia. Akańskie słowo na przeznaczenie, *nkrabea*, pochodzi od słowa *nkra*, „wiadomość", a końcówka *bea* oznacza „na sposób": *nkrabea* to dosłownie „[życie] na sposób zgodny z wiadomością". Idea jest taka, że nasza dusza, *okra*, jeszcze przed narodzinami otrzymuje od Najwyższej Istoty swoje przeznaczenie w postaci wyszeptanej sekretnie wiadomości. My sami, choć *okra* jest „naszą" duszą, nie mamy dostępu do tej wiadomości i nie znamy jej treści.

Co istotne, *nkrabea* tylko częściowo determinuje nasz los. Jak pisze filozof ghański Gyekye Kwame, „ponieważ *nkrabea* wyraża tylko podstawowe cechy jednostki, i ponieważ jest ogólna, a nie szczegółowa, ludzkie czyny nie są nam pisane lub wymuszone; fakt ten sprawia, że wolny wybór pozostaje czymś żywym i znaczącym". I dalej: „każda osoba może nadać dodatkowe znaczenie swojej egzystencji poprzez korzystanie ze swojej wolnej woli w ramach wyznaczonych przez przeznaczenie".

Losy świata są więc kontrolowane przez Najwyższą Istotę w ogółach, a nie w szczegółach, jak by tego chciał al-Makki, i w bardziej nieoczywisty sposób. Czyli zupełnie jak u św. Pawła: „Jakże niezbadane są Jego wyroki i nie do wyśledzenia Jego drogi!" (Rz 11, 33). To zresztą kolejna piękna metafora – metafora drogi i rozstajów, na których wybieramy swoją ścieżkę. Jeśli istnieje Przeznaczenie, wybór ten ma znaczenie wyłącznie lokalne: wszystkie drogi doprowadzą nas do Rzymu, czy to w postaci wiecznego miasta, czy karczmy. Przeznaczenie i tak spokojnie nas doścignie: „tak czy inaczej".

Konieczność odroczona

Tego typu przeznaczenie wydaje się domagać wyjścia poza świat przyrody: metafizycznego uzupełnienia go o coś więcej. Owe pojedyncze ustalone zdania w Księdze Losu nie mogą po prostu wynikać z poprzednich zdań. Może zostały zapisane ręką Najwyższej Istoty, a może odpowiadają za to odrębne od bogów Mojry? Niełatwo jednak zrozumieć, jak świat sam w sobie miałby je wygenerować. Jakkolwiek rozumiemy przyczynowość świata – czy jest ona ścisła, czy luźna, czy dopuszcza „prawdziwą wolną wolę", czy nie – wydaje się ona działać lokalnie. Nie ma w zwykłym obrazie świata miejsca na autentyczne ustalanie się czegokolwiek w dalekiej przyszłości, z pominięciem kroków pośrednich.

Najłatwiej to zrozumieć na przykładzie. Okazuje się bowiem, że naukowy obraz świata dopuszcza istnienie w nim koniecznych zdarzeń w przyszłości, które mogą zostać osiągnięte na wiele różnych sposobów – jednak przypadki takie nie do końca „pachną" przeznaczeniem. Ot, przede mną stoi właśnie kubek z gorącą kawą. Z antracytowo-czarnej powierzchni unoszą się leniwie strużki pary o kształtach, które są wypadkową rozmaitych przypadkowych procesów hydrodynamicznych i termodynamicznych. Kawa może upuszczać ciepło na miliardy sposobów – a jednak wiem na pewno, że tak czy inaczej wystygnie (i znów „tak czy inaczej"!).

Jeszcze prostszy przykład: po mokrej drodze wojewódzkiej 906 na odcinku Lubliniec-Koszęcin pędzi samochód z prędkością 150 km/h. Kierowca traci panowanie, auto wjeżdża do rowu i mknie wprost ku przydrożnemu jesionowi. Czas, jakże uprzejmie, zatrzymuje się na chwilę, aby dać nam i kierowcy moment na rozważenie roli Przypadku i Konieczności w życiu. Z analizy wynika, że zderzenie jest nieuniknione, jednak detale tego, jak rozpryśnie się lakier, wciąż nie są zdeterminowane i zależą od ostatnich ruchów rąk, zaciśniętych panicznie na kierownicy, wciąż jeszcze ożywianych przez dzikie elektryczne wyładowania w jego mózgu. I tutaj ma coś do powiedzenia prawdziwy fizyczny przypadek; kto wie, może któraś ważna kaskada elektryczna zostanie zainicjowana przez pojedynczy indeterministyczny przeskok elektronowy? A jednak, jak by nie liczyć, suma nieprzeliczonych miliardów takich przypadków *musi* dać zawsze ten sam wynik, tę samą katastrofę.

Ze względu na bezwładność świata owa odłożona w czasie konieczność bywa naprawdę mocno odroczona. Słynny oktet na Titanicu grał przez ładnych parę godzin. Niektórzy uważają, że do tej samej kategorii należy katastrofa klimatyczna, ponieważ globalną gospodarką manewruje się jeszcze bardziej opornie niż ważącym 46 tysięcy ton transatlantykiem. Szczegółowa historia najbliższych dekad jest nie do odgadnięcia, mówią owi fataliści, jednak przekroczyliśmy już „punkt bez powrotu". W największej skali do tej samej kategorii może też należeć śmierć cieplna wszechświata, czyli tak naprawdę suma logiczna wszystkich stygnących kubków z kawą w całym kosmosie, bez względu na to, czy nazwiemy je kubkami, czy gwiazdami. Wszystko kiedyś zastygnie w bezruchu – pozostaje tylko do ustalenia, w jakiej konkretnie pozycji.

Echo przyszłej grozy

Można by tego typu konieczności dziejowe określić słowem „przeznaczenie", ale czujemy podskórnie, że to trochę za mało. Nie ma nic interesującego w fakcie, że moneta zawsze spadnie, choćby nawet wynik rzutu był naprawdę losowy. Byłoby świetnie, gdyby w świecie istniała jakaś dodatkowa zasada organizująca, która wymusza pewne rozstrzygnięcia niejako ponad lokalnymi zależnościami przyczynowymi. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby owe rozstrzygnięcia miały też autentyczną moc organizującą, ściągając ku sobie aktywnie bieg zdarzeń z przyszłości.

Znamy z literatury i filozofii piękne ilustracje tego motywu, te jednak nieodmiennie przewidują miejsce dla sił spoza świata przyrody. W wierszu „Przestroga Lochiela" Thomasa Campbella przywódca wojskowy Jakobitów Donald Cameron z Lochiel rozmawia z czarownikiem przed bitwą pod Culloden. Ten wyjaśnia mu, że owa przegrana w przyszłości bitwa już teraz napiera na świat i mrocznie piętrzy się nad ich głowami. „Nadciągające zdarzenia rzucają za siebie swój cień. Powiadam ci, rozbrzmiewa echo zgrozy Culloden", na próżno tłumaczy sceptycznemu Lochielowi. C.S. Lewis, ten od Narnii, pisał w „Podziale ostatecznym", że nasze przyszłe Zbawienie wpływa wstecznie na całe nasze życie. „Tego właśnie nie pojmują śmiertelni. O cierpieniu, które właśnie przeżywają, powiadają, że „»żadna przyszła błogość go nie wynagrodzi«, nie wiedząc, że Niebo, gdy już je osiągniemy, będzie działać wstecz i przemieni nawet agonię w chwałę".

W obu przypadkach owa siła organizująca rzeczywistość wokół jej przyszłego, „już zapisanego" stanu jest pochodzenia ponadnaturalnego. Campbell i Lewis przeczuwali, że świat sam w sobie nie umie wpisać czegoś w swą własną odległą przyszłość, a następnie wstecznie ten fakt odczuwać. A może jednak?

Porządek w chaosie

Ciekawa i być może obiecująca idea „wyższej konieczności" istnieje w tzw. teorii chaosu deterministycznego, opisującej układy, w których maleńkie zaburzenia decydują w istotny sposób o losach całego układu. Podręcznikowy przykład to skrzydełka amazońskiego motyla, których trzepotanie wywołuje kaskadowo

HERITAGE IMAGE / ALAMY / BE&W



Determinizm fizyczny to zimna i beznadziejna ideologia. Pozostaje się tylko cieszyć, że fałszywa.

huragan w Teksasie – stąd „efekt motyla". Matematycznie i fizycznie wydajemy się żyć w takim właśnie świecie. W oceanie chaosu istnieją jednak „stabilne punkty" albo powtarzające się wzorce. W slangu matematycznym pewien podzbiór możliwych stanów świata, do którego świat wydaje się uparcie dążyć, nazywa się atraktorem.

Aby pojąć to w sposób namacalny, nie ma lepszej metody niż zabawa kranem. Pomiędzy regularnym kapaniem pojedynczych kropel a solidnym strumieniem wody istnieje cały szereg interesujących stanów pośrednich. Przy odrobinie cierpliwości i zręczności kasiarza można czasem złowić stan prawdziwego matematycznego chaosu, gdy sekwencja pacnięć staje się hipnotycznie nieregularna. Dwa pacnięcia... ministrumyczek... trzy pacnięcia... dwa pacnięcia... krótszy ministrumyczek... pacnięcie... i tak dalej. Nie ma superkomputera na świecie, który przewidzi zachowanie takiego kranu za minutę, a jednak w tej sekwencji uderzeń występuje pewien porządek wyższego rzędu. Można go opisać matematycznie – jeszcze dzisiaj ludzie doktoryzują się na kapiącym chaotycznie kranie – ale też poczuć zmysłem muzycznym. To coś istotnie innego niż samochód nieubłaganie frunący ku jesionowi; to raczej pewien sposób działania się, który musi zostać zrealizowany, lub pewien stan, o który historia musi zahaczyć, bez względu na konkrety, tak czy inaczej.

Czy oznacza to, że właśnie odkryliśmy intuicje nadające się do stworzenia naukowej wersji przeznaczenia? Nie tak szybko. Nie chcemy być jednymi z *tych*, którzy stosują slang naukowy tylko do celów dekoracyjnych. Po pierwsze, nie każdy układ jest chaotyczny w sensie ścisłym i nie można tak po prostu określić jakiegoś stanu świata jako „atraktor". To by było zwykłe nadużycie. Po drugie, w ścisłym sensie model ten nie ma ani grama przyczynowości wstecznej: przyszłość nie ściąga nas aktywnie ku sobie; to raczej teraźniejsze zdarzenia są zorganizowane na sposób, którego nie dostrzeżemy na poziomie szczegółu.

Świat nie wygląda przypadkowo

Nie wylejmy jednak z kąpielą ogólniejszej intuicji, którą ładnie symbolizuje pojęcie atraktora: że gdzieś w przyszłości ulokowana jest pewna „wyższa konieczność". Świat wydaje się dopuszczać istnienie dowolnej liczby form porządku, których mapowanie idzie nam, ludziom, dość opornie – tym oporniej, im mniej są oczywiste. Rozumiemy nieźle, dlaczego jedna bila uderzająca w drugą nadaje jej taki, a nie inny pęd, jesteśmy jednak niemal bezradni, gdy przychodzi do przewidywania, jak z grubsza będzie wyglądał stół bilardowy po minucie, a pytanie, dlaczego właściwie doszło do rozegrania tej konkretnej partii i czy musiało do niej dojść, całkowicie obnaża naszą bezradność. Rozumiemy bardzo słabo krajobraz globalnych konieczności, a słowo „przypadek" to niewiele więcej niż listek figowy.

Rozejrzyjcie się – niemal każdy konkretny fakt otaczającego nas świata, od położenia książek zagracających moje biurko, po tożsamość osoby, z którą spędzam całe życie, nauka uznaje za „przypadek". Może i tak być. Ale nie musi. Szczerze mówiąc, świat nie wygląda zbyt przypadkowo, gdy czyta się go zmysłem muzycznym. Najuczciwiej byłoby chyba powiedzieć, że po prostu nie wiemy, czy cokolwiek jest nam przeznaczone.

© ŁUKASZ LAMŻA

Odkrycia roku 2025

Kubit z antyprotonu

Najciekawszym osiągnięciem fizyki minionego roku był eksperyment z „antyprotonowym kubitem" zespołu BASE (Baryon-Antibaryon Symmetry Experiment) w „fabryce antymaterii" CERN.

Czysto fizycznie, ów kubit składał się z pojedynczego antyprotonu uwięzionego w miejscu przez odpowiednio dobrane pole magnetyczne i elektryczne, czyli schwytanego w tzw. pułapkę Penninga. W nowym doświadczeniu jeden taki antyproton, odseparowany od innych cząstek, obserwowano uważnie przez 50 sekund. Dzięki temu możliwe było wyznaczenie z niespotykaną dotychczas dokładnością jego właściwości (zwłaszcza tzw. momentu magnetycznego).

Eksperymenty tego typu są bardzo ważne dla rozwoju komputera kwantowego – w którym obliczenia wykonuje się właśnie na takich dobrze odseparowanych kubitach. To jednak nie wszystko. Eksperyment ten wpisuje się bowiem w program poszukiwania nowej fizyki – poza tzw. Modelem Standardowym – przy pomocy takich właśnie ultraprecyzyjnych pomiarów.

Przykładowo, otwiera to drogę do znacznie dokładniejszych porównań właściwości materii i antymaterii (czy proton zachowuje się tak samo jak antyproton?) oraz do testów tzw. symetrii CPT. Wcześniej grupa BASE potwierdziła zgodność momentów magnetycznych protonu i antyprotonu na poziomie kilku części na miliard; nowa technologia pozwoli na poprawę precyzji od 10- do 100-krotnie. Warto dodać, że pierwszą autorką pracy jest Polka, dr Barbara Latacz. © PIOTR ŻUCHOWSKI

Autor jest profesorem w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Biokonstruktorstwo

Najważniejszym osiągnięciem 2025 roku są dla mnie prace zespołu kierowanego przez Briana L. Hie z Uniwersytetu Stanforda dotyczące projektowania nowych białek, a nawet całych genomów.

Inżynieria genetyczna, rozwijana już od ponad pół wieku, dotychczas ograniczała się do modyfikowania cząsteczek i organizmów powstałych naturalnie, drogą ewolucji biologicznej. Zaprojektowanie „od zera" nowych form, niepodobnych do tego, co znamy, było do niedawna nieosiągalnym marzeniem tzw. biologii syntetycznej (żałuję, że nie przyjął się w polszczyźnie ukuty dawno temu jeszcze przez Stanisława Lema termin „biokonstruktorstwo").



W opublikowanej w listopadzie w „Nature" pracy zespół z Uniwersytetu Stanforda wykorzystał do projektowania nowych białek bakteryjnych generatywny model językowy (działający na zasadzie podobnej do znanych wszystkim narzędzi AI) nazwany Evo, wytrenowany na genomach znanych bakterii. Białka następnie wyprodukowano w laboratorium i okazało się, że są aktywne biologicznie, mimo że ich sekwencja aminokwasowa nie przypomina żadnej znanej w naturze.

Kolejnym krokiem zespołu Hie było stworzenie tą metodą całego genomu bakteriofaga – wirusa infekującego komórki bakterii. W tej pracy, na razie dostępnej w postaci tzw. preprintu (wstępnej publikacji, która nie przeszła jeszcze recenzji), badacze wykazali, że taki zaprojektowany przez AI bakteriofag jest zdolny do infekowania komórek bakteryjnych.

To zupełnie nowe podejście i nie znamy jeszcze wszystkich jego ograniczeń i możliwości, ale perspektywy otwierające się dzięki projektowaniu nowych form życia są niewątpliwie ekscytujące.
© PAWEŁ GOLIK

Autor jest dyrektorem Instytutu Genetyki i Biotechnologii Uniwersytetu Warszawskiego.

WIZUALIZACJA PRZY UŻYCIU AI X2

Świadomość: przełom bez przełomu

Niewiele jest zagadnień naukowych, które wywołują gorętsze debaty niż ta, czym jest świadomość i jak jest ona „wytwarzana" przez nasze mózgi. Wśród najlepiej ugruntowanych koncepcji świadomości wymienia się teorię globalnej przestrzeni roboczej (GNWT), której ojcem jest Stanislas Dehaene, oraz teorię zintegrowanej informacji (IIT), zaproponowaną przez Giulia Tononiego. Kilka lat temu zwolennicy tych konkurencyjnych teorii połączyli siły, by rozstrzygnąć, która z nich jest poprawna. Był to ważny krok naprzód – niektórzy przeciwnicy IIT publicznie głoszą, że to nie tyle teoria fałszywa, co wręcz nienaukowa.



Zadanie było trudne, bo obie teorie mają różnorodne przewidywania, gdy idzie o sygnały, które możemy zaobserwować w badaniach mózgu. Udało się jednak uzgodnić zestaw przewidywań, zaprojektować eksperymenty i w wielu laboratoriach poddać te przewidywania testom, a wszystkie zebrane dane upubliczniono w duchu idei otwartej nauki. W końcu w kwietniu 2025 r. ogłoszono w „Nature", że spór... nie został rozstrzygnięty. Okazało się, że zebrane dane podważają niektóre fundamenty obu teorii, jednocześnie potwierdzając pewne ich przewidywania.

Jednym z kluczowych dokonań roku w neurobiologii był więc dowód na to, że nadal nie mamy przekonującej teorii świadomości. Ale znacznie lepiej wiemy, gdzie jej szukać.
© PIOTR WINKIELMAN

Autor jest profesorem psychologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego.

ZUZANNA

Radzik:
Palec w przyszłość



Nie miałabym żadnych postanowień noworocznych, gdyby nie praca domowa z francuskiego. Ostatecznie to zeszłoroczne, zanotowane miesiąc przed narodzinami dziecka, wyglądało tak: „?". Dosłownie, wynotowałam pod datą 2025 wielki znak zapytania. Nie miałam pojęcia, co się zbliża. Choć nieśmiało w myślach dopowiadałam, że może będę ćwiczyć regularnie, chodzić z wózkiem po muzeach, a w czasie drzemek napiszę książkę. W końcu będę miała rok wolnego czasu...

Notuję postanowienia noworoczne, bo tak każe podręcznik. Mają być z czasownikami nieregularnymi, więc zakres czynności, jakie mogę planować, jest szczęśliwie ograniczony: być, robić, móc, chcieć, musieć, mieć, zobaczyć, wiedzieć, chodzić, przyjść. I sama nie wiem, czy pisząc je, bardziej czuję ciężar ułożenia eleganckich zdań z niebanalnym słownictwem, czy może ciężar bezczelnego wsadzania palca w przyszłość. Zarzucania wędki w rok, którego jeszcze nie ma. W tym roku, wiem, że nic nie wiem. Również o tym nadchodzącym.

Szkoda, bo ja lubię takie rytuały jak postanowienia, nowy kalendarz, jakieś otwarcie kolejnego obrotu. Nauczyłam się co prawda, że postanowienia na rok nie działają, bo rok to jednak za długo i można się pogubić. Zwykle dzielę go na kwartały, dokładniej przyglądam się sobie w perspektywie półroczy. Zadaję pytania, po co chcę coś zrobić i kiedy dokładnie zamierzam. Pytanie o to, kiedy, jest kluczowe, bo często obnaża, że na coś zupełnie nie ma miejsca w życiu. Pozwala zobaczyć, gdzie sama siebie mamię i zwodzę, i czemu coś mi nie wychodzi. Tak posiekany czas i zobowiązania stają się bardziej bezbronne, mniej dostojne i paraliżujące. Wymienialne po kwartale.

Prawda jest jednak taka, że w tym roku mogłabym powtórzyć znów wielki znak zapytania. Nawet większy, bo w tym pierwszym chowałam się za hasłem „nie mogę, jestem na macierzyńskim", a teraz świat znów będzie miał prawo czegoś ode mnie chcieć. I dziecko też. Zatem może powinnam zapisać: „*You can have it all?*". Klasyczne pytanie ery feminizmu, bo czy możemy mieć to wszystko naraz, bez uszczerbku, dylematów, rozdarcia chwilami: co ważniejsze, co pilniejsze. Bez pytań, czy jestem taką pracownicą, jaką chcę być? Czy jestem taką matką, jaką chcę być, jeśli jestem tamtą pracownicą? Pod tym względem mijający rok był czasem ochronnym, a teraz pora na zderzenie z rzeczywistością produktywności i kapitalizmu. Ale też zderzenie dwóch ważnych stron własnego życia.

Fantazjuję o dniu, w którym pójdziemy do żłobka, a jednocześnie już jestem o ten dzień zazdrosna. Dziwnie się od niej oddzielać, dziwne, gdy coś lub ktoś powoli staje między nami. Rozkleja nas z tego zwarcia, w którym byłyśmy. Jak gdy rzuciła się łapczywie na szklankę wody, a mnie przemknęła myśl, że pierwszy raz pije coś, czego dla niej nie przefiltrowałam przez swoją krew. Czego nie oczyściłam sobą. Kiedy cieszy się na nianię i uczy od niej rzeczy. Tak ma być, ale... auć. A z drugiej strony na myśl o żłobku zalewa mnie ekscytacja, że cały dzień będę robiła swoje dorosłe rzeczy! Bez błagania, by jeszcze chwilę zajęła się sorterem, bo muszę skończyć felieton.

A potem myślę, że nie wytrzymam i ją stamtąd porwę, że będziemy chodziły na wagary, robiły swoje rzeczy. Tyle że każda z nas w nowym roku zostanie przyporządkowana swojej instytucji. To można na te wagary do parku czy nie?

No i jest jeszcze jedno. Ona już zagaduje w swoim języku nawet do obrazków niemowląt na opakowaniach pieluch, więc może faktycznie ma potrzeby społeczne? Pediatrzy i psychologowie przewracają oczami, ale tak przekonują belgijskie matki, które do żłobka muszą dzieci oddawać po piętnastu tygodniach.

Jeśli ktoś ma dobry przepis na satysfakcjonujące macierzyństwo i karierę jednocześnie, to poproszę. Jeśli ktoś zna kraj, który wymyślił na to jakiś ludzki system, to chętnie się dowiem.

Być, robić, móc, chcieć, musieć, mieć, zobaczyć, wiedzieć, chodzić, przyjść. A jakie ty byś stworzyła postanowienia z tych czasowników? A co ty w tych ramach postanowiłbyś na nowy rok?

Sama chciałabym być obok córki uważnie i bez niecierpliwości, że jej sprawy są błahe i powtarzalne. Chciałabym móc robić mniej, nie musieć nic udowodnić i zdobyć. Wiem, że to w tych czasach wielki przywilej: mieć czas dla dziecka. Ale też chcieć ten czas mieć. Wbrew romantyzującym macierzyństwo kaznodziejom, to nie przychodzi samo. Jest decyzją i wyborem, a nie istotą kobiety. Chcę, żebyśmy chodziły dalej po parkach i placach zabaw, i postanawiam w nowym roku starać się widzieć świat, jak ona go widzi. Z takim oszołomieniem i otwartymi ustami, z jakim ostatnio patrzyła na morskie fale, na pierwszą w życiu górę i na wodospad.

Reszta roku i tak zostanie znakiem zapytania. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

KULTURA

MISTRZYNI

Czas spojrzeć na Sylvię Plath jako pisarkę ambitną i kreatywną, pełną życia i twórczej siły. Przełamującą ograniczenia epoki stawiane kobietom.

MICHAŁ CHOIŃSKI

Moja tożsamość kształtuje się, formuje – gdy czytam wybór opowiadań »New Yorkera«, czuję, jak kiełkują we mnie historie – o tak, gdy nadejdzie czas i moje się tam znajdą – będę poetką, autorką" (tłum. Joanna Urban i Paweł Stachura) – tak pisała w swoich „Dziennikach" w lutym 1958 r. dwudziestosześcioletnia Sylvia Plath.

Nowojorski tygodnik był dla niej symbolem świata, którego chciała być częścią. Z niezachwianą determinacją wysyłała do redakcji kolejne propozycje opowiadań i wierszy, a swojej mamie pisała, że ich listy odmowne są niczym „uderzenia w brzuch". Wypełnione nadzieją i zwątpieniem dążenia Plath, by znaleźć się na łamach „New Yorkera", jak też innych magazynów literackich, wynikały z jej twórczej ambicji. Pierwszy wiersz opublikowała w wieku ośmiu lat i – jak pisała potem w „Dziennikach" – obiecała sobie wtedy, że zostanie „największą poetką Ameryki".

Fioletowa figa

Biografka Plath, Heather Clark, podkreśla, jak bardzo otaczająca poetkę rzeczywistość pozostawała nieprzychylna jej młodzieńczym dążeniom, by poświęcić się pisaniu. Krajobraz społeczny i polityczny USA przełomu lat 50. i 60. utrudniał, czy wręcz często otwarcie zabraniał kobietom przejawów niezależności, takich jak posiadanie własnych kart kredytowych czy kont bankowych.

Najlepsze uczelnie amerykańskie, jak Harvard czy Yale, na większości kierunków nadal zamykały swoje podwoje dla kobiet, których ambicje były powszechnie wyszydzane, a w najlepszym razie traktowane w sposób protekcjonalny. W patriarchalnej narracji epoki jedyną powszechnie akceptowaną żeńską rolą w społeczeństwie była rola matki i gospodyni domowej.

Plath od początku była głodna doświadczeń. Chciała je gromadzić, przetwarzać i opisywać. W autobiograficznej powieści „Szklany klosz" przedstawia losy stażystki, która trafia do nowojorskiego świata literackiego i, zmagając się z jego nieprzychylnością, stopniowo doświadcza nasilającej się depresji.

Bohaterka „Szklanego klosza" opisuje wizję drzewa figowego, która staje się metaforą paraliżu decyzyjnego: „Na każdej gałęzi wisiała dojrzała, fioletowa figa, symbol jednej z czekających mnie w życiu szans. Reprezentowały męża, dom, dzieci, sławę poetki, wybitną karierę profesorską, karierę dziennikarską (...). Wyobrażałam sobie, że siedzę na tym drzewie i umieram z głodu, ponieważ nie mogę w żaden sposób zdecydować się na to, którą figę zerwać. Miałam ochotę na wszystkie, na absolutnie każdą z tych fig z osobna, ale zerwanie jednej oznaczało automatycznie rezygnację z pozostałych, więc siedziałam, aż figi zaczęły się marszczyć, czernieć i jedna za drugą spadały na ziemię" (tłum. Mira Michałowska).

Okres studiów na żeńskiej uczelni Smith College w rodzinnym stanie Massachusetts był dla Plath czasem odkrywania literatury i artystycznych eksperymentów. Rozczytywała się w twórczości swoich literackich idoli, W.B. Yeatsa czy T.S. Eliota, ale także Virginii Woolf, Elizabeth Bishop i Anne Sexton, gromadząc narzędzia do rozwoju własnych literackich środków ekspresji. Erudycją i oczytaniem tak imponowała wykładowcom, że po zakończeniu studiów Smith College zaproponował jej posadę wykładowczyni literatury, choć nie miała doktoratu.

Ale studia były też czasem zmagań z depresją i pierwszej próby samobójczej. Plath spędziła pół roku w szpitalu psychiatrycznym, gdzie próbowano leczyć ją zastrzykami z insuliny i terapią elektrowstrząsową. Opowiadała potem przyjaciółce Elly Friedman, że czuła się, jakby ją „stracono na krześle elektrycznym". W tych doświadczeniach, które kładły się cieniem na jej późniejszym życiu, wielu biografów widziało zapowiedź jej śmierci. Jak pisała później w jednym ze swoich najsłynniejszych wierszy, „Lady Łazarz": „Kołysałam się / Zamknięta w sobie jak muszla. / Musieli wołać i wołać. / Wygrzebywać ze mnie robaki jak lepkie perły" (tłum. Ewa Fiszer).

Życie na nowo

Byli jedną z najsłynniejszych par świata literatury w XX w. Poznali się w Anglii, w lutym 1956 r., na imprezie literackiej zorganizowanej na Uniwersytecie Cambridge. Ted Hughes był już szanowanym poetą, przesiadującym w uczelnianej bibliotece. Plath w tym czasie była stypendystką prestiżowego programu Fulbrighta, w ramach którego przyleciała do Anglii, by studiować i pisać. Tamtego wieczora, w klubie wypełnionym muzyką jazzową, przy ochoczo serwowanych drinkach, wypatrzyli się nawzajem w tłumie mężczyzn w golfach i kobiet w eleganckich, czarnych sukienkach.

Ich wzajemne zauroczenie było błyskawiczne. Według anegdot Plath ugryzła Hughesa w policzek, gdy ten nieocze-



WRITER PICTURES / FORUM

Sylvia Plath z dziećmi Friedą i Nicholasem, 1962 r.

kiwanie ją pocałował. Pobrali się po kryjomu cztery miesiące później w Londynie. Poza parą młodą jedynymi osobami obecnymi na uroczystości był kościelny oraz matka Plath, która przyleciała z USA, przywożąc jej stosowną sukienkę.

Ich związek początkowo był porozumieniem dwóch wybitnych umysłów i talentów. W 1957 r. spędzali wakacje w USA. Matka Plath opłaciła młodej parze sześć tygodni w Cape Cod, gdzie zamieszkali w domku letniskowym poza miastem. Czas spędzony w relatywnie odosobnionym miejscu pozbawionym telefonu, bez dostępu do samochodu, miał być dla Plath okresem produktywnej pracy twórczej – z głową pełną pomysłów i z nowo zakupioną maszyną do pisania zabrała się do pracy.

Czas dzielili na spacery i wspólne czytanie książek wieczorami. Natomiast, jak podkreślała jedna z biografek, niepokój o przyszłość już wtedy kładł się cieniem na ich życiu. Z wakacji Plath nie wróciła, jak planowała, z maszynopisem tomu wierszy. Wiozła jednak ze sobą notatki, które potem stały się podstawą „Szklanego klosza".

Kolejne lata małżeństwa Plath i Hughesa były niezwykle burzliwe, wypełnione awanturami i przemocą fizyczną. Plath pisała w pamiętniku o zadrapaniach, potłuczonych naczyniach i wybitych kciukach. Hughes przyznał się, że gdy miała wybuchy agresji, policzkował ją wielokrotnie.

W lutym 2026 r. ukaże się książka poświęcona poetyckiemu małżeństwu, pod znaczącym tytułem „Kochając Sylvię Plath", w której Emily Van Duyne podkreśla wpływ, jaki przemocowe zachowania Hughesa miały na zdrowie i życie pisarki. ↦

↦ Gdy pięć lat po ślubie Hughes rozpoczął romans z niemiecką artystką Assią Wevill, był to *de facto* koniec związku z Plath. Jesienią 1962 r., wraz z dwójką małych dzieci, pisarka wyprowadziła się z domu na wsi do Londynu. Udało się jej wynająć mieszkanie, które kiedyś należało do jej literackiego idola – W.B. Yeatsa. Miała nadzieję, że symboliczna energia tego miejsca oraz ostateczna decyzja, by zakończyć nieudany związek z Hughesem, pozwolą jej ułożyć życie na nowo.

Rosyjska ruletka

W tym właśnie okresie, gdy gromadziły się nad nią coraz czarniejsze chmury, Plath doświadczyła niezwykłego przypływu kreatywnej energii. Konstruowała złożone, bezkompromisowe obrazy poetyckie, które potem miały znaleźć się w wydanym pośmiertnie tomie poetyckim „Ariel". Zachwycona siłą swojej własnej ekspresji, pisała w liście do matki, że tworzy najlepszą poezję jej życia – wiersze, które uczynią ją sławną.

W jednym z nich, o ironicznym tytule „Tatuś", przywołuje wspomnienie swojej pierwszej próby samobójczej i zwraca się do nieżyjącego ojca, budując porównanie między wspomnieniem jego autorytarnego charakteru a przemocowym zachowaniem swojego męża: „Za jednym razem obu was ubiłam, / Także wampira, który mówił, że jest tobą / I przez rok krew moją pił. / Przez całych siedem lat, gdybyś chciał wiedzieć. / A teraz już, tatusiu, połóż się do grobu / Z kołkiem w tym tłustym czarnym sercu (...)" (tłum. Jan Rostworowski).

Przez lata krytycy określali poezję Sylvii Plath mianem „konfesyjnej", pisząc w szczególności o utworach skomponowanych w tym trudnym okresie po rozstaniu z mężem. Pojęcie to pojawiło się na amerykańskiej mapie literackiej w 1959 r., gdy w ten właśnie sposób określono zbiór wierszy Roberta Lowella. Odwoływał się on bezpośrednio do doświadczeń ze swojego małżeństwa, usuwając iluzję dystansu między głosem mówiącym w wierszu a swoim rzeczywistym życiem. W jego szczerej ekspresji było coś świeżego, i też bez wątpienia cały nurt poezji konfesyjnej, który święcił triumfy w latach 60., w czasie zimnowojennego niepokoju i debat o granicach prywatności silnie odcisnął się na amerykańskim krajobrazie literackim, rewidując granice tego, co dozwolone.

W kontekście twórczości Plath termin „konfesyjna poezja" nabierał jednak często negatywnego zabarwienia. Krytycy odwoływali się do niego, by uchwycić w ten sposób niepokorność i chropowatość jej wierszy, nieprzystającą do powagi poezji bezpośredniość czy wreszcie emocjonalność szablonowo kojarzoną z kobiecym pisarstwem. To pojęcie, które przez lata pozwalało ujarzmić jej wielopoziomową ekspresję, spłycić ją i zredukować do stereotypu.

Robert Lowell pisał o jej wierszach, że „grają w rosyjską ruletkę z sześcioma nabojami w magazynku" – i w istocie, zawierają one w sobie niepokorny ciężar, ale jest w nich też duża doza zabawy konwencją, ironii, a nawet swoistej lekkości. Oraz komentarz społeczny. Plath, pisząc i tworząc swoje obrazy, wykracza daleko poza ramy poetyckiej spowiedzi, która z góry stawiałaby ją w pozycji petentki, żałującej za przewinienia, wylewającej na osoby czytające swoje emocjonalne sekrety.

Widać to choćby w „Lady Łazarz", gdzie poetka przyjmuje też autoironiczny ton i bawi się ekspozycją swoich myśli – opisując „podgryzający fistaszki tłum [który] / Pcha się, by patrzeć", jak jej ciało odwijane jest z całunu i stwierdza dobitnie „umieranie / Jest sztuką jak wszystko. / Jestem w niej mistrzem" (tłum. Ewa Fiszer).

Obraz przemalowany

Zima roku 1963 była jedną z najmroźniejszych w historii Wielkiej Brytanii. Temperatury sięgały minus 20 stopni. Mieszkanie, które wynajęła Plath po rozstaniu z mężem, było w opłakanym stanie: ogrzewanie nie działało, a do wanny z kranu zamiast wody lała się ciemna maź. Poetka miała przepisane leki przeciwdepresyjne i leki nasenne, które brała na zmianę, a o których negatywnym współdziałaniu nie poinformowali jej lekarze. 11 lutego odebrała sobie życie, wkładając głowę do piekarnika. Wcześniej starannie zabezpieczyła drzwi pokoju dzieci kocami.

„Brak mi słów, by wyrazić, jak bardzo wszyscy w redakcji byli zszokowani na wieść o śmierci Sylvii Plath. Jej wiersze były niezwykle podziwiane" – pisał redaktor działu poezji „New Yorkera" do Teda Hughesa niecałe dwa tygodnie po jej samobójstwie. Redakcja tygodnika, który był tak kluczowy dla ambicji artystycznych Plath, i w którym zdążyła opublikować dziewięć wierszy, wysłała na jej pogrzeb okazały wieniec.

Jednocześnie zwrócono się do Hughesa z prośbą, by podjął się redakcji tekstów, które przed śmiercią złożyła do druku, i które miały ukazać się w „New Yorkerze". Do Hughesa trafił też czek za ich publikację. Nie był to ostatni raz, kiedy mąż miał redagować teksty zmarłej żony.

Jej słynny tom poetycki pt. „Ariel" ukazał się dwa lata później. Hughes usunął z maszynopisu wiersze, które uważał za zbyt osobiste i pokazujące go w negatywnym świetle. Zmienił też kolejność utworów. I choć Plath chciała, aby „Ariel" zamykały obrazy pozytywne, nawiązujące do wiosny, to układ wierszy, który stworzył Hughes, eksponował te cięższe i mroczniejsze obrazy. W ten sposób głos Plath po jej śmierci na długo został poddany cenzurze, ale też – jak podkreślają zarówno Heather Clark oraz Van Duyne w swoich książkach – przemalowany tak, aby zdawał się bardziej desperacki i nieprzejednany.

Zmiany, które Hughes naniósł w wierszach zmarłej żony, stworzyły fundament pod odbiór jej twórczości na wiele lat – to negatywny obraz artystki skoncentrowanej na sobie, nieodpowiedzialnej, żyjącej sztuką. W 1998 r. Hughes opublikował tom poetycki „Listy urodzinowe", w którym podjął próbę rozliczenia się z przeszłością i opisał swoją perspektywę na rozpad małżeństwa z Plath i fundamentalny wpływ, jaki jej śmierć miała na resztę jego życia.

Podwójna tragedia

Działania Hughesa bezpośrednio po śmierci Plath stały się obiektem ostrej krytyki. Badaczki literatury przez dekady obwiniały go za to, że swoim romansem popchnął żonę do samobójstwa, a w jego cenzurze poezji Plath widziały próbę uniknięcia odpowiedzialności za własne czyny i kolejny przejaw męskiej przemocy – już nie fizycznej, ale intelektualnej. W latach 70. i 80. fani i fanki twórczości Plath często pojawiali się na jego spotkaniach literackich, krzycząc „morderca!".

Wiele osób nie mogło pogodzić się też z faktem, że zmarła została pochowana pod nazwiskiem „Sylvia Plath Hughes".

Fakt ten wywoływał narastające oburzenie wśród fanów jej poezji. Grobowiec wielokrotnie niszczono, starając się usunąć jego nazwisko i protestując przeciw temu, że poetka została pochowana daleko od domu, w północnej Anglii. Jak pisze Heather Clark, dziś przy grobie Plath spadkobiercy poety pełnią dyżury, aby ochronić napis przed dewastacją.

Tragicznie zakończył się też związek Hughesa z Assią Wevill, dla której porzucił żonę. Kilka lat później odebrała życie sobie i czteroletniej córce, korzystając dokładnie z tych samych środków co Plath w czasie swoich prób samobójczych: tabletki nasenne i piekarnik gazowy.

Wcześniej przez wiele lat spotykała się z publicznym ostracyzmem. Dopiero wydana sześć lat temu książka Julie Goodspeed-Chadwick pt. „Reclaiming Assia Wevill" (Odzyskując Assię Wevill) próbuje zbudować nieco bardziej złożoną historię tego, co stało się między nią, Plath i Hughsem. W szczególności analizuje historię nagonki, której stała się ofiarą po śmierci Plath, i podejmuje próbę zrozumienia skomplikowanej historii niemieckiej poetki nie tylko jako *femme fatale*, która rozbiła słynne literackie małżeństwo.

W potrzasku

Zmarła w tym roku poetka Krystyna Miłobędzka poświęciła Plath jeden ze swoich wierszy. Wyobraża ją sobie „zgubioną i przywiązaną" w „klatce domu, w klatce ławki, w klatce parku". Zwraca się do Plath bezpośrednio z siostrzanym zrozumieniem: „co każda z nas ma i / winna: państwo dziecko mąż dom szkoła biuro / gdy budowałaś z klocków te długie powykręcane korytarze i małe pokoje, pewnie wtedy zużyłaś / całą swoją czułość, teraz nie masz czym gospodarzyć". Dla Miłobędzkiej historia Plath to opowieść o zamknięciu w potrzasku codzienności, w więzieniu udomowienia i ról społecznych.

Dla Janet Malcolm, dziennikarki „New Yorkera", klatką, w której zamyka się historia życia i twórczości Plath, jest cisza – czy raczej systemowy proces uciszania. W 1993 r. wydała książkę „Milcząca kobieta" (tłum. Mira Michałowska), w której opisuje nie tylko same koleje życia amerykańskiej poetki, ale sposób, w jaki były one opowiadane przez innych, oraz rolę, jaką w budowaniu jej historii odegrali historycy, biografowie i członkowie rodziny odpowiedzialni za zarządzanie jej majątkiem.



Heather Clark,
CZERWONA KOMETA. KRÓTKIE ŻYCIE I NIEŚMIERTELNA SZTUKA SYLVII PLATH,
przeł. Jarosław Mikos, Marginesy, 2025

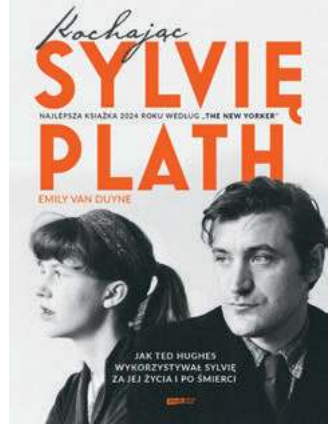

Emily Van Duyne,
KOCHAJĄC SYLVIĘ PLATH,
przeł. Agata Ostrowska, Znak, 2026

Malcolm pokazuje, jak na wiele różnych sposobów Plath była zawłaszczona i uprzedmiotowiona – w szczególności przez siostrę męża, Olwyn Hughes, która przez dekady ograniczała badaczom i badaczkom dostęp do materiałów archiwalnych. Ale też sama książka Malcolm krytykowana była za to, że w historycznym sporze, który przez dekady towarzyszył debacie o twórczość Plath, nie była bezstronna i próbowała bronić Hughesa i jego rodzinę.

Zniszczone pamiętniki

W języku polskim „Czerwona kometa" Heather Clark oraz „Kochając Sylvię Plath" Van Duyne ukazują się ponad sześćdziesiąt lat po śmierci pisarki, kiedy spory i kontrowersje wokół jej historii nie ustają. Sama zresztą książka Clark to jedenasta już biografia słynnej poetki – największa i najbardziej szczegółowa jak dotąd, liczy bowiem ponad tysiąc stron. I dzięki tej drobiazgowości buduje dystans względem poprzednich historii życia Plath i prowadzi osoby czytające przez życie amerykańskiej poetki miesiąc po miesiącu, odtwarzając trajektorię jej zmiennych doświadczeń wewnętrznych i zewnętrznych, pokazując, w jaki sposób przeplatała się ona z jej poezją.

Odwołuje się też do najnowszych odkryć archiwalnych. W 2017 r. na jaw wyszła korespondencja, którą Plath wymieniała ze swoją terapeutką Ruth Barnhouse na tygodnie przed śmiercią. Ich publikacja na nowo zaogniła dyskusję wokół ostatniego okresu życia poetki. Listy ukazują głęboką przyjaźń między kobietami i w tym kontekście Plath szczerze opisuje, jak Hughes pobił ją dwa dni przed poronieniem i jak życzył jej śmierci. Dokumenty te rzuciły nowe światło na okres poprzedzający samobójstwo Plath, o którym relatywnie niewiele było wiadomo, bowiem Hughes po jej śmierci poza ocenzurowaniem jej wierszy, zniszczył też pamiętniki, aby – jak twierdził – ochronić dzieci.

Clark włącza korespondencję do złożonego kalejdoskopu historii życia Plath, ale odmawia podążania utartymi szlakami czytania jej twórczości przez pryzmat tego, co najczęściej się z nią kojarzy: nieudanego małżeństwa, choroby, samobójczej śmierci. Odrywa jej figurę od stronniczych sądów i legend, którymi obrosła przez dekady – jako poetycka *femme fatale*, odrealniona indywidualistka czy nieszczęśliwa ofiara przemocowego męża.

Plath, którą opisuje, nie jest legendą, ale historyczną postacią – ambitną i kreatywną, często wewnętrznie skonfliktowaną. Pełną sprzeciwu wobec ograniczeń epoki stawianych kobietom. Jest wreszcie emanacją życia i siły twórczej, a nie męską fantazją na temat dylematów kobiecości. Jak podkreśla Clark, „dawne porównania do Medei i Elektry tracą znaczenie. Jeśli Sylvia musi być mitem, niech będzie Ariadną kładącą nici, które pomogą nam się wydostać z głębi labiryntu. Obyśmy jej nie opuścili" (tłum. Jarosław Mikos).

© MICHAŁ CHOIŃSKI

Witamina T

PIOTR KOSIEWSKI

WYSTAWA | Zmieniło się myślenie o tkaninie oraz jej miejsce w świecie sztuki. Dziś to jedno z najciekawszych zjawisk.

Łódzkie Triennale Tkaniny obchodzi w tym roku swoje 50-lecie. Pierwsza edycja odbyła się co prawda w roku 1972, jednak było to wówczas wyłącznie ogólnopolskie wydarzenie. Międzynarodowy charakter nadano mu trzy lata później. Dziś jest najstarszą i największą tego typu imprezą na świecie.

Triennale powołano w odpowiedzi na sukcesy rodzimych artystek i artystów na przełomie lat 60. i 70. Mówiono nawet wówczas o „polskiej szkole" tkaniny. W tym czasie radykalnie zmieniało się samo rozumienie materii, z którą zaczęto chętnie eksperymentować. Triennale przez lata zmieniało swoją formułę, z czasem stając się niszowe, podobnie jak sama tkanina, spychana na margines jako „skażona" rękodziełem, postrzegana jako materia przede wszystkim kobieca, chociaż przecież nie tylko kobiety z nią pracowały.

Symboliczne są słowa Magdaleny Abakanowicz, która po latach mówiła: „Abakany przyniosły mi sławę światową, ale obciążyły sobą jak grzechem, do którego nie wolno się przyznać. Uprawianie tkactwa zamyka drzwi do świata sztuki". Sama artystka konsekwentnie określała siebie jako rzeźbiarkę.

Zwrot

Najważniejsze zmiany w Triennale zaszły w roku 2019. Wtedy zdemokratyzowano jego formułę – zorganizowano otwarty nabór, którego wyniki przedstawiono pod osąd jurorów (wcześniej to oni typowali osoby do prezentacji). Rozszerzyło to możliwości większego wyboru prac, a przede wszystkim dało większe ich zróżnicowanie. Twórcy mogli sami interpretować to, co za tkaninę uważają.

Reforma imprezy szczęśliwie zbiegła się w czasie z powrotem zainteresowania tkaniną. Do ścisłego kanonu XX-wiecznej sztuki zaczęła być wpisywana np. twórczość Norweżki Hannah Ryggen, która od lat 30. ubiegłego stulecia w swych gobelinach mówiła o faszyzmie, reżimach autorytarnych, wojnach. Podobnie dostrzeżono dzieła indyjskiej artystki Mrinalini Mukherjee, autorki niezwykłych, przestrzennych prac.

Symbolem zmian stało się wreszcie wydanie przez prestiżowe Phaidon Press albumu „Vitamin T. Threads and Textiles in Contemporary Art", prezentującego setkę współczesnych artystek i artystów z całego świata. Pokazywał on, jak bardzo zmieniło się to, co tkaniną jest określane. Książka zwracała uwagę na jeszcze jeden fenomen: dla całego grona artystów i artystek tkanina stała się jednym z wielu mediów, którymi się posługują.



HAWA / MATERIAŁY PRASOWE X3

Złoty medal: Aziza Kadyri (Uzbekistan), Jej scena (II), 2024.



Charlott Markus (Holandia / Szwecja), Przepierzenie #8 (chmury i ekrany dźwiękowe), Iteracja II, 2023.

Materiały stały się obecne na najważniejszych wydarzeniach, z weneckim Biennale Sztuki na czele, są wystawiane w prestiżowych muzeach i galeriach. Przykuwają też coraz większą uwagę w Polsce, by wymienić twórczość Małgorzaty Mirgi-Tas, która w ciągu kilku lat stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych i docenianych twórczyń.

Co istotne, po tkaninę sięgają przede wszystkim osoby z młodego pokolenia, dla których okazuje się ona równie atrakcyjna jak fotografia czy wideo (wystarczy wymienić Pamelę Bożek, Przemka Branasa czy Lilianę Zeic obecnych na poprzedniej edycji łódzkiej imprezy).

Droga

Dzisiejsze Triennale stara się być, używając określenia kuratorek wystawy, Marty Kowalewskiej i Bukoli Oyebode-Westerhuis, „sejsmografem" przemian w sztuce. Sama impreza jest zresztą najbardziej międzynarodowa ze wszystkich wydarzeń artystycznych w Polsce. Artystki i artyści lub kolektywy związani z naszym krajem stanowią 24 proc. ogółu obecnych na Triennale. Znacząca część pochodzi z szeroko rozumianego Globalnego Południa.

Tegoroczną edycję imprezy zatytułowano „Dekonstrukcja/Rekonstrukcja". Wybierając to hasło, nawiązano do obecnej sytuacji na świecie: kryzysów, z klimatycznym na czele, gwałtownych zmian technologicznych i kulturowych, definiowania na nowo norm, systemów wartości czy tożsamości oraz coraz silniejszej kontry wobec tych przemian. „Szukamy śladów i próbujemy rekonstruować potrzaskane kultury i praktyki. Z ocalonych okruchów często pozbawionych pierwotnego kształtu staramy się odczytywać historię i wyznaczać drogę powrotu lub ścieżkę ku przyszłości" – piszą kuratorki. Tkanina wydaje się doskonałym obszarem do takich poszukiwań. Jednocześnie widoczny jest powrót do tradycyjnych technik, rehabilitacja haftu czy techniki żakardowej (do której ostatnio wrócili także projektanci ubrań).



Widok wystawy, po lewej praca Łukasza Wojtanowskiego (Polska) „Procesja Bożego Ciała (zielona)", 2023.

Jedną z najbardziej efektownych prac prezentowanych na Triennale jest „Procesja Bożego Ciała" Łukasza Wojtanowskiego, który połączył technikę batiku, wywodzącą się z Indonezji i innych krajów tego regionu, z haftem. Powstała praca, w której udało się odczytać na nowo część naszego dziedzictwa. Przewrotnie i zaskakująco – artysta odwołał się do tekstów Marcela Prousta i Jeana Geneta zafascynowanych katolicką obrzędowością.

Wojtanowski otrzymał drugą nagrodę tegorocznego Triennale. Trzecią wyróżniono Szwedkę Charlott Markus, której „Przepierzenie #8" łączy tkaniny z dźwiękiem. Markus stworzyła labirynt z zasłon pochodzących z dawnego szpitala psychiatrycznego w Hebronie. Każdą opatrzyła informacjami o pochodzeniu: o piętrze, na którym się znajdowała, rodzaju sali, w której niegdyś była zawieszona. Tkaniny, którym towarzyszy nagranie głosu artystki, stały się nośnikami pamięci o ludziach i wydarzeniach, których były świadkami.

Pierwszą nagrodę otrzymała Aziza Kadyri z Uzbekistanu. Jej praca opowiada o babci, która w połowie ubiegłego wieku, pod wpływem presji społecznej, zrezygnowała z marzenia o karierze tradycyjnej tancerki ludowej. Kadyri wraca do jej pragnień z młodości i zderza je z rzeczywistością, w której przyszło jej żyć. Jest to też opowieść o normach społecznych i kulturowych, zwłaszcza dotyczących kobiet. A tkanina w tej pracy jest tylko jednym z elementów, obok ekranu, na którym można zobaczyć zapis stworzonej przez artystkę choreografii.

Wspólnota

Jedną z najbardziej intrygujących rzeczy na Triennale jest współistnienie tradycji tkaniny z formalnymi poszukiwaniami. Łódzka impreza pokazuje, że dawne formy, reinterpretowane na nowo, pozwalają mówić o bardzo aktualnych sprawach. Tkanina zaś może być rozrachunkiem z przeszłością, trudnym dziedzictwem, spadkiem po kolonializmie, jak w pracy peruwiańsko-szwedzkiego artysty Oscara Lary, który wykonał kopię dwóch przedkolumbijskich tkanin, zrabowanych w Peru w latach 30. XX wieku i do 2021 r. przechowywanych w Göteborgu. Na ich przykładzie artysta opowiada o przewłaszczeniach kulturowych, przemieszczeniach dóbr kultury, polityce muzealnej. O rozproszeniu dziedzictwa podbijanych narodów i próbach jego scalania.

Jednocześnie tkanina okazuje się dobrym narzędziem do mówienia o kwestiach bardzo aktualnych. Litewska pracownia Handwork założona przez Diletę Deikė i Jelenę Škulis zorganizowała warsztat, którego uczestnicy i uczestniczki wyhaftowali wiersz ukraińskiej poetki Hałyny Kruk, poświęcony zbrodniom popełnionym przez Rosjan w Buczy, Irpieniu, Charkowie, Hostomlu i Mariupolu. Za podłoże posłużyła tkanina, będąca pamiątką ukrytą przez litewską rodzinę podczas II wojny światowej przed sowieckimi żołnierzami. Powstała praca o przemocy i jej ofiarach, ale istotny był sam proces powstawania dzieła. Wspólna praca, bycie razem, współdziałanie.

Ważny jest wspólnotowy wymiar tworzenia, a tkanina ze swej natury temu sprzyja. Podobnych przykładów w Łodzi jest zresztą więcej. Tuż obok pracy kolektywu Handwork zawisł efektowny gobelin „The Tibbetts Estuary Tapestry". To dzieło stworzone przez Anę de la Cuevę i Matthew López-Jensena we współpracy z 95 mieszkańcami Bronksu i innych części miasta. Pokazuje mapę fragmentu tej nowojorskiej dzielnicy, która ma przejść rewitalizację – to jedna z największych inwestycji budowlano-infrastrukturalnych w mieście. Wyhaftowana tkanina przedstawia stan aktualny, ale też wizję mieszkanek i mieszkańców, jak to miejsce powinno w przyszłości wyglądać.

Jest wreszcie na Triennale praca „Pamięć pozostaje" Małgorzaty Markiewicz. Wcześniej artystka wykonała monumentalną „Kurtynę Kobiet" dla Teatru im. Juliusza Słowackiego, upamiętniającą 130 kobiet związanych z Krakowem. Pozostałe po tej pracy resztki użyła do stworzenia kolejnej, skromniejszej. Tym razem wyhaftowała na niej złotą nicią imiona i nazwiska kobiet ważnych dla niej, ale też m.in. dla osób, które były współwykonawczyniami kurtyny dla krakowskiego teatru. Upamiętniono w ten sposób te, które często pozostają niewidzialne, niedostrzegane, anonimowe.

To praca o pamięci powstała z tego, co odrzucone. Z resztek pozornie bez znaczenia. Być może właśnie w tym tkwi niezwykłość tkaniny, która pozwala wykorzystać to, co już istnieje, a jednocześnie nieustannie przechodzić metamorfozy. Przypomina bowiem, jak piszą kuratorki wystawy, „ciało świata", które „jak żadna inna materia pozwala na wprowadzanie zmian", przekształcanie, odnawianie się. ©

18. Międzynarodowe Triennale Tkaniny, Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, wystawa czynna do 12 kwietnia 2026 r.

Kto jest górą



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Sięgając po erotyczny thriller, Michel Franco próbuje zabrać głos w temacie nierówności i ich następstw. A szczególnie w sprawie zaostrzenia antyimigranckiego prawa w USA.

Zostawionej na poboczu ciężarówki od dłuższego czasu wydobywa się zduszony krzyk. Jest upalna noc, a w środku znajduje się kilkudziesięcioosobowa grupa Latynosów przemycony przez amerykańską granicę. Młody Fernando ma dużo szczęścia – w San Francisco czeka na niego pełna lodówka i czysta pościel. Oraz gorący seks, bo nad wszystkim czuwa Jennifer, bajecznie bogata Amerykanka w średnim wieku. To córka biznesmena, który słynie z akcji charytatywnych i mecenatu nad kulturą, Fernando zaś jest uzdolnionym tancerzem i ma nadzieję, że z pomocą wpływowej kochanki rozwinie swą pasję w USA.

Lecz film „Dreams", choć zaczyna się jak dramat społeczny, po czym skręca w śliskie rejony erotyki, okaże się kolejną opowieścią Michela Franco o międzyludzkich napięciach wywołanych przez głębokie nierówności. Historią nieco wypreparowaną z życiowego prawdopodobieństwa i przez to chwilami groteskową, film dobrze jednak oddaje dynamikę władzy w różnych jej wymiarach. Umowny podział na bogatą Północ i biedne Południe znajduje tutaj wyraz w perwersyjnym starciu na gruncie łóżkowym.

Franco, chociażby z racji meksykańskiego pochodzenia, często zajmuje się tematem przywileju i wynikłych z niego podziałów społecznych, również w swojej ojczyźnie. Najostrzej było w dystopijnym „Nowym porządku", gdzie wielka rewolta, rozpętana w trakcie weselnych uroczystości, całkowicie wymknęła się spod kontroli nie tylko rewolucjonistom, ale poniekąd i reżyserowi. Oskarżany był, zapewne wbrew jego intencjom, o „panikę elit" i powielanie rasowo-klasowych stereotypów. Z kolei późniejszy „Sundown" dziwnie rozmywał swój krytyczny kontur.

Tim Roth grał tam zamożnego i terminalnie chorego Brytyjczyka na swych ostatnich wakacjach i nie bardzo dało się wyczuć, czy egzotyzujące, to znów demonizujące Meksyk przedśmiertne obrazy należą do bohatera czy raczej do ich twórcy. Pod tym względem „Dreams" są filmem precyzyjnie opowiedzianym i prostym w przekazie, aczkolwiek pozostawiony w oryginale tytuł może brzmieć wieloznacznie. Oznacza zarówno sny, jak i marzenia czy urojenia, a bohaterowie zdają się uwięzieni we wszystkich tych stanach.

Wydaje się zrazu, że łącząca ich namiętność niweluje wszelkie różnice – etniczne, rasowe, ekonomiczne, związane z wiekiem... Ale to pozór i założycielska nierówność w kolejnych fazach związku zacznie się jeszcze bardziej nasilać. Z rozmaicie ukierunkowanym wektorem. Jennifer, zagrana chłodno przez Jessicę Chastain (wystąpiła wcześniej u Franco w „Pamięci"), od początku traktuje romans z nielegalnym imigrantem na swoich warunkach. Jest przy tym arystokratycznie blada i najczęściej nosi się cała na biało, czym natychmiast odpala u widza postkolonialny koncept „białej zbawczyni".

Jej sterylny, uporządkowany świat najwyraźniej pozbawiony był spoconych ciał i spontanicznych kontaktów, on zaś (gra go meksykański tancerz Isaac Hernández) desperacko potrzebuje stabilizacji i realnej pomocy. W każdej bowiem chwili grozi mu deportacja – chyba że zalegalizuje swój status. Lecz w tak niesymetrycznej relacji trudno o podmiotowe traktowanie, zwłaszcza wtedy, gdy ktoś skrzętnie ukrywa związek przed rodziną, w trosce o reputację i własne interesy. Niby więc układ sił jest czysto transakcyjny, jednakże seksualność trochę komplikuje jego oczywisty charakter. Zależność ściera się z potężnym uzależnieniem.

Dlatego, choć reżyserowi bliżej sercem do meksykańskiego tancerza niż do amerykańskiej milionerki, to i Fernando będzie tu z czasem brutalnie rozgrywającym – także w ramach swojej seksualnej przewagi. Jednocześnie wystudiowana kreacja Chastain pozwala zobaczyć w tej zimnej manipulantce drobne pęknięcia. Przebija przez nie obraz kobiety, która z racji wysokiej pozycji społecznej rozdaje prawie wszystkie karty, lecz i sama bywa zakładniczką – swojego komfortu, wieku, rodzinnych zależności. Nie przypadkiem jedyny moment, kiedy bohaterowie romansują przy otwartej kurtynie, ma miejsce w Meksyku. Narasta konflikt osobistych interesów: podczas gdy ona wolałaby tam przeflancować swój zakazany romans, on szanse na baletową karierę widzi w Kalifornii. W obu przypadkach coraz trudniej będzie mówić o czystych intencjach.

Sięgając po erotyczny thriller, Franco próbuje zabrać głos w temacie nierów-



MATERIAŁY PRASOWE

DREAMS
– reż. Michel Franco. Prod. Meksyk/USA 2025. Dystryb. Best Film. W kinach od 9 stycznia

Michel Franco urodził się w Meksyku i już swoim reżyserskim debiutem, „Daniel i Ana" (2009), zyskał międzynarodowe uznanie. Kolejne jego filmy, „Pragnienie miłości" (2012), „Opiekun" (2015), „Nowy porządek" (2020) czy „Pamięć" (2023), zdobywały ważne nagrody na festiwalach w Cannes i Wenecji. Jessica Chastain czy Tim Roth to nazwiska, które powracają ostatnio w jego kinie.

Na zdjęciu: kadr z filmu „Dreams"

ności globalnych i ich tragicznych następstw. A szczególnie w sprawie zaostrzenia antyimigranckiego prawa w USA i niepewnego losu swoich ziomków tamże, spychanych w niewidoczność i często wykorzystywanych. Erotyczność „Dreams" wskazuje na dwuznaczny i głównie toksyczny charakter relacji społecznych w kontekście migracyjnym. Obie strony desperacko siebie nawzajem potrzebują, lecz to strona silniejsza (acz mniej witalna) wyznacza tej drugiej miejsce, często lekceważąc czy tłamsząc jej rzeczywisty potencjał.

W filmie Franco widać dobrze tę dysproporcję na przykładzie kultury wysokiej. Ojciec Jennifer sponsoruje galerie czy szkoły baletowe, także w Meksyku, doczekał się z tego tytułu honorowych tablic i prywatnych lóż w teatrach. Tymczasem taneczny geniusz, czyli Fernando, ma znikome szanse, by zagrać na amerykańskiej scenie Czarnego Łabędzia, zasiąść z rodziną Jennifer przy jednym stole, a na prestiżowy spektakl będzie musiał sobie wyżebrać bilet, tańcząc na ulicy. Nie ma bezpośredniego styku między tymi dwoma światami, jedynie doraźna użyteczność i powierzchowna co najwyżej fascynacja.

Franco nie zatrzymuje się jednak na samych oskarżeniach, interesuje go proces, który sprawia, że wspomniany wyżej układ zmierza ku obopólnej destrukcji. W burzliwym finale trochę za bardzo odsłania schematyczność tej mechaniki: wiadomo, że zawsze ktoś musi być górą, że przemoc wyzwala przemoc, a żadna namiętność nie ma takiej siły, jak czyjeś zranione uczucia. Równocześnie odpychające swym chłodem kadry Yvesa Cape'a pozostają w mocnym kontraście z cielesnością (nie tylko erotyczną) dwójki bohaterów.

W niej kryje się jakaś filmowa prawda, nawet jeśli wydaje się zbyt uproszczona jak na globalną metaforę i zbyt wykoncypowana jak na opowieść o zmanipulowanej bliskości i prymitywnej zemście. „Potrzebujecie naszych ciał" – ironizuje twórca „Pragnienia miłości" i Ameryki w ten sposób nie odkrywa. Za to raz jeszcze stara się trochę podważyć słuszne diagnozy i zmącić fabularne atrakcje. ©

Lektor:
Dziś, tylko cokolwiek dalej

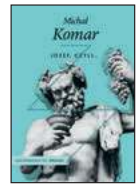

▪ *Michał Komar,*
JÓZEF, CZYLI...,
Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2025, ss. 418.

Cywilizacja Życia i Prawdy, Legion Komandosów Zbawiciela rywalizujący z Chorągwią Husarzy Maryi. Prezes banku centralnego, który bierze udział we mszy świętej przebłagalnej do Maryi Matki Nieustającej Pomocy o obniżenie inflacji o 15,2 procent. Biczownicy przed Pałacem Prezydenckim. No i Patron Państwa („pół psiej pizdy", jak mówi o nim narrator, znający go z czasów szkolnych), który trwa, choć zmieniają się rządy i pokolenia, „przyjmując miłosne hołdy jednej połowy narodu i deprawując nienawiścią drugą połowę". Brzmi cokolwiek znajomo? Czyżby nowa powieść autora „Piekła Conrada" miała się okazać dystopijnym proroctwem?

A kim jest ów narrator, tytułowy Józef (lat 79)? To znany reżyser o bogatym dorobku. Dlaczego jednak niesłusznie oskarża się go o... kradzież scenografii do „Burzy" Szekspira, którą chciał właśnie wystawić? I dlaczego ta wiadomość rozgrzała do białości internet, osiągając ogromne zasięgi, a komentarze nienawistne („Powiesić, obciąć zwiędłe jaja" – domaga się Matka Czworga Dzieci, Narodowiec zaś dodaje: „Wypier...aj do Usraela") mieszają się z wyrazami solidarności; dla połowy z miliona komentujących Józef jest buntownikiem i nosicielem prawdy. Cóż, ten mechanizm też jakby znamy...

Szaloną jest jazdą ta opowieść, która zaczyna się efektownym samobójstwem w wielkanocną niedzielę: „Mój przyjaciel Waldemar, kompozytor, malarz i poeta, z którego sowicie opłacanych utworów promienieje zachwyt nad dziełem Stworzenia oraz radość z powodu przepełniającego artystę zachwytu nad samym sobą, połknął kilkadziesiąt pastylek nasennych, popił szklanką denaturatu i podciął sobie żyły. Następnie wyszedł na taras z wiosennie wdzięczącymi się hiacyntami i skoczył z dziesiątego piętra". Cytat dla rozbudzenia apetytu, choć może lepsze byłoby menu stypy w restauracji U Szczęśliwego Sylena, ze szczególnym uwzględnieniem cielęcej grasicy.

Ulubioną moją postacią jest pani Flora, oparcie dla bohatera i ostoja w oszalałym świecie, choć dygresjami swoimi przyczynia się trochę do ogarniającego nas groteskowego chaosu. A Bogumił, właściciel U Szczęśliwego Sylena, trzeźwo koryguje już na początku rozpędzonego narratora – nie, nie polerował zabytkowych luster irchą z moszny słonia, słonie bowiem nie mają moszny. Nie podał też na stypie świeżych poziomek, bo nie ma ich w porze Wielkanocy. Ale może mogłyby być? ©℗



MATERIAŁY PRASOWE

■ **JEDYNA**, *Vince Gilligan, Gordon Smith, Apple TV*

Żaden inny serial w tym roku nie miał tak mocnego punktu otwarcia jak „Jedyna" – nowa produkcja Vince'a Gilligana, twórcy „Breaking Bad". Naukowcy odbierają radiowy komunikat z kosmosu. Zawiera on kod wirusa, który infekuje planetę. Umierają miliony, a cała pozostała ludzkość łączy się w jeden wielki umysł, dzielący wspólną wiedzę i wolę. Prawie cała: odporne okazuje się kilkanaście osób, w tym bohaterka, Carol, z której perspektywy patrzymy na wydarzenia. Zjednoczeni są gotowi spełniać każde jej życzenie, a przy tym pracują nad czymś, co najbardziej przeraża kobietę: sposobem połączenia jej z resztą. Gilligan i jego ekipa potrafią zadbać o to, by każdy kolejny odcinek wciągał nas coraz głębiej w świat przedstawiony i zagadkę, którą Carol próbuje rozwiązać. Świetnym pomysłem jest wybór bohaterki: zgorzkniałej cyniczki piszącej romanse o piratach uwodzących damy, które sama uważa za kicz tworzony po to, by opłacić rachunki. Fascynujące są też filozoficzne konteksty serialu. Kosmiczny wirus zaprowadza autentyczną wspólnotę wszystkich ludzi na Ziemi, kończy z wojną, nierównościami, marnotrawstwem – a jednocześnie, podobnie jak bohaterka, nie możemy postrzegać tej wspólnoty inaczej niż jako śmiertelnego zagrożenia dla ludzkiej podmiotowości. Rozmowy Carol z osobami dysponującymi świadomością i wiedzą całej ludzkości przypominają ugrzecznione konwersacje z AI. Serial można więc czytać jako głos w debacie o statusie człowieczeństwa w epoce sztucznej inteligencji.

© JAKUB MAJMUREK

■ **CO ROBI ZDJĘCIE**, *red. Bartosz Flak, Martyna Nowicka, Agnieszka Olszewska, Czarne, MuFo, Kraków-Wołowiec, 2025 r.*



Wspólna publikacja MuFo i wydawnictwa Czarne to książka, która pokazuje fotografię jako zjawisko wielowarstwowe. Autorzy esejów są twórcami o różnych wrażliwościach i doświadczeniach, dzięki czemu otrzymujemy panoramę sposobów patrzenia i odczytywania fotografii w świecie, w którym tysiące obrazów zalewają nas każdego dnia. To, co szczególnie cenne, to różnorodność perspektyw. Autorzy przyglądają się fotografii od strony technologii, w tym również historycznych. Łukasz Zaremba stawia pytanie o masowość, która doprowadziła do kryzysu fotografii. Kaja Puto śledzi ścieżki, którymi fotografia podąża w służbie wojny w Ukrainie, budując obraz kraju ludzi niezłomnych. Monika Szewczyk-Wittek, uciekając od formy eseju, w krótkich rozmowach z cenionymi polskimi fotografami opowiada o pracy komercyjnej i granicach tego, co „na zlecenie", a co „dla siebie". Jeszcze inny głos, bo przeplatany literacką narracją, wnosi pisarz Radek Rak, dla którego urocza, archiwalna fotografia sprzed stu lat staje się pretekstem do opowieści o muzeum i sztucznej inteligencji. Przeszłość i przyszłość splatają się tu w sposób niezauważalny, a całość układa w opowieść o tym, że zdjęcie nie jest jedynie zapisem chwili, lecz aktem sprawczym: wpływa na pamięć, kształtuje opinie, buduje narracje o rzeczywistości, a często staje się przyczynkiem do budowania zdania o autorze (jak w przypadku *selfie*). W warstwie wizualnej fotografie pełnią funkcję komentarza, dopowiadają to, czego nie można przekazać słowem. To publikacja, która przypomina o sile obrazu, ale jednocześnie ostrzega przed jego oczywistością. Warto po nią sięgnąć choćby po to, żeby dowiedzieć się, jakie zdjęcie było pierwszą fotografią opublikowaną w internecie.

©℗ JACEK TARAN

■ *Kathy Acker*, **IMPERIUM POSTRADANYCH ZMYSŁÓW**, *przeł. Patrick Leftwich, Ha!art, Kraków, 2025*

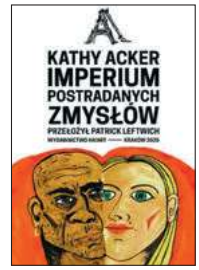

„Demokracja jest starą dyskretną rodziną" – mówiła ustami jednego z bohaterów. W swoich wywrotowych tekstach nieustannie zmuszała tę „rodzinę" do zwierzeń – wywlekała na wierzch brud i toksyny skryte w tkankach eleganckich miast, sięgała za kotarę pustych słów i pod podszewkę pragnień. Kathy Acker to amerykańska powieściopisarka, eseistka, poetka i performerka. Jej twórczość jest świadectwem nieustannych prób przesuwania granic – poszukiwania nowych rodzajów bliskości, sposobów ekspresji i form rewolucji. Pisanie było dla autorki narzędziem krytyki patriarchatu i kapitalizmu, formą oporu, a także przestrzenią dla niewypowiedzianych wprost pytań o granice moralności. W tym sensie można uznać ją za kontynuatorkę tradycji zapoczątkowanej przez wielkich XX-wiecznych skandalistów, takich jak André Gide czy Jean Genet. Acker jednak zdecydowanie odważniej eksperymentuje z formą – jej teksty są rwane, asocjacyjne, pełne niedopowiedzeń, a chwilami wręcz afabularne. Amerykanka bywa więc uznawana za postmodernistkę, przedstawicielkę *nouveau roman* czy pisarkę noise'ową. Polski czytelnik może kojarzyć ją z feministycznej, trawestującej „Wyspę Skarbów" Stevensona, „Kici, Króla Piratów" oraz „Krwi i flaków w szkole średniej" – psychodelicznej opowieści o nastolatce uciekającej przed kazirodczym związkiem z ojcem. W wydanym niedawno „Imperium postradanych zmysłów" znajdziemy chyba wszystkie „ulubione" wątki autorki. Książka pomyślana jest jako dwugłos Thivaia i Abhor – pary na wpół ludzkich, zszarganych przez życie odszczepieńców, którzy błąkają się po dystopijnym Paryżu w poszukiwaniu ujścia dla własnej złości, odrobiny ciepła i wytchnienia. Tak naprawdę trudno tu jednak mówić o jakimś „miejscu akcji" i mających jasno wytyczone granice postaciach. Ta proza to nieokiełznany strumień pragnień i fetyszy, który przepływa przez zmieniające się jak w grze komputerowej lokacje. Jej prawdziwym bohaterem jest przedziwny, panseksualny świat, który został wydrążony przez kapitalizm, a następnie splądrowany przez masochistyczną rewolucję. Acker co rusz sprawia, że chcemy z niego uciec, pokazując jednocześnie, że nie ma dokąd. © ADAM WOŹNIAK



TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 01-02/2026

POLSKA KULTURA NA ŚWIECIE

Otwarcie wystawy **FAMILIAR STRANGERS**, będącej głosem diaspor i mniejszości mieszkających w Polsce. Bozar w Brukseli, marzec 2025 r.

KUBA CELEJ / IAM

Rok 2025 był przełomowy dla obecności polskiej kultury na arenie międzynarodowej. Instytut Adama Mickiewicza, we współpracy z partnerami w kraju i za granicą, zrealizował cztery strategiczne programy: zagraniczny program kulturalny Polskiej Prezydencji w Radzie UE, UK/Poland Season 2025, Sezon Kulturalny Polska–Rumunia 2024/2025 oraz program kulturalny towarzyszący Expo 2025 w Osace. Projekty te umocniły wizerunek Polski jako kraju nowoczesnej, zaangażowanej i otwartej kultury.

Program prezydencji UE pod hasłem „Culture Sparks Unity" promował młode pokolenie artystów, sztuki performatywne i wizualne oraz projekty solidarnościowe odnoszące się do wojny, migracji i praw człowieka.

UK/Poland Season 2025 – największy w historii program współpracy kulturalnej Polski i Wielkiej Brytanii – objął ponad 500 wydarzeń, z wyraźnym sukcesem polskiej muzyki, filmu, designu i sztuk wizualnych, zwieńczonym historyczną obecnością Polski na Edinburgh International Festival.

Podczas Expo 2025 w Osace polska kultura zaistniała w przestrzeni miasta dzięki współpracy polsko-japońskiej w muzyce, modzie, sztukach wizualnych i performatywnych.

Z kolei Sezon Polska–Rumunia potwierdził potencjał dialogu międzykulturowego, którego symbolem stały się wspólne projekty muzyczne.

Mijający rok uwidocznił także silne trendy: rosnącą rolę polskich kuratorów na świecie, renesans zainteresowania artystkami XX wieku (Abakanowicz, Szapocznikow, Pinińska-Bereś), dynamiczny rozwój polskiej choreografii, interdyscyplinarność, zwrot ku rzemiosłu, technologiom (AI, VR, AR) oraz tematom klimatu, tożsamości i wspólnoty.

Zapowiedzi IAM na 2026 rok – m.in. Gwangju Biennale, wystawy w Wiedniu, Pradze i Seulu – potwierdzają trwałą i rosnącą pozycję polskiej kultury w globalnym obiegu. ©

Jak wysiedzieć rewolucję

PIOTR KOSIEWSKI

Budowanie relacji oraz ich rozpad to jeden ze stałych wątków twórczości Marty Nadolle. Prace artystki można było oglądać w tym roku w Kiszyniowie.

Marta Nadolle studiowała na Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku oraz na warszawskiej ASP. Tę drugą ukończyła w 2014 r., broniąc dyplom w pracowni Jarosława Modzelewskiego. Przez lata prowadziła zajęcia artystyczne w WSM Żoliborz Centralny – do południa malowała, a po południu uczyła dzieci malarstwa i rysunku.

Zajęcia edukacyjne do dziś pozostały dla niej ważne. Niedawno wspólnie z Elizą Proszczuk podczas Accra Cultural Week 2025 przeprowadziła w Ghanie warsztaty łączące lokalne tradycje z własnymi praktykami artystycznymi. Każde dziecko w nim uczestniczące na kawałku tkaniny wyklejało ścianę dowolnego budynku architektury tradycyjnej z Polski i Ghany. Potem budynki zawisły obok siebie, tworząc różnorodne miasto.

W latach 2014-2018 Nadolle była asystentką w Pracowni Sztuki w Przestrzeni Publicznej warszawskiej ASP. Zaczęła także prowadzić zajęcia malarskie w Fundacji Atelier. Jednak, jak sama podkreśla, nauczanie było też życiową koniecznością. Podczas gali wręczenia Paszportów „Polityki" za rok 2023 mówiła o tym, w jak trudnych warunkach funkcjonują młodzi artyści i artystki. Na własnym przykładzie opowiadała, jak trudno żyć z samej tylko twórczości. Ten aspekt życia artystki zaprezentowany został podczas tegorocznej wystawy „Bujność. Sztuka kobiet w XXI w." w Kiszyniowie.

Odkurz chatę

Nadolle pochodzi z Międzychodu (Wielkopolska), a jej dzieciństwo i młodość przypadły na pierwsze dekady III RP, czas niełatwy zwłaszcza dla mieszkańców małych miast i wsi. Dlatego artystka opowiada w swojej twórczości o życiu osób, które po 1989 r. przybyły do Warszawy z mniejszych ośrodków. Tych wszystkich, którzy wrośli w to miasto i obecnie definiują jego charakter. Nie tworzy jednak idealizowanych wyobrażeń wielkomiejskiego życia. Nie pokazuje nowych, modnych, grodzonych osiedli, ale codzienność mieszkańców zwykłych, przyciasnych mieszkań w starych blokach.

Jej twórczość jest w dużej mierze autobiograficzna. Dotyczy spotkań i rozmów, które postronnym mogą wydać się błahe. Jednak to właśnie one, często bardziej niż przełomowe historyczne wydarzenia, ostatecznie definiują to, kim jesteśmy, dopiero upływ czasu potrafi pokazać ich prawdziwe znaczenie. Bywa również ironiczna. „Jestem 15 lat starsza, to ona powinna pierwsza powiedzieć dzień dobry" – zauważa bohaterka jednego z obrazów na widok napotkanej młodej osoby. „Z takimi brudnymi nogami na masaż?" – komentuje innym razem. „Jedziemy do kościoła, a ty odkurz chatę" – słyszy bohaterka obrazu, być może przy okazji odwiedzin w rodzinnym domu. A przedstawiana na tych i innych obrazach kobieta o blond włosach to sama artystka.

Prace Nadolle tworzą tym samym rodzaj wizualnego dziennika. Są zapisem relacji z kolejnych lat życia osoby, która analizuje swoje przeżycia, emocje, stan psychiczny. Otwarcie, czasami z brutalną wręcz szczerością. „Kompleksy są ze mną od zawsze. Rozwalają mnie i blokują, a równocześnie pchają do przodu i motywują. Próbuję je ogarnąć, ale zawsze wracają. Myślę... skąd się wzięły? Z mojego domu? Z krwi? Z otoczenia? Z bycia kobietą? A może z bycia Polką?" – napisała w tekście towarzyszącym tegorocznej wystawie w warszawskiej Galerii Leto (jej kolejną odsłonę do połowy stycznia można oglądać w BWA Kielce).

Kwiaty były super

Nadolle nie ukrywa swoich pomyłek. Mówi o zawiedzionych nadziejach, niespełnionych oczekiwaniach. Otwarcie i ze świadomością komplikacji, jakie mogą się wiązać z upublicznianiem uczuć. Także o tym, co dotąd było niewypowiedziane, znajdowało się w cieniu, chociaż dotyczyło spraw, które dotykają wszystkich. O strachu i bólu, o tęsknocie i miłości. „Cała trudność polega na tym, żeby zaprosić je do widzialności, wyprowadzając z przestrzeni zawstydzenia" – podkreślała Katarzyna Kasia w niedawno opublikowanym tekście poświęconym artystce.

Marta Nadolle przynależy do pokolenia, dla którego mówienie o swoich stanach psychicznych nie jest tematem tabu. Przeciwnie, to naturalna, wręcz konieczna część normalnego funkcjonowania – i jest to jedna z najważniejszych zmian, jakie zaszły w Polsce w nowym stuleciu. „Chociaż kwiaty były super" – komentuje bohaterka obrazu, leżąc w łóżku u boku jakiegoś mężczyzny. „A wydawał się taki spoko" – stwierdza innym razem, budząc się rano sama. Tworzenie związków, budowanie relacji, napięcia i rozczarowania temu towarzyszące to jeden ze stałych wątków w jej twórczości.

Marta Nadolle mówi przede wszystkim o sobie, a jednocześnie jej opowieści mają charakter uniwersalny. Być może dzieje się tak dlatego, że mówienie o własnych doświadczeniach nadaje im wiarygodność. Ostatecznie przełamują one wciąż funkcjonujące bariery, a nawet mogą pełnić funkcję terapeutyczną. Artystka zabiera nas bowiem – jak pisała w swoim tekście Kasia – w obszary, do których „wolimy się nie zbliżać. Myślimy o nich jako o ranach, traumach, złych wspomnieniach. Odcinamy się od nich, wyrastamy z nich". Czasem konfrontacja z nimi bywa koniecznością: „Trzeba przywołać wspomnienie, odpłakać je, poczuć jeszcze raz złą albo bezradną emocję,

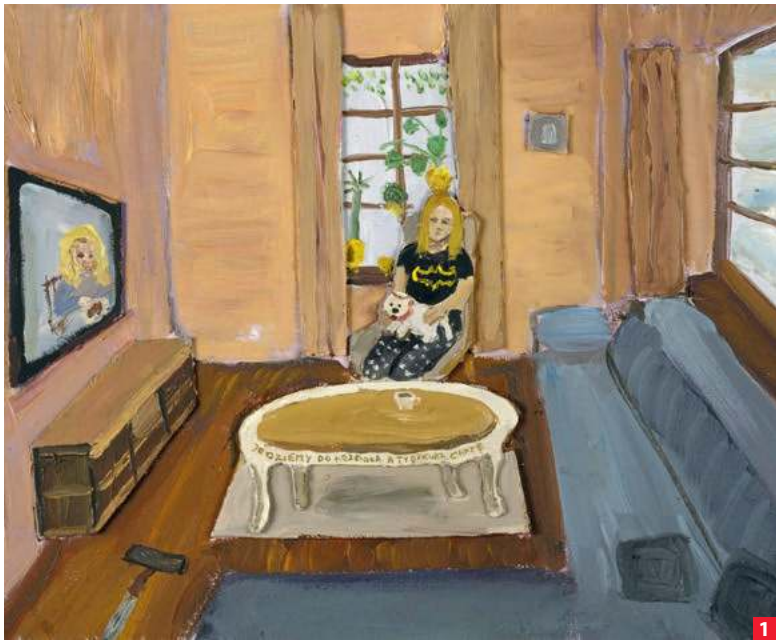





MATERIAŁY PRASOWE / GALERIA LETO X3

Obrazy Marty Nadolle:

1. **JEDZIEMY DO KOŚCIOŁA, A TY ODKURZ CHATĘ**, 2019 r.

2. **WIEM, ŻE BOLI, ALE WPROWADZAM CI WIĘCEJ PRODUKTU, ŻEBY LEPIEJ DZIAŁAŁO**, 2025 r.

3. **Z TAKIMI BRUDNYMI NOGAMI NA MASAŻ?**, 2023 r.

zgubić się w niej, ale ze świadomością, że można stamtąd wyjść".

Twórczość outsiderów

Nie bez znaczenia pozostaje forma prac Nadolle. Artystka posługuje się przede wszystkim malarstwem – nie zawsze jednak na płótnie. Niekiedy wykorzystuje znalezione przedmioty, które pokrywa farbą. Tworzy także rzeźby i rysunki, sięga po tkaninę: haftuje lub komponuje patchworki. Przez długi czas malowała niewielkie obrazy, w ostatnich latach realizuje również formaty większe. Przede wszystkim jednak uwagę zwraca ich charakterystyczna stylistyka: nieco naiwna, operująca wyrazistą kolorystyką oraz nieoczywistym stosowaniem perspektywy.

Wszystko to sprawia, że jej prace wydają się intymne, a jednocześnie bliskie twórczości, która przez długi czas spychana była na margines i odsyłana do szuflady opatrzonej etykietą „etnografia". Chodzi o sztukę, dla której wciąż brakuje jednoznacznego określenia – dawniej nazywaną naiwną lub art brut, dziś określaną mianem twórczości outsiderów. Sama artystka przyznaje się do fascynacji pracami Henriego Rousseau, Fridy Kahlo oraz Nikifora. Z tym ostatnim łączy ją między innymi częste umieszczanie w obrazach tekstów pełniących funkcję tytułów – stanowią ich integralną część.

Patrząc na prace artystki, łatwo nie dostrzec, że za codziennymi, niemal banalnymi historiami kryje się bunt. Być może Marta Nadolle należy do grona „mieszkanek Wspólnego Pokoju", o których pisała Joanna Mueller w wierszu „to nie tak jak myślisz, siostro": „przy kawce i pralinkach / organizują opór wobec wyrafinowanych form / opresji; nie tańczą rewolucji, lecz ją wysiadują". I czynią to skutecznie. Zresztą, jak dodaje poetka, „już samo bycie kobietą to emancypacja". ©



DIANA LELONEK / ARCHIWUM PRYWATNE

Diana Lelonek, instalacja **CHANGING ROOM**, Sea Art Festival, Busan, Korea Południowa, 2025 r.

Symfonia lodowców

DIANA LELONEK, ARTYSTKA:

Mamy zbyt mało miejsca na żałobę. Człowiek zmaga się z formalnościami, a potem musi szybko wracać do pracy. Towarzyszenie osobie umierającej – nikt nas tego nie uczy.

JACEK TARAN: Twoja twórczość wyrasta z badania relacji między istotami ludzkimi i nieludzkimi. Czy pamiętasz moment, gdy natura stała się bohaterką Twoich prac?

DIANA LELONEK: Ten temat pojawił się u mnie bardzo wcześnie. Zafascynował mnie problem przedmiotów wyrzucanych na dzikie wysypiska. Zobaczyłam przestrzeń, w której zachodzi wiele procesów na styku nauk przyrodniczych, humanistyki i filozofii. Chciałam się temu przyjrzeć. Pomyśleć, czym dziś jest przyroda i jak splata się z kulturą, technologią. W odpadach można odkryć bardzo wiele – wystarczy uważnie obserwować „śmieciorośliny".

Pozostałości w Puszczy Białowieskiej mają dziś jeszcze inne znaczenie, są śladami ludzkich dramatów.

Kiedy w 2016 r. znalazłam w puszczy porośnięty mchem przedmiot, miałam inne skojarzenia, niż miałabym teraz, widząc podobny obiekt. Te same rzeczy dziś mocno przywołują tragedię na granicy polsko-białoruskiej.

Pamiętam projekt z 2017 r. – „Liban i Płaszów. Nowa archeologia". Dotyczył kamieniołomu Liban w Krakowie, związanego z obozem KL Płaszów. Znalazłam tam dzikie wysypiska i współczesne pozostałości, m.in. porośnięte mchem buty. Pokazałam je jako formę refleksji nad historią i pytania o przyszłość. Moje projekty często wyrastają z lęku przed przyszłością w antropocenie, kryzysem klimatycznym, kruchością życia.

Czy jest w tym nadzieja na odrodzenie?

Moje najbardziej udane prace to te, w których jest ambiwalencja. Często odbiera się je jako ślady po degradacji środowiska, ale człowiek też jest przecież zagrożonym gatunkiem. Szóste wielkie wymieranie i konsekwencje kryzysu klimatycznego dotykają nas już teraz – tyle że my żyjemy w uprzywilejowanej części świata. W wielu miejscach ludzie umierają lub żyją w skrajnych warunkach z powodu susz albo powodzi.

Postapokaliptyczny obraz.

Ten wątek jest obecny, ale równolegle istnieje też nadzieja. Widzę ją w procesach zachodzących na marginesach – w środowiskach prekarności, na terenach skażonych, porzuconych, w dzikich wysypiskach. W sposobie, w jaki rośliny próbują zaanektować plastik czy fragmenty obuwia, widzę siłę i sprawczość istot nieludzkich. One uczą pokory. Ich ogromna, niewidoczna praca pokazuje, że możliwe są różne sposoby współistnienia. Chciałam, by projekty kierowały uwagę i szacunek ku tym niewidzialnym organizmom, ich sile i zdolnościom przetrwania. To może być lekcja dla nas.

Jak wzbudzić w sobie uczucia wobec mchów czy porostów? To wymaga dużej wrażliwości i uważności.

I właśnie tutaj fotografia okazuje się przydatna. Pozwala wyciągnąć z przestrzeni pojedynczy element, zatrzymać go i przekazać dalej. Jest narzędziem pomocnym i problematycznym, bo zawsze trochę estetyzuje. Pokazanie rzeczy, które na co dzień wydają się brzydkie, może jednak ułatwić uważne spojrzenie.

Czy Twoja sztuka ma wymiar aktywistyczny?

To forma krytycznej wypowiedzi – mam nadzieję, że może rezonować i oddziaływać. Narzędzia sztuki są pomocne i ograniczające, bo zawsze pojawia się pytanie: do kogo ta sztuka dociera?

Odczytuję Twoje działania jako apel: zatrzymajmy się, zauważmy innych, przestańmy widzieć człowieka jako centrum wszechświata.

Chciałabym, żeby tak było. To krytyka myślenia, że człowiek ma prawo zarządzać zasobami, ziemią, innymi gatunkami – decydować o populacjach, ciałach istot ludzkich i nieludzkich, o tym, które miejsca ochraniać, a które można zniszczyć. Uważam, że to myślenie jest destrukcyjne. Jako jednostki nie mamy wpływu na globalne procesy, ale możemy budo-

wać większą wrażliwość społeczną na innych – i tu sztuka może mieć swoją rolę.

Zawsze jednak wraca pytanie: do jakiej bańki docieramy?

Dlatego za jedno z najbardziej udanych doświadczeń uważam wejście z działaniem artystycznym do ogrodu botanicznego. To miejsce odwiedza szeroka publiczność – ludzie o różnych doświadczeniach i wiedzy. Przychodzą, by pobyć w przyrodzie, odpocząć, miło spędzić czas.

Zrealizowałam tam projekt „Nowy dział śmieciorośli", takie „zhakowanie" przestrzeni ogrodu – wprowadzenie do niej elementów niewygodnych: śmieci porośniętych roślinami, opisanych tak samo jak rośliny w klasycznych gablotach botanicznych.

To było wyjście poza pole sztuki do miejsca, gdzie ludzie przychodzą poznawać przyrodę. Ogród botaniczny selekcjonuje gatunki – prezentuje te atrakcyjne, uporządkowane. Ja wprowadziłam tam coś nieprzyjemnego, ale prawdziwego – coś, co naprawdę dzieje się w naturze.

Była też plaża w Korei...

Tak, w Busan. Cała ekspozycja znajdowała się na popularnej plaży. Projekt realizowany we współpracy z naukowcami trafił do szerokiej publiczności, głównie dzięki formie instalacji. Była to przebieralnia – funkcjonująca jak zwykły plażowy „changing room", a jednocześnie zawierająca informacje i scenariusze przyszłości. Można było się tam przebrać i równocześnie wejść w narrację o zmianach klimatu.

Co było treścią tej instalacji?

To kontynuacja projektu prezentowanego wcześniej m.in. w Kilonii. Powstaje panorama miejsca, w którym praca jest pokazywana, a potem jej wariant – obraz hipotetycznej przyszłości. Instalacja na plaży sprawia, że widz ogląda jednocześnie aktualny pejzaż i jego możliwy wygląd za kilkadziesiąt lat. W Busan przedstawiłam wizję roku 2100 – podniesiony poziom morza, przegrzewające się wody i wynikające z tego zmiany ekosystemów. To wszystko zostało pokazane w formie postapokaliptycznego kolażu.

W tych wizjach zawsze jest obecna przyroda.



OLGA OZIERAŃSKA

DIANA LELONEK (ur. 1988) jest polską artystką wizualną, działającą na styku fotografii, instalacji i praktyk artystyczno-badawczych. W swojej twórczości bada relacje ludzi i istot nieludzkich, antropocen, żałobę oraz strategie przetrwania w warunkach kryzysu klimatycznego. Łączy sztukę z naukami przyrodniczymi, pracując z materią organiczną, odpadami i historycznymi technikami fotograficznymi. Realizowała projekty w ramach stypendium twórczego w Szwajcarii; jej prace prezentowano m.in. w Rzymie, w Irlandii podczas Belfast Photo Festival oraz na Sea Art Festival w Busan w Korei Południowej.

W Busan pojawiły się lasy namorzynowe – rośliny, które dziś migrują na północ, także tam, gdzie kiedyś nie występowały. Z jednej strony mogą stać się gatunkiem inwazyjnym, wypierającym lokalne rośliny. Z drugiej – stabilizują wybrzeża, spowalniają erozję. To dla mnie ważne: w procesach klimatycznych nic nie jest jednowymiarowe. Katastrofa może przynieść zagładę części populacji, a równocześnie stworzyć nowe formy życia. Świat nie jest prosty: zniszczenie i odradzanie, zagrożenie i adaptacja, śmierć i przetrwanie istnieją równocześnie. I w tym napięciu – mimo wszystko – jest cień nadziei.

Choć alarm i zagrożenie obciążają psychicznie tych, którzy ostrzegają.

To temat ujawniający problem współczesnego Zachodu: brak miejsca na smutek, żałobę, lęk. Nie mamy społecznego przyzwolenia na te emocje, choć trudno ich nie odczuwać. Ludzie potrzebują możliwości przeżycia żałoby – także po roślinach, zwierzętach i krajobrazach, które znikają.

Niedawno sama przechodziłam żałobę po bliskiej osobie i uderzyło mnie, jak bardzo nie ma na nią miejsca. Człowiek zmaga się z formalnościami, a potem musi szybko wracać do pracy. Towarzyszenie osobie umierającej – tego nikt nas nie uczy. Dlatego zaczęłam pisać o tym w kontekście umierania istot nieludzkich, bo emocje są podobne. Stworzyłam o tym kilka prac, np. instalację dźwiękową „Endling", kompozycję z głosów wymarłych gatunków ptaków, czy „Melting Gallery", symfonię topniejących lodowców.

Śmierć bliskiej osoby jest konkretna, a wymieranie gatunków wydaje się abstrakcją.

Tak, ale poczucie utraty wciąż istnieje, nawet jeśli nie potrafimy go nazwać. Realizowałam projekt „Zakopany krajobraz" o odkrywkach węgla brunatnego i ich konsekwencjach. Dokumentowaliśmy wysiedlone miejscowości, w których ludzie tracili domy, krajobrazy dzieciństwa, ogrody. Nie mogli wrócić, bo ten świat już nie istniał. Został przekopany, zmielony, zamieniony w krajobraz pożarcia. To także żałoba – tylko rozciągnięta na miejsca, nie na osoby.

Sięgasz po techniki XIX-wieczne: cyjanotypię, soligrafię.

W tych technikach wiele czynników wpływa na obraz, a sam obraz rodzi się w bezpośredniej relacji z materią: z promieniami słońca, ziemią, wodą, rośliną. Nie kontroluję wszystkiego. Pozwalam, by przyroda współtworzyła wynik.

W ten sposób fotografowałaś lodowce w Alpach.

Pierwszy raz użyłam cyjanotypii w pracy nad projektem w „Solarstalgia" w 2024 r. To projekt odnoszący się do żałoby po odchodzących lodowcach. Szukałam techniki, która pozwoli wypalić obraz lodowca bezpośrednio za pomocą światła słonecznego na tkaninie. Tak jak słońce wypala lodowce i tkaniny, którymi okrywa się je w celu spowolnienia topnienia. Powstała odbitka na tkaninie 4x5 metrów. Proces jej powstawania był doświadczeniem. ↦

↦ Podróż w Alpy i wspinaczka zimą na odpowiednią wysokość, żeby zamontować kamerę otworkową, potem powrót po dwóch miesiącach naświetlania, a następnie naświetlanie solarigrafii na tkaninach. W twórczości najbardziej fascynujący jest dla mnie proces, który dzieje się w terenie bezpośrednio w kontakcie z przyrodą.

A potem był jeszcze Festiwal Ekologie Kultury, gdzie to fotografowanie było czymś w rodzaju performansu.

Od początku chciałam, żeby to było współtworzone z ludźmi. Festiwal dotyczył kultury i ekologicznych rozwiązań, zależało nam więc, by scenografia nie wymagała produkowania nowych elementów. Użyliśmy dekoracji z poprzednich realizacji – fragmentów scenografii z koncertów, elementów znalezionych w mieście, śmieci. Jedyną nową warstwą była cyjanotypia. Zaproszeni goście kładli się na papierze razem z roślinami i naświetlali obraz własnym ciałem.

Rośliny pochodziły z miejskich nieużytków – gatunki ruderalne, które szczególnie lubię. Kontakt z nimi bywał przyjemny, ale też bolesny. Trzeba leżeć bez ruchu, pozwolić roślinie dotykać skóry, zaufać jej. Ta technika zmusza do zatrzymania – dosłownie i metaforycznie.

Przygotowujesz samodzielnie materiały światłoczułe?

Tak, ostatnio dużo eksperymentuję z różnymi technikami i mam wrażenie, że wracam do fotografii z innym podejściem – z większym szacunkiem wobec medium związanego z przyrodą. Fascynuje mnie np. antotypia – technika pozyskiwana z roślin, bez chemii, naświetlana długo w słońcu. Barwniki roślinne mają własną żywotność, obraz ewoluuje. Te obiekty są nietrwałe, delikatne.

Jednocześnie szukam alternatyw dla historycznych technik, bo wiele z nich opiera się na szkodliwych chemikaliach. Sama wykonuję pigmenty mineralne pozyskiwane z gliny, gleby, zwietrzelin i skał. I tu wraca więź z przyrodą. Bardzo lubię pracować w terenie.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

Malarz innej historii

PIOTR KOSIEWSKI

Mikołaj Sobczak, jeden z najpopularniejszych dziś polskich artystów, doskonale łączy rodzimą przeszłość z doświadczeniem innych narodów i społeczności.

Mikołaj Sobczak nieustannie odwołuje się do przeszłości. Jest – i to bynajmniej nie określenie na wyrost – prawdziwym malarzem historycznym. I to w czasach, kiedy gatunek ten uznano za martwy. Potrafi tworzyć płótna swym rozmachem nieustępujące słynnym „akademickim machinom", dziełom Jana Matejki czy Henryka Siemiradzkiego.

Artysta przywraca tym samym malarstwu funkcję polityczną, którą przez wieki pełniło. Chce, jak jego wielcy XIX-wieczni poprzednicy, wpływać na kształt pamięci, przywracać w niej miejsce kobiet oraz przedstawicieli mniejszości, które zostały uznane w oficjalnej narracji za „zbędne". Tworzy alternatywne opowieści, w których oddaje głos grupom marginalizowanym.

Jednocześnie w swych pracach stale odwołuje się do ważnych dzieł literackich i malarskich. Ich lista jest bardzo długa: od „Metamorfoz" Owidiusza i obrazów Tycjana, po dzieła Théodore'a Géricault czy Eugène'a Delacroix. W „Dragach niezłomnych" stworzył wzorowaną na micie żołnierzy wyklętych opowieść o queerowych wojowniczkach. W „Nowym Królestwie" zajął się historią anabaptystów i stworzonej przez nich w XVI-wiecznym Münsterze utopii.

Sobczak gra z wielowiekową tradycją malarstwa. Łączy realizm ze stylistyką komiksu, charakterystycznymi, wyrazistymi kolorami i ostro zaznaczonym konturem. Jest autorem prac na papierze, sięga również po ceramikę, tworząc naczynia przypominające słynne fajanse z Delft. Zajmuje się także performansem. Jego pracą dyplomową był z kolei film oparty na „Fauście" Johanna Wolfganga Goethego.

Sobczak współpracuje m.in. z niemieckim artystą Nicholasem Grafią, tworząc działania bliskie teatralnym, nawiązując jednocześnie do spektakli Tadeusza Kantora oraz *drag shows*.

Obecnie jest jednym z najmocniej obecnych w obiegu międzynarodowym polskich artystów. Przed paroma miesiącami w Kunstverein w Salzburgu można było oglądać jego wystawę „Moon, Sun, Mercury". ©

Mikołaj Sobczak, **MANTIS,** 2020 r.



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTY I KOLEKCJI RODZINY SERVAIS

Radosne fusion

MARTA KULA

Kinga Głyk swoją grą przykuła uwagę milionów odbiorców w internecie.

W 2016 r. opublikowała w social mediach film, w którym wykonuje słynne „Tears in Heaven" Erica Claptona (w opracowaniu Jeffa Berlina). Wideo stało się viralem, osiągając liczbę ponad 20 mln wyświetleń, a kariera 19-letniej wówczas Kingi Głyk nabrała rozpędu.

Basistka podpisała umowę z Warner Music Germany, a rok później ukazał się jej album „Dream", nagrany z międzynarodowym zespołem. Trzeba jednak podkreślić (choć trudno w to uwierzyć), że nie był to jej fonograficzny debiut – przed „Dream" wydała aż trzy płyty.

Głyk wychowała się w muzycznej rodzinie, co pozwoliło jej nauczyć się grać na instrumencie w sposób naturalny i niewymuszony. Rodzice nie zdecydowali się na zapisanie jej do szkoły muzycznej, nie chcąc nakładać na córkę presji. Kinga uczyła się poprzez wspólne doświadczanie; warsztat i umiejętności szlifowała pod okiem taty. To podejście w naturalny sposób pchnęło ją w stronę pełnej swobody muzyki jazzowej.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Kinga Głyk, basistka jazzowa. Przystanek Choszczówka, 5 października 2017 r.

Dziś dyskografia dwudziestoośmioletniej artystki to siedem albumów na których znalazły się także autorskie kompozycje i aranżacje. Poczynając od „Rejestracji", przez koncertową „Happy Birthday Live", aż po trzy płyty wydane w Warnerze: „Dream", „Feelings" i „Real Life". Jej muzyka to przykład zgrabnego fusion, łączącego elementy jazzu z rockiem i funkiem. Głyk, bez względu na to, czy gra w akustycznym kwartecie, czy tworzy płytę przepełnioną elektroniką – w każdej konfiguracji ma niezwykłe wyczucie i zachowuje swój styl, charakteryzujący się umiarkowaniem i rozumieniem roli gitary basowej w zespole, przy jednoczesnej wirtuozerii i ekspresji wynikającej z wielkiej radości gry wyniesionej z domu.

Tej jesieni Głyk zagrała na Placu Namba – jednym z centralnych punktów Osaki – reprezentując Polskę podczas Expo 2025. Wiosną basistka ruszy w trasę koncertową po Polsce. ©



RÓŻA SASOR / / MATERIAŁY PRASOWE ARTYSTY

Zespół Błoto w składzie: Latarnik, Wuja HZG, Cancer G, OlafSaxx

Grzyby i kwasy

MARTA KULA

Błoto to młoda jazzowa fala, która łączy jazz z elementami hip-hopu.

Nowy Jork lat 90. to miejsce fascynujące, składające się z tysiąca mikroświatów. Jednym z nich jest Williamsburg, północna część Brooklynu. To tam rodzi się illbient – gatunek łączący powtarzalność ambientu z hip-hopowym beatem. Muzyka pełna klubowego transu i dzikiego, ale zdystansowanego rytmu, tworząca dźwięki doskonale oddające uczucie niepokoju, który towarzyszy życiu w wielkim, industrialnym mieście.

To jeden z muzycznych światów, do którego odwołuje się wrocławski kwartet Błoto. Drugim jest jazz – muzyka nieokiełznanej improwizacji, która dała początek istnieniu zespołu. Marek Pędziwiatr *aka* Latarnik (instrumenty klawiszowe i syntezatory), Paweł Stachowiak *aka* Wuja HZG (bas), Marcin Rak *aka* Cancer G (perkusja) i Olaf Węgier *aka* OlafSaxx (saksofon tenorowy i perkusjonalia) to koledzy z grupy EABS, którzy podczas jednej z improwizowanych sesji nagraniowych zrozumieli, że chcą też grać w mniejszym składzie. Jako kwartet poszli w innym niż EABS kierunku, choć punkt wyjścia dla obu zespołów był podobny. EABS i Błoto to młoda jazzowa fala, muzyka eklektyczna, „nowe fusion". Współczesny jazz łączący elementy hip-hopu z groove'em i elektroniką.

Warstwa muzyczna jest dla członków grupy punktem wyjścia do opowieści o kondycji współczesnego świata. Swoją grą starają się uchwycić społeczne nastroje. Na „Erozjach" grali o degradacji środowiska naturalnego i społecznych podziałach, „Kwiatostan" inspirował się odradzającą w pandemii naturą. Dwie ostatnie płyty, „Grzybnia" i „Grzyby", oddają fascynację zespołu mykologią i traktują królestwo grzybów jako metaforę przystosowywania się do popandemicznej rzeczywistości oraz niestabilnego świata.

W tym roku grupa Błoto zagrała podczas jednego z największych rumuńskich festiwali muzycznych, Jazz in the Park, a jesienią wzięła udział w kilkudniowej rezydencji artystycznej w Kluż-Napoce. Koncert stanowił część Sezonu Kulturalnego Polska–Rumunia 2024/2025. ©

Autorka jest dziennikarką Radia 357

Połącz kropki

JULIA FIEDORCZUK

Ekopoetyka jest próbą myślenia o tworzeniu jak o formowaniu wspólnego domu. Chodzi o opowieści, metafory i języki, które pozwalają nam zamieszkiwać planetę w sposób odpowiedzialny.

Ekopoetyka jest jednym z tych pojęć, które brzmią świeżo i obiecująco, choć dla tych, którzy pracują z nim od lat, coraz częściej okazuje się problematyczne. Sama idea łączenia refleksji nad literaturą z namysłem ekologicznym wydaje się intuicyjna i potrzebna. A jednak termin „ekopoetyka" – mimo swojej pierwotnej otwierającej mocy – w dużej mierze przestał działać.

Pojęcie to pojawiło się w humanistyce anglosaskiej ponad dekadę temu, głównie w kontekście badań nad poezją amerykańską. Początkowo było próbą wyjścia poza wysoki modernizm i awangardowy formalizm w stronę myślenia, które rehabilituje materialność świata, przywraca językowi status elementu natury i traktuje literaturę jako jedną z praktyk zamieszkiwania Ziemi. W tym sensie ekopoetyka miała być ruchem „powrotu do świata" – do relacji, współzależności i wspólnoty ludzi oraz nieludzi.

Z czasem jednak los tego pojęcia stał się typowy dla wielu terminów humanistycznych. To, co początkowo było narzędziem krytycznym, zaczęło funkcjonować jako slogan. Przedrostek „eko" uległ dewaluacji: z trudnej, niekomfortowej wiedzy o współzależnościach i śmiertelności stał się etykietą marketingową, często wykorzystywaną w języku wellnessu i zielonego kapitalizmu. Tymczasem ekologia jako nauka nie oferuje prostych pocieszeń – przeciwnie, podważa nasze fantazje o autonomii i wyjątkowości człowieka.

Aby zrozumieć pierwotny sens ekopoetyki, warto wrócić do jej etymologii. Greckie *oikos* oznacza dom lub gospodarstwo domowe – wspólną przestrzeń życia. Z kolei *poiesis* odnosi się do aktu wytwarzania, nadawania formy materii w czasie, bliskiego rzemiosłu.

Ekopoetyka u swojego źródła jest więc próbą myślenia o tworzeniu jako o formowaniu wspólnego domu: nie tylko w sensie technicznym czy ekonomicznym, ale także wyobrażeniowym i symbolicznym. Chodzi o opowieści, metafory i języki, które pozwalają nam zamieszkiwać planetę w sposób odpowiedzialny.

Problem polegał jednak na tym, że pojęcie to bardzo szybko zaczęto zawężać do „wierszy o przyrodzie". Tymczasem poetyka nie dotyczy wyłącznie poezji – można mówić o poetyce filmu, reportażu, dyskursu publicznego czy sposobów mówienia. Ekopoetyka miała obejmować szerokie spektrum praktyk kulturowych, a nie jedynie tematyczną odmianę liryki.

Mimo tego zawężenia poezja pozostaje w tym kontekście szczególnie ważna. Jest jedną z nielicznych form językowych względnie wolnych od logiki rynkowej, a przez to domyślnie subwersywnych. Operuje oszczędnością, relacyjnością i uważnością na układ elementów – dokładnie tymi cechami, które są kluczowe dla myślenia ekologicznego. W wierszu nic nie istnieje w izolacji: znaczenie rodzi się z relacji, współbrzmień i napięć. W tym sensie poezja potrafi unaocznić fundamentalną zasadę ekologii: wszystko jest ze sobą połączone.

Z czasem stawało się jednak jasne, że ważniejsza od samego terminu jest praktyka. Ekopoetyka zaczęła funkcjonować nie jako teoria, lecz jako forma wspólnego działania: czytania, chodzenia, milczenia, bycia w konkretnych miejscach – zarówno tych zachwycających, jak i zdegradowanych. Tak rozumiana praktyka nie polega na przekazywaniu gotowej wiedzy, lecz na uczeniu się w sytuacji kryzysu, w niepewnych i trudnych warunkach. Jest sposobem reagowania na rzeczywistość, która nie daje komfortu ani stabilnych ram.

W tym sensie ekopoetyka – nawet jeśli porzucimy samo słowo – pozostaje żywa jako doświadczenie wspólnoty i uważnego zamieszkiwania świata. Pokazuje, że myślenie, język i wyobraźnia nie są abstrakcyjne ani oderwane od materii, historii i krajobrazu. Są ucieleśnione, lokalne i relacyjne. I być może właśnie ta lekcja jest dziś najważniejsza. ©



DIANA LELONEK / MATERIAŁY PRASOWE

Termin „ekopoetyka" może obejmować wiele praktyk kulturowych – to doświadczenie wspólnotowego działania w sytuacji kryzysu. Na zdjęciu: praca Diany Lelonek z serii **CENTRUM ŻYWYCH ISTOT**, 2016 r.

TRZECIA EDYCJA SERBSKIEJ SZKOŁY EKOPOETYKI, zorganizowana na początku listopada w Belgradzie, poświęcona była refleksji nad energią – w wymiarze ekologicznym, kulturowym i psychicznym – oraz poszukiwaniu nowych języków opisu współczesnych kryzysów środowiskowych. Zajęcia na temat poezji i tekstów nurtu solarpunk (radykalnej, utopijnej formy twórczości, popularnej zwłaszcza w Afryce i Ameryce Łacińskiej, która zwraca się ku słońcu jako źródłu nadziei) prowadziły Julia Fiedorczuk i Minja Tomić.

Programy Instytutu Adama Mickiewicza na rok 2026

ReSide

Celem programu rezydencji artystycznych ReSide jest wspieranie udziału polskich środowisk twórczych w międzynarodowej wymianie artystycznej. Program oferuje możliwość udziału w zagranicznych rezydencjach artystycznych, zapewniając warunki sprzyjające pracy twórczej, poznawaniu nowych praktyk artystycznych i kontekstów kulturowych oraz nawiązaniu relacji.

NetWorks

Program skierowany do przedstawicieli i przedstawicielek środowisk twórczych, którzy chcą budować kontakty na arenie międzynarodowej, zdobywać doświadczenia i rozwijać relacje w międzynarodowym środowisku artystycznym. Został stworzony z myślą o tym, by ułatwić uczestnictwo w wydarzeniach międzynarodowych, takich jak prestiżowe festiwale, targi branżowe, programy mentoringowe, kursy mistrzowskie, showcase'y czy sesje pitchingowe.

Kultura Polska na Świecie

Program wspiera obecność polskich artystek i artystów na międzynarodowej scenie. Obejmuje szerokie spektrum działań artystycznych – od koncertów i wystaw, przez udział w międzynarodowych festiwalach i tournée artystycznych, po konferencje, sympozja i inne wydarzenia twórcze. Każdy projekt musi być skierowany do odbiorców zagranicznych i odbywać się poza granicami Polski lub w przestrzeni cyfrowej.

W styczniu ruszają nabory do wszystkich programów. Szczegółowe informacje na www.iam.com.pl

Weronika Zalewska na Malta Biennale 2026

DRUGA EDYCJA MALTA BIENNALE odbędzie się w dniach 11 marca – 29 maja 2026 r. pod hasłem CLEAN | CLEAR | CUT. Motyw przewodni odnosi się do potrzeby głębokiej przemiany świata – oczyszczenia go z toksycznych zjawisk, przywrócenia klarowności myślenia i otwarcia nowych dróg w obliczu kryzysów politycznych, ekologicznych i kulturowych.

W PAWILONIE POLSKIM zaprezentowana zostanie wideoinstalacja „Archive of Hesitations" (Archiwum wahań) Weroniki Zalewskiej. Artystka sięga w niej po konwencję teleturnieju, przekształcając ją w narzędzie analizy sposobów rozpoznawania, oceniania i porządkowania wiedzy. Format, kojarzony z lekką rozrywką, odsłania tu swoje mniej oczywiste oblicze – mechanizm, który przez lata kształtował masową wyobraźnię, narzucając wiarę w jednoznaczne odpowiedzi. Kuratorką wystawy jest Ada Piekarska. Projekt jest osadzony w polskim doświadczeniu transformacji ustrojowej, kiedy wchodzenie do systemu wolnorynkowego wiązało się z gwałtownym przyswajaniem zachodnich modeli wiedzy, kompetencji i sukcesu. Teleturniej, jedno z najpopularniejszych mediów tamtych lat, staje się w instalacji Zalewskiej symbolem tamtej modernizacji: aspiracji, by „dogonić Zachód", często kosztem własnych, lokalnych tradycji pamięci i międzypokoleniowej wymiany.

PAWILON POLSKI na Malta Biennale 2026 jest organizowany przez Instytut Adama Mickiewicza i Galerię Bielską BWA, we współpracy z Ambasadą Rzeczypospolitej Polskiej w Valletcie oraz Miastem Bielsko-Biała – Polską Stolicą Kultury 2026.

Bogna Burska i Daniel Kotowski na La Biennale di Venezia 2026

JĘZYKI Z WODY to tytuł projektu, który zostanie zaprezentowany w Pawilonie Polskim na 61. Międzynarodowej Wystawie Sztuki – La Biennale di Venezia w 2026 roku.

AUTORAMI PROJEKTU są Bogna Burska i Daniel Kotowski. Kuratorkami są Ewa Chomicka i Jolanta Woszczenko, a w realizacji biorą udział m.in. Chór w Ruchu, Alicja Czyczel, Aleksandra Gryka i Magda Mosiewicz.

WYSTAWA bada formy komunikacji wykraczające poza język mówiony i ludzką perspektywę, czerpiąc z języka migowego Głuchych oraz dźwięków wielorybów. Odwołując się do ciała, gestu, ruchu i rytmu, projekt pyta o możliwość budowania nowych relacji, wspólnot i wyobraźni łączących dotąd odrębne światy. Aranżacja Pawilonu Polskiego połączy sztuki wizualne, muzykę i choreografię, tworząc przestrzeń doświadczenia komunikacji jako procesu cielesnego i wspólnotowego.

PROJEKT został wybrany spośród 95 zgłoszeń decyzją jury ogłoszoną 20 sierpnia 2025 roku w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki. Wystawę będzie można zobaczyć w Wenecji od 9 maja do 22 listopada 2026 roku. Organizatorką Pawilonu Polskiego jest Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 01-02/2026
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
PARTNERZY: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego; INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

PAWEŁ

Bravo:

W epoce krzepy



Dziewięciu aminokwasów z listy tych niezbędnych, żeby dało się pchać wciąż do przodu i wiecznie pod górkę życiowy wózek, nasze ciało nie umie samo wytworzyć. Albo wytwarza ich za mało – trzeba je nieustannie pobierać z pożywienia. Chyba że jesteście kotami, bardzo w takim razie zazdroszczę, nikt wam nie broni w imię pomnażania PKB czy tym podobnych niedorzeczności przespać na kaloryferze te kilkanaście ciemnych tygodni. A do tego jeszcze ludzcy niewolnicy regularnie karmią i z radością usuwają to, co potem wydalicie. Przy tym jednak muszą pamiętać, iż aminokwasów potrzeba wam aż jedenastu, w tym przede wszystkim tauryny. Taki widzę jedyny sens popijania ohydnych napojów energetycznych – z racji tego, że zawierają ową substancję, konsument znużony swoją ludzkością może się łudzić, że powoli zmieni tożsamość na kocią. Żeby tylko się kiedyś nie obudził jako byk. Czerwony w dodatku.

Ale nawet ten lub ta, kto nie planuje transgatunkowych kombinacji i stąpając na dwóch nogach pozostaje wierny misji udowadniania, że opłacało się naszym przodkom zleźć z afrykańskiego drzewa i wyruszyć na północ, gdzie bezkresne błota aż się prosiły, żeby ktoś je pokochał, otóż stuprocentowi ludzie też nie są wolni od aminokwaśnej ściemy.

Sortowałem w pamięci sprawy z minionego roku, aby odsiać z wielu trendzików, które mają się do trendów tak jak trądzik do trądu, pojedyncze zjawiska godne miana trwalszej tendencji, która „coś o nas mówi". Z tych dotąd tu nieopisanych mignęła mi jedna, idiotyczna w skali tak ogromnej, że nie wiem, jak mogłem to przeoczyć. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że była przezroczysta, wtapiała się w tło czasów, kiedy nie brakowało innych, kolorowych jak matcha i pistacja powodów, żeby pisać satyrę na bliźnich.

Woda białkowa. Tak, woda z dodatkiem jakichś wyciągów z serwatki lub strączków, często doprawiona słodzikiem i jakimś sztucznym aromatem. Wiem, czemu ją dosmaczają, bo sam lubię czasami popić serwatki, zwłaszcza koziej: otóż wszelkie takie zawiesiny mają pewien taki mdły, „biologiczny" posmak i konsystencję, które mogą być przykre dla ludzi przyzwyczajonych do czystych bodźców, na jakich gra w naszych mózgach przemysł spożywczy.

A na jakich ideach i skojarzeniach gra marketing tego zbędnego koktajlu? Tak, zbędnego, jeśli nie uprawiacie profesjonalnie sportu ani nie cierpicie na poważne zaburzenia metabolizmu – w obu przypadkach zaś waszym partnerem winien być rzetelny dietetyk i lekarz, a nie influencerka z fikuśną butelką. W większości przypadków codzienna dieta



Europejczyka, nawet tego nie z najbogatszych krajów, także jeśli biega rano albo chodzi na siłkę, dostarcza ze sporą górką niezbędnych białek, z których nasze organizmy wyciągają sobie potem potrzebne aminokwasy i inne fizjo-klocki. Przynajmniej jeśli wierzyć normom wyznaczanym przez kompetentne ośrodki państwowe i unijne.

Reszta tego białkowego wsadu jest po prostu przepalana, jak w turbodoładowanym silniku. Właśnie na „doładowaniu" i dostarczeniu siły bazuje narracja tego produktu w ramach naszej biedareligii zdrowia i dobrości (tak tłumaczę wellness, jak wam się podoba?). Obok sakramentalnych „supli", zapewniających wszystko, szkoda, że w postaci średnio lub małoprzyswajalnej. Szybki wzrost ich popularności to chyba nareszcie ta wypatrywana przez medialnych pastuszków gwiazda betlejemska nowego trendu. Czy nawet – pozwólcie, że poprawię okulary – zmiana paradygmatu.

Bardziej oczytani w fachowych publikacjach opisują to tak: przez dekadę dźwignią sprzedaży i kształtowania oczekiwań była negatywność, brak, uwolnienie, odwołujące się do poczucia winy, strachu przed nieczystością i skazą. *Free From.* Bez glutenu, bez cukru, bez mięsa oczywiście. Bez takich czy śmakich grzesznych substancji. Wahadło się jednak właśnie ruszyło i od postu ruszamy w stronę karnawału, weszliśmy w epokę *Rich In.* Mamy się wzbogacać, wypełniać, być mocniejsi, spełnieni, wyżsi.

Bardziej blond i niebieskoocy. Dzieli mnie wystarczająco dużo stron od jak zawsze mistrzowskiego szkicu Jarosława Flisa, żeby jego autor nie pogniewał się, że pozwalam sobie



TERESA KASPRZYCKA / ADOBE STOCK

Od postu ruszamy w stronę karnawału

w tym samym numerze na mocno naciągane polityczne paralele, ale mnie strasznie korci. Akcent w jedzeniu na „bez" miał silny walor etyczny i dobrze się rymował z dogmatyzmem zachodniej lewicy, etykietowanym przez jej krytyków terminem *woke*. To było i jest wyrosłe z zacnych motywacji, ale w końcu obsesyjne i manichejskie poszukiwanie czystości, którego najwidoczniejszym wyrazem jest wycinanie, usuwanie z pola widzenia każdej możliwej przewiny, coraz mniejszych drobinek nieprawidłowej tożsamości, poglądów, uczuć. Nowy zaś akcent na „z", pakowanie w siebie pierwiastków krzepy i tężyzny, jedzenie nakierowane na to, byśmy byli *great again*, jak po jakimś strasznym osłabieniu, to brzmi jak piosenka śpiewana przez ducha naszych coraz bardziej prawicowych czasów.

Jedyna zdrowa rzecz, jaką chciałbym propagować w swej kuchni, to rozsądek, więc nie bierzcie tego tak całkiem na serio. Mówię raczej o przesunięciu w ramach chwiejnej równowagi – w końcu każdy deser musi też mieć w sobie sól, żeby lepiej było czuć słodycz, a niejedną słoną potrawę lekko się na koniec słodzi, żeby rozkosz była głębsza. Życzę wam w nowym roku, żeby każdemu i każdej z was było dane akurat. Nie „dużo szczęścia" – lecz tylko tyle, ile będziecie potrafili i potrafiły docenić, strawić, podnieść i ponieść w żołądku lub sercu.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Zimowa zupa z soczewicy

Nie będę przed wami po tylu latach udawać, że czasem nie przesadzam z białkiem – tyle że staram się to czynić na przyjemniejsze sposoby niż picie bezbarwnej cieczy. Jedna z takich bomb proteinowych – bo nie tylko soczewica, z której białek wyciągamy bardzo potrzebną lizynę, ale i mnóstwo glutenu z klusek – akurat się zaleca na te dni. W wielu bowiem kulturach potrawy złożone z mnóstwa drobnych składników, ziaren, drobinek stanowią pradawną noworoczną prefigurację obfitości. W basenie Morza Śródziemnego dużo się wtedy jada soczewicy właśnie. Ten przepis jest świetnym comfort foodem i pozwala też dowolnie kształtować konsystencję, w wersji bardziej suchej znany jest jako pasta e lenticchie, ale akurat tradycje wielu włoskich regionów zawierają rozmaite zupiszcza tak gęste, że właściwie można je uznać za „stałą" potrawę.

SKŁADNIKI:

250 g soczewicy brązowej lub zielonej 300 g krótkiego makaronu 1 marchew 1 cebula 1 łodyga selera 1 ząbek czosnku 100 ml przecieru pomidorowego 1,2 l bulionu warzywnego ▪ rozmaryn ▪ tymianek ▪ pieprz ▪ oliwa ▪ parmezan

Siekamy w drobną kosteczkę cebulę, marchew i selera. Wiadomo – święta włoska trójca soffritto, magiczna formuła do wszystkiego. Zaczynamy je dusić na oliwie w sporym garnku o grubym dnie na wolnym ogniu. Kiedy trochę się zeszklą, podlewamy odrobiną gorącego bulionu, dalej dusimy parę minut. Dodajemy opłukaną dobrze na sicie soczewicę i przecier, mieszamy, zalewamy gorącym bulionem tak, by przykrył wszystko na ok. 1 cm, dodajemy rozmaryn i tymianek związane w bukiecik nitką oraz czosnek. Przykrywamy i gotujemy na wolnym ogniu, co jakiś czas sprawdzając, czy nie jest za sucho, ewentualnie dolewając bulionu. Po ok. 40 minutach powinna być miękka. Wyjmujemy zioła i czosnek. Wsypujemy makaron, zalewamy słuszną znów ilością wrzącego bulionu, żeby przykryć wszystko, gotujemy na średnim ogniu odkryte, co jakiś czas mieszając i ewentualnie dolewając dalej bulion lub, jeśli się nam skończył, wrzątek. Wyłączamy ogień, kiedy kluski będą mocno al dente, bo jeszcze przez kilka minut będą dalej miękнąć i uwalniać skrobię, co można przyspieszyć energicznym ruchem łyżki. Potem dolewamy jeszcze płynu tyle, żeby osiągnąć dobrą dla nas konsystencję – ja lubię bardzo „zupnie". Na wydaniu garść parmezanu lub podobnego sera, pieprz i kleks oliwy. W wersji jeszcze bardziej białkowej można dodać na etapie duszenia soffritto dwa-trzy plasterki boczku pokrojonego w paski.



NAZUNA / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

LEŻĄCA POSTAĆ

Jej podkast bije rekordy. Prawnuczka Freuda przypomina zabieganemu światu, co znaczy naprawdę kogoś słuchać.

BEATA CHOMĄTOWSKA

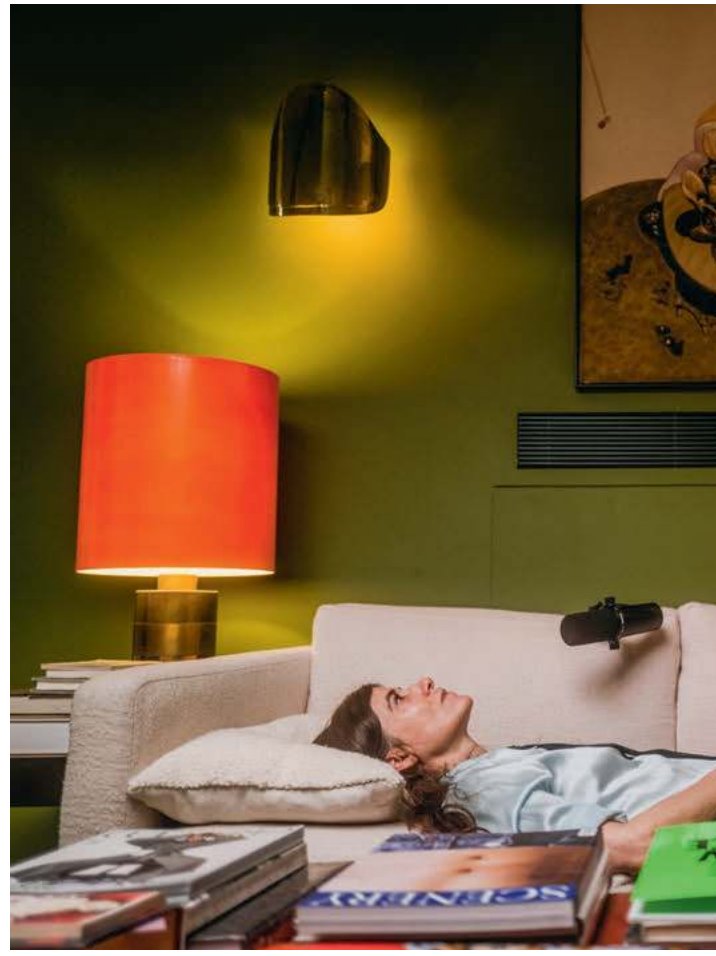

Zaczyna się zawsze tak samo. Dzwonek do drzwi. Gospodyni, siedząca w skórzanym fotelu z notatnikiem w ręce, woła: „Zapraszam!". I gdy gość już położy się na kremowej sofie, pod wiszącą na ścianie grafiką Francisa Bacona „Leżąca postać", pada pierwsze pytanie: „Co masz dziś na sobie? Opowiedz o tym".

W dobrym świetle

To świadome mrugnięcie okiem w kierunku słynnego przodka, „ojca psychoanalizy" Zygmunta Freuda, którego pacjenci podczas konsultacji spoczywali w pozycji horyzontalnej. W gabinecie, urządzonym w wiedeńskim mieszkaniu Freudów przy Berggasse, służyła im staroświecka, drewniana sofa wypchana końskim włosiem, z twardym podgłówkiem, przykryta wełnianym perskim dywanem.

Rozmówcom jego prawnuczki, występującym w podkaście (zatytułowanym, a jakże, „Fashion Neurosis") jest z pewnością wygodniej. Mogą też liczyć na wyjątkowo korzystne górne oświetlenie, w którym rysy wydają się miękkie, cera idealna i nie widać drugiego podbródka. Są wśród nich wieloletni przyjaciele Belli Freud, jak Susie i Nick Cave, ale też inni twórcy i twórczynie, by wymienić choćby Marinę Abramović, Kate Moss, Annie Leibowitz, Karla Ove Knausgårda, Cate Blanchett czy ostatnio – hiszpańską wokalistkę Rosalíę.

Goście, mniej lub bardziej sławni, to osoby, które trudno zamknąć w określeniu „celebryci". Raczej nietuzinkowe osobowości, które dopięły swego talentem i pracą, a przy tym mają jeszcze sporo do powiedzenia o tym, jak postrzegają świat, innych i własną tożsamość. Rozmowa o tym, co noszą i dlaczego lubią ubierać się tak, a nie inaczej, odsłania zaskakująco wiele: ambicje, lęki, wrażliwość.

Aż trudno uwierzyć, że jeszcze kilka lat temu Bella Freud nie była znana szerzej poza rodzinnym Londynem. Jeśli już, to wtajemniczonym – z kręgów międzynarodowej bohemy i miłośnikom niezależnej mody.

Charcik od ojca

Mała Bella, urodzona w 1961 r., chce być pielęgniarką, potem kierowcą autobusu. W obu przypadkach powodem jest nie tyle sam zawód, co związany z nim strój. Podziwia poganiaczy koni i trenerów sokołów. Nosi skórzane, o wiele za duże rękawice, bo wyobraża sobie, że dzięki temu ludzie wezmą ją za jednego z tych magików potrafiących przywabić dumne, niezależne ptaki.

Potem odkrywa Klaudynę, bohaterkę powieści Colette, zbuntowaną panienkę z dobrego domu. Mundurkiem Klaudyny jest ciemna sukienka z białym kołnierzykiem. Dorastając, Bella rozwija słabość do stylu muzyków rockowych i aktorek Godarda. Sama marzy o byciu rockmanką, ale zabraknie jej odwagi, by spróbować sił w muzycznym świecie.

Dziecięce marzenie, by nosić mundurek, spełnia się na krótko w alternatywnej steinerowskiej szkole. Postępowa placówka, w której kładzie się nacisk na indywidualny rozwój uczniów w zgodzie z naturą, znosi jednak ten obowiązek na krótko po rozpoczęciu przez nią nauki. Bella udaje, że cieszy się razem z innymi uczniami, ale jest głęboko rozczarowana.



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI TWÓRCÓW PODKASTU FASHION NEUROSIS

Bella Freud w swoim gabinecie w Londynie.

Lata później pierwsza autorska kolekcja mody Belli nawiąże do najwcześniejszych inspiracji. Oprócz dzianinowych sukienek z białymi kołnierzykami – kopii mundurka Klaudyny, tyle że w wersji mikro, które mogłyby nosić aktorki filmów francuskiej Nowej Fali, znajdą się w niej eleganckie tweedowe płaszczyki dla dorosłych stylizowane na okrycia z działu dziecięcego czy luźne marynarki, jakby pożyczone z szafy męża czy chłopaka.

Do dziś, pracując nad kolekcją, Freud wyobraża sobie konkretną osobę, dla której projektuje garderobę. Inspiracje sprzed lat wracają w kolejnych projektach. Męskie elementy łączy z kobiecymi, stawia na dobry krój, klasyczne fasony i naturalne, dobrej jakości tkaniny – wełny z merynosów, tweedy, sztruks.

Pierwsze zamówienie dostaje ze sklepu w Japonii. Tak zacznie się przygoda, która trwa nieprzerwanie już prawie 35 lat. Marka „Bella Freud", choć z czasem pozyskała inwestorów, nie rozrosła się i konsekwentnie przedkłada jakość nad ilość. Do dziś ma też tylko jeden butik w Londynie. Zdarzyła się nawet kolekcja złożona z tylko jednej sztuki odzieży, swetra z hasłem „Ginsberg Is God".

Logo: imię, nazwisko, rysunek charta wyścigowego z wywieszonym językiem, który w powiększeniu zdobi witrynę sklepu, zaprojektował ojciec Belli. Jeden z najsłynniejszych brytyjskich artystów – i najlepiej wycenianych.

Sweter dla Zygmunta

Podkast „Fashion Neurosis" nie jest pierwszym nawiązaniem do dorobku pradziadka. Dekadę wcześniej pierwszy ze słynnych Freudów pojawił się w serii kolaży. Bella nałożyła fotograficznym podobiznom kilku członków rodziny swetry ze swoich kolekcji z różnymi hasłami. Wśród nich: „Psychoanaliza". Tak samo nazwała sprzedawane w butiku perfumy unisex: mieszankę woni cygar, skóry i drewna cedrowego, która „ma przywoływać romantyczną obsesję, która towarzyszy psychoanalizie, wraz z zapachem tradycyjnego gabinetu i aurą zmysłowości, jaką roztacza wokół siebie wybitny intelekt".

Podobnie jak u Zygmunta, sesje rozmów do podkastu odbywają się w prywatnym mieszkaniu. To studio i dom Belli w zachodnim Londynie, ukryte na tyłach magazynu przemysłowego, na podwórzu, gdzie po wojnie mieściły się liczne warsztaty i szopy. Centrum tego sprytnie zaprojektowanego budynku stanowi wewnętrzny dziedziniec, dzięki któremu światło wpada do wszystkich pomieszczeń od góry przez oryginalne, wielkie okna odzyskane z elektrowni Battersea.

Wyższe piętro zajmuje były już mąż Belli, pisarz James Fox (pozostają w przyjaźni), w podwórku zaadaptowano też mieszkanie dla dorosłego syna pary. W środku, podobnie jak u Freuda, trochę gabinet osobliwości – kolorowe ściany, niewiele sprzętów, głównie pamiątek, i dzieł sztuki. W tym obrazów i rysunków Luciena.

„Freudowskie pomyłki" – głosi samoprzylepna karteczka na wewnętrznej stronie drzwi wejściowych. Pochodzi ze sklepu muzealnego urządzonego w londyńskim mieszkaniu, w którym pradziadek Belli spędził ostatni rok życia po wyjeździe z opanowanego przez nazistów Wiednia. Podczytywała jego prace, ale żadnej nie dokończyła. W muzeum trafiła za to na powieść graficzną – przewodnik po świecie ojca psychoanalizy. Pochłonęła ją w mgnieniu oka i, jak twierdzi, podczas lektury dowiedziała się wszystkiego, odkrywając nawet w usposobieniu Zygmunta sporo anarchistycznego poczucia humoru.

Pastelowy komplecik

Bernardine Coverley, matka Belli, jak na prawdziwą hipiskę przystało, nosi długie kwieciste sukienki i kozaki nad kolano. Wygląda świetnie, choć zaopatruje się głównie w sklepach charytatywnych z używaną odzieżą. Tam też ubiera córki. Nie stać ich na ubrania z pierwszej ręki. Bella i jej młodsza o dwa lata siostra Esther odwiedzają wyprzedaże, szukając chłopięcych koszul. Są za duże, ale wystarczy obciąć rękawy.

Ubranie staje się dla małej Belli sposobem na przełamanie nieśmiałości. Jak wspomina, dawało jej czas, by zastanowić się nad odpowiedzią, zanim ktoś się do niej odezwał – bo najpierw uwagę rozmówcy przykuwało to, jak wygląda. Męska proweniencja ulubionej koszuli też ma znaczenie: chłopcy są silni. Dziś Freud lubi bawić się androgynią, uważa, że przełamywanie konwencji płci w modzie daje bardzo zmysłowy efekt.

Jako dziewczynka Bella zauważa też, że rodzaj uwagi, jaką otrzymują od innych oryginalnie ubrane osoby, zależy od takich kryteriów jak władza i uprzywilejowanie. Londyńskie sąsiadki w pastelowych komplecikach z domu towarowego i rodzice innych uczniów ze szkoły Steinera, przyodziani w wąskie sztruksy, buty Birkenstocka i swetry w ludowe wzory, patrzą z góry na jej matkę, bo nie lubią dzieci kwiatów, ale wiedzą też, że Bernardine ledwo wiąże koniec z końcem. ↦

↦ Natomiast Lucien Freud, który raz wygląda jak lump, by innym razem zmienić się w eleganckiego dżentelmena z apaszką w miejscu krawata, wyróżnia się na plus wśród ludzi ze swojej klasy społecznej. Podziwiają go, upatrując w niekonwencjonalnych strojach siłę i niezależność od cudzych opinii.

Córka irlandzkich katolików, właścicieli pubu w Brixton, poznała Luciena w jednym z barów lub nocnych klubów w Soho. Ona miała siedemnaście lat, on trzydzieści sześć, dwie byłe żony i kilkoro dzieci. Rodzice Bernardine zamykali wówczas biznes i wracali do rodzinnego kraju. Obawiając się skandalu, zabrali córkę ze sobą, by skończyła edukację w szkole prowadzonej przez zakonnice.

Po roku uciekła z powrotem do Londynu, by za dnia pracować jako sekretarka w jednej z prasowych redakcji, nocami zaś – imprezować, również w towarzystwie Luciena. Pamiątką po tamtych czasach jest jej portret w zaawansowanej ciąży z Bellą, wyceniony po latach na 16 mln funtów. O ciąży nie powiedziała rodzicom, zachowując też w tajemnicy kolejną. Bała się, że wyślą ją do jednego z niesławnych przytułków dla samotnych matek z dziećmi prowadzonych przez siostry zakonne, w których ciężarnym zabierano wszystko i zmieniano imiona. Przez trzy lata od porodu musiały pracować za darmo, odwdzięczając się zakonnicom za opiekę. Dzieci nierzadko sprzedawano bogatym rodzicom zastępczym.

Irlandzcy dziadkowie dowiedzieli się więc o istnieniu Belli i Esther dopiero, gdy te były już kilkulatkami. Krótko po urodzinach drugiej z sióstr związek Bernardine z Lucienem się rozpadł – jeśli w ogóle można nazwać go związkiem, bo nigdy nawet nie mieszkali razem, nie licząc krótkich wspólnych wakacji. Młoda matka musiała sobie poradzić. Zrobiła to po hipisowsku, wyruszając z grupą przyjaciół na włóczęgę po Maroku. Zabrała ze sobą dziewczynki, by zamieszkać w zapuszczonym hotelu w Marrakeszu. Kolejne dwa lata upłyną im na ciągłych przeprowadzkach, wśród innej kultury i nieustannie zmieniającego się ludzkiego korowodu.

Orientacja malarska

O ile Zygmunt Freud miał obsesję na punkcie seksualności, wyciągniętej przez niego na światło dzienne z wiktoriańskich mroków i upierał się, że jest sednem ludzkiej natury, to jego wnuk Lucien starał się ewidentnie dowieść tych racji w praktyce. Sypiał prawie z każdym, kto mu pozował, bez względu na płeć (krąży powiedzenie, że jego seksualność nie była homo ani hetero, tylko malarska).

Może z wyjątkiem własnej progenitury i królowej Elżbiety II, która na portrecie jego autorstwa przypomina jednego z psów ulubionej rasy corgie. Nie miał w zwyczaju schlebiać modelom ani modelkom, nie szukał piękna, pokazując ciała odarte z atrakcyjności, pomarszczone, pełne plam i żyłek, w nieapetycznych żółto-brązowych tonach.

Bella i Esther jako dorosłe kobiety spędziły sporo czasu, poznając swoje liczne przyrodnie rodzeństwo. Biografowie doliczyli się piętnaściorga dzieci, które Lucien spłodził z różnymi partnerkami (choć są tacy, którzy twierdzą, że jest ich dwukrotnie więcej). Podobno jednak właśnie z matką Belli i Esther łączyła go szczególna więź. Wręcz metafizyczna, bo tak się złożyło, że oboje umarli w tym samym szpitalu, w odstępie zaledwie czterech dni.

„Mama, ryzykantka, nie lubiła kompromisów. Byli pod tym względem podobni, tyle że ojciec – w przeciwieństwie do niej – miał pieniądze" – wspomina Bella. Na szczęście, pod koniec życia oprócz niezależności Bernardine Coverley mogła wreszcie zyskać stabilizację, bo Lucien podarował jej jeden z obrazów. Sprzedała go i kupiła niewielki dom.

Dzieci Freuda, jak Rose Boyt, nie oszczędzają go we wspomnieniach. Drapieżnik, egocentryk z awersją do wszystkiego, co pospolite, który umiał uwodzić i grozić, za nic nie chciał zgodzić się na swoją biografię, strasząc potencjalnych autorów pozwami, ale sam rozsiewał skandalizujące plotki na własny temat, nie cierpiał się fotografować, choć sam potrafił uporczywie wpatrywać się w obcych ludzi w restauracjach, uzależniony od hazardu, szybkiej jazdy i przede wszystkim – pracy.

Tymczasem Bella, mimo trudnego charakteru Luciena, miała z nim bardzo dobre relacje i często wspomina wspólnie spędzany czas. Do dziś uważa ojca za najbardziej fascynującego mężczyznę, jakiego spotkała w życiu. I jednego z najlepiej ubranych. Flanelowe marynarki, szyte przez krawców z Saville Row i noszone przez artystę z właściwą mu nonszalancją, wpłynęły mocno na sposób, w jaki dziś myśli o modzie.

Gdy Bella była mała, ojciec zabierał ją na obiady do restauracji. Nie mówili wiele, ale już wtedy dobrze czuła się w jego towarzystwie. Widocznie z wzajemnością, bo odkąd skończyła czternaście lat, uczestniczyła w ciągnących się godzinami biesiadach w jego ulubionym lokalu, gdzie wszyscy znali i pozdrawiali Luciena, a stół dzielili z nimi Francis Bacon, Frank Auerbach i Michael Andrews. Możliwe, że właśnie wtedy wyrobiła w sobie akceptację wszystkiego, co dziwne, i umiejętność dogadywania się z wszelkiej maści ekscentrykami. Krótko potem zaczęła pozować ojcu – bardzo lubiła siedzieć godzinami bez ruchu, bo dużo wtedy rozmawiali.

Punki od Vivienne

W Rzymie, gdzie spotyka najlepszych krawców, Bella pogłębi swoje wczesne zainteresowanie psychologią ubioru. Zachwyca ją włoska obsesja na punkcie detali, sekretny język krawiectwa, w którym wszystko ma znaczenie – typ podszewki, ilość dziurek na guziki, sposób ich rozpinania, a nawet to, które zostawia się zapięte. By go zgłębić, trafia najpierw do prestiżowej Academia di Moda, ale po roku rzuca ją, by spędzić rok w szkole dla krawcowych. Tam w mig nauczy się włoskiego, włącznie z modlitwą do patronki krawców.

Ale przed eleganckim Rzymem jest jeszcze zbuntowany Londyn. W 1978 roku Bella ma 17 lat, rzuciła szkołę, od roku mieszka z przyrodnią siostrą Rose i jej chłopakiem. Rose i jej przyjaciele są punkami, noszą ciężkie, sznurowane buty Dr. Martens, skórzane kurtki, mnóstwo ćwieków, agrafek i podartą, zdekonstruowaną odzież z prowokacyjnymi hasłami. Im obrzydliwiej dla starszych, tym lepiej.

Ich mekką i źródłem zaopatrzenia jest prowadzony przez Vivienne Westwood i Malcolma McLarena butik w Soho, który co jakiś czas zmienia nazwę: najpierw był „Sex", teraz „Seditionaries". Rose dorabia tam jako ekspedientka. Bella chce pójść w jej ślady. Zanim zagai o to Vivienne, obcina długie do pasa włosy na punkową modłę. „Podoba mi się twoja fryzura" – słyszy od niej i z miejsca dostaje pracę.

Ponownie jej drogi z Westwood przetną się kilka lat później w Rzymie. Projektantka współpracuje wówczas z florenckim wytwórcą i wpada do Wiecznego Miasta na weekendy. Bella, wówczas uczennica szkoły krawieckiej, pokazuje jej płaszcz, który właśnie projektuje. Zamiast krytyki, której się spodziewała, dostaje wsparcie i praktyczne wskazówki. Po powrocie do Londynu zostaje asystentką projektantki. Z początku pracują w jej prywatnym mieszkaniu, tylko we dwie. Niedoświadczona pomocnica nadrabia miną i popełnia mnóstwo błędów. Obserwuje, jak wiele pomysłów, które z początku uchodziły za zbyt ekstrawaganckie, z czasem staje się klasykami. Podobne podejście do pracy prezentuje jej ojciec.

Słowa inspirują ją bardziej niż obrazy. To pozostałość po dorastaniu w epoce bez internetu, gdy pochłaniała książkę za książką.

Okropnie perwersyjne

„Hideous kinky!" – wyśpiewują na całe gardło siostry Freud, by zwrócić uwagę dorosłych, rozmawiających o czymś przy miętowej herbacie. „Okropnie perwersyjne!". Dwa słowa powtarzane przez żonę jednego z mężczyzn, z którym w Maroku zwiąże się ich matka.

Hipisowski styl życia, w którym rozkwitają dzieci kwiaty, niekoniecznie służy ich potomstwu. Przeprowadzka i ciągłe włóczęgi są trudne dla dziewczynek, które w tym czasie potrzebują stabilizacji, by czuć się bezpiecznie. Tęsknota Belli za mundurkiem ma korzenie właśnie tam – ustandaryzowany strój uosabiał dla niej porządek w jakiejkolwiek formie.

Na szczęście mają oparcie w sobie nawzajem. Esther i Bella są nierozłączne, tworzą własne rytuały, jak cowieczorne opowiadanie sobie wymyślonych historii przed zaśnięciem. Silna więź między siostrami trwa do dziś, choć dorastającą Esther po powrocie do Londynu irytowały nieustanne pytania: „Czy jesteś może siostrą Belli Freud?" – bo to Bella była tą bardziej przebojową i rozpoznawalną. Fizycznie podobne, od dziecka różnią się stylem. Podczas gdy Bella zawsze wyglądała jak chłopczyca, Esther przypominała małą księżniczkę.

Zbitka słów „hideous kinky" zostanie też z nimi na zawsze. Posłuży Esther za tytuł jej debiutanckiej książki. Pamiętacie „W stronę Marrakeszu" z Kate Winslet? To właśnie polski tytuł filmowej adaptacji autobiograficznej powieści Esther Freud, dotąd niewydanej w Polsce. Bella też do czasu zamieszcza krótkie wspomnienia na swojej stronie internetowej. Ujmują szczerością i zgrabną literacką formą. Napomknęła, że przymierza się do napisania książki. Czas na jej własną wersję historii, niezależną od siostry.

Jak mówi, słowa inspirują ją bardziej niż obrazy. Pozostałość po dorastaniu w epoce bez internetu, gdy pochłaniała książkę za książką. Ikoniczny już projekt swetra z hasłem „Ginsberg Is God", nawiązujący do popularnego w latach 70. sloganu „Clapton is God", sięga wczesnych literackich fascynacji Belli, kiedy to przeczytała „Włóczęgów Dharmy" Kerouaca i zachwyciła się nowatorskim podejściem do języka, co przełożyło się na sympatię do beatników.

Wrażliwość na słowa odziedziczyła podobno po Lucienie. Miał takie, których nienawidził i nigdy nie używał. Lubił też nadawać celne przezwiska znajomym. Bella, która była dla niego Bloni, od lat nosi ze sobą notatniki, zawsze takie same i często zapisuje lub szkicuje konkretne słowa i frazy, które działają na jej wyobraźnię. Wybiera takie, które nie brzmią jak instrukcja czy slogan, ale budzą rozmaite skojarzenia i duży potencjał interpretacji. Jako nastolatka, wracając ze szkoły, zatrzymywała się przed sklepem muzycznym w sąsiedztwie i wpatrywała w okładki płyt, próbując odgadnąć, co znaczą konkretne obrazy i symbole.

Zapamiętała dobrze, co kiedyś powiedział jej przypadkowy sprzedawca na targu: „Pamiętaj, żeby zawsze opowiadać historię swoich ubrań". W opowieści, jaką jest dla niej strój, musi istnieć intryga, która skusi ludzi do zakupu. Wszak ubierając się, każdy z nas też opowiada o sobie, chcąc być postrzeganym w określony sposób.

W roli głównej

Pomysł na „Fashion Neurosis" zrodził się z niezliczonych opowieści, docierających do uszu Belli w garderobach i łazienkach, za kulisami pokazów modowych. Najpierw w formie podróży po świecie i kręceniu filmów z rozmowami. „Wiedziałam, że jeśli sama tego nie zrobię, ubiegnie mnie ktoś inny".

Skończyło się odwrotnie: to inni odwiedzają „gabinet" Freud. Rozmowom towarzyszy jednak obraz. Prowadząca zdaje się w stu procentach skupiona na gościach, nie ma w niej krzty gwiazdorstwa, choć często dzieli się szczegółami z własnego życia. Widzowie doceniają jej naturalność. Podczas pogawędki bawi się włosami, zagląda do leżącego na kolanach notatnika.

Gdy spokojnym, terapeutycznym głosem zadaje pytania, w jej oczach błyszczy iście dziennikarska ciekawość, ale wyczuwa się też życzliwość i zrozumienie dla rozmówcy. Możliwe, że „Fashion Neurosis" bije rekordy popularności właśnie z tego powodu – w zabieganym, egocentrycznym świecie prawnuczka Freuda pokazuje na nowo, co to znaczy naprawdę kogoś słuchać.

Trudno uwierzyć, że w przyszłym roku skończy 65 lat. Szczupła, długowłosa, o dziewczęcej twarzy, w ulubionych „mundurkach" wygląda jak wokalistka z rockowego zespołu. Poza podcastem i działającą nieprzerwanie firmą Bella Freud ma na koncie skuteczne odmłodzenie legendarnej brytyjskiej marki Jaeger. Przez dwa lata odpowiadała też za damską kolekcję marki Biba (założonej przez Polkę Barbarę Hulanicki), próbowała sił w dziennikarstwie, jest autorką kilku filmów krótkometrażowych. O jej darze perswazji miał się przekonać wówczas John Malkovich – uparła się, że to właśnie on musi zagrać główną rolę. Gdy poleciała się z nim spotkać, z początku był na „nie", ale po rozmowie zmienił zdanie. Spotkali się przed kamerami jeszcze dwukrotnie.

Kiedyś, jak mówi, była bardziej leniwa, ale z wiekiem poczuła, że nie ma chwili do stracenia. Czuje, że nadszedł jej czas. Taki, kiedy trzeba włożyć swoją najlepszą marynarkę.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

TOMASZ

Stawiszyński: *Epstein, Antychryst i golonka*



Jakie były najpopularniejsze teorie spiskowe w roku 2025? Na prośbę redakcji przedstawiam mój osobisty ranking. Podkreślam – osobisty, tylko takie bowiem są w tej poplątanej materii możliwe.

Zwycięzca, naturalnie, może być tylko jeden, a imię jego Jeffrey Epstein. Ten mroczny miliarder stał się, całkiem słusznie, symbolem zepsucia i zła globalnych elit. Kolejne informacje na temat jego przyjaciół, gości i kontrahentów – a są wśród nich m.in. eksksiążę Andrzej, Bill Clinton, Kevin Spacey, Woody Allen, Steve Bannon, Noam Chomsky oraz *last but not least* Donald Trump – zasilają tysiące mniej lub bardziej egzotycznych spiskowych opowieści. Ich trzon wygląda zawsze tak samo: potężne i zdemoralizowane elity rządzą maluczkimi, żerują na nich, a przy tym ukrywają swoje prawdziwe oblicze i grają wielce zaangażowanych artystów, polityków albo bankierów.

Cóż, niejedna taka historia okazała się prawdziwa, a ta sprawa dobrze to ilustruje. Najciekawsza jest obecność w tym kontekście Trumpa, człowieka z elit, który swoją polityczną karierę zbudował na przekonywaniu wyborców, że jest reprezentantem „zwykłych Amerykanów". Wydaje się, że skandal z Epsteinem chwieje tym wizerunkiem i że stanowi polityczne paliwo zarówno dla niechętnego Trumpowi twardego trzonu alt-prawicy, jak i dla szerokiego grona jego demokratyczno-lewicowych przeciwników. W każdym razie liczba spiskowych teorii z Epsteinem (i Trumpem) w roli głównej rośnie. Ale czy to naprawdę oznacza, że żyjemy w kompletnej ułudzie, a elity finansowe i polityczne to bez wyjątku zdemoralizowane kreatury? Tak sprawę chciałby widzieć umysł spiskowy, ale rzeczywistość jest prawie na pewno bardziej skomplikowana.

Biorąc pod uwagę, że równolegle rozwija się w otoczeniu Trumpa narracja apokaliptyczna, w której Ameryka staje naprzeciwko Antychrysta, należy, myślę, spodziewać się niebawem na tym odcinku jakichś intensywniejszych perturbacji. O Antychryście opowiadał we wrześniu 2025 w cyklu ezoterycznych wykładów jeden z najważniejszych dziś biznesmenów sprzężonych z amerykańską administracją, czyli Peter Thiel. Za duże pieniądze, dla niewielkiej grupy wybranych, z absolutnym zakazem puszczania tych rewelacji dalej. „The Guardian" jednak dotarł, gdzie trzeba, i podzielił się doniesieniami z całym światem.

Rzecz szybko skomentował Paul Kingsnorth, autor świetnej książki „Against the Machine", chrześcijański pisarz zainteresowany sprawami (teo)technologii. Wskazał on, że, po pierwsze, w ortodoksyjnym chrześcijaństwie zaleca się radykalną nieufność wobec samozwańczych proroków rychłej apokalipsy, a po drugie (ironicznie!), że do funkcjonującego w tradycji opisu Antychrysta znacznie bardziej pasuje sam Thiel niż typowana przezeń do tej roli... Greta Thunberg. Nawiasem mówiąc: Antychryst to był w minionym roku również jeden z ulubionych tematów Aleksandra Dugina, rosyjskiego ideologa o rozległych wpływach na Kremlu. Trudno o lepszą ilustrację mechanizmu „rywalizacji mimetycznej", kiedy to zwaśnione strony bezwiednie zaczynają się do siebie upodabniać, nieprawdaż?

W Polsce posiadamy lokalne warianty teorii spiskowych. Na laur pierwszeństwa zasługują – *ex aequo* – dwie od lat najpopularniejsze mitologie, którym nic na razie nie jest w stanie zagrozić. Pierwsza głosi, że mrocznym demiurgiem, władcą marionetek, obcym agentem i sprawcą wszelkiego spotykającego Polskę zła jest Donald Tusk. Druga, że mrocznym demiurgiem, władcą marionetek, obcym agentem i sprawcą wszelkiego spotykającego Polskę zła jest Jarosław Kaczyński. Tym opowieściom towarzyszą rozmaite pomniejsze podtypy. W 2025 r. wyróżniała się zdecydowanie teoria o sfałszowanych wyborach prezydenckich. Dokonać tego przekrętu musiałaby jakaś ogromna, skoordynowana grupa agentów poprzedniej władzy, tak potężna, że zdolna wywieść w pole nie tylko regularnych obserwatorów procesu wyborczego, ale w ogóle cały aparat państwa. O tej koncepcji głośno było w okolicach samych wyborów, potem jednak szybko o niej zapomniano, jak to zresztą z podobnymi, okolicznościowymi teoriami spiskowymi bywa.

Ciekawym, zaznaczającym się u nas przez ostatnie 12 miesięcy trendem były również konspiracje dotyczące... jedzenia. Zapewne dlatego, że polska kuchnia do lekkich nie należy i słynie ze schabowych, rosołów oraz golonek, najlepiej rozwijają się tutaj teorie, które zachęcają do diety złożonej niemal wyłącznie z tych dań. Podaż roślin i mąki należy zminimalizować – powiadają propagatorzy owych rewelacji – a jeść głównie mięso, jaja, masło i śmietanę. Cała reszta to samo zło, prawdę zaś o dobroczynnym działaniu golonki z masłem efektywnie ukrywają przed nami wielkie koncerny i medycyna. A także – na to wychodzi – pokolenia naszych babć i mam, które przecież niejednokrotnie przyrządzały nam śmiertelnie groźne racuchy, a nawet, o zgrozo, podawały rano owsiankę.

Cóż, na tym skończę subiektywny przegląd spisków 2025 r., przyznam się bowiem, że zgłodniałem. Zachowując sceptycyzm wobec spiskowych narracji i postawę ufności wobec oficjalnej dietetyki, oddam się więc umiarkowanej a zróżnicowanej konsumpcji. Czego i Państwu serdecznie życzę – tak w zakresie kulinariów, jak też lokalnej i globalnej polityki. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

miejski teatr MINIATURA

GDAŃSK

Miejski Teatr Miniatura
ul. Grunwaldzka 16
80-236 Gdańsk

#teatrminiatura

Zapraszamy w styczniu i lutym do Teatru Miniatura!

Sprawdź repertuar na: **teatrminiatura.pl**







1 ***Bibuła w tapczanie***
reż. Michał Derlatka

2 ***Czerwony kapturek***
reż. David Zuazola

3 ***Wyspa skarbów***
reż. Jakub Roszkowski

4 ***Nowe szaty cesarza***
reż. Paweł Szkotak

5 ***Cztery pory roku***
reż. Tomasz Maśląkowski

6 ***Tonja z Glimmerdalen***
reż. Karolina Maciejaszek

7 ***Co u diabła***
reż. Michał Derlatka

fot. Piotr Pędziszewski











REKLAMA

REKLAMA

SUBARU **CROSSTREK**

GOOD VIBES ONLY



SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI
SUBARU SAFE8

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
Santander Leasing
ENEOS MOTOR OIL
ERGO HESTIA
YOKOHAMA